



UKOCHANA GANGSTERA #2

# MIŁOŚĆ GANGSTERA

I.M. DARKSS

**I.M. DARKSS**

**MIŁOŚĆ  
GANGSTERA**



*Historia widziana oczami Logana Rotha*

*Bezwzględnie, okrutnie, zabójczo...*

*Jedynie tak potrafi kochać potwór.*



## Na wstępie kilka ważnych informacji od autorki

Droga Czytelniczko!

Zanim zaczniesz czytać, musisz wiedzieć, że – jak wskazuje tytuł – ta książka jest powiązana z losami bohaterów z *Ukochanej gangstera*. Dlatego aby w pełni cieszyć się tą historią, serdecznie zachęcam do zapoznania się najpierw z pierwszą częścią książki. W innym wypadku wiele wydarzeń rozgrywających się w powieści może wydawać Ci się pozbawionych sensu czy też wyrwanych z kontekstu.

Książka ta powstała na życzenie wielu Czytelniczek, które wielokrotnie nalegały na powrót do świata Bethany i Logana. Na kartach tej powieści czeka Was wielka NIESPODZIANKA!

Wiele z Was bardzo chciało zajrzeć w duszę i serce Logana, gdy już spotkał Bethany. Uległam Waszym prośbom i zdecydowałam się dodać do kontynuacji ich wspólnej historii kilka scen, które miałyście już okazję czytać w pierwszym tomie. Jednak tym razem są one przedstawione z perspektywy Logana – naszego ulubionego mrocznego bohatera – i pozwalają Wam poznać jego myśli, emocje i... PRAGNIENIA! Natomiast uprzedzam, że te sceny z perspektywy Logana, w których poznał Elizabeth, a które czytałyście już w pierwszej części, nie przedstawią Wam pełnego obrazu ich relacji, która rozgrywała się w pierwszym tomie. Dlatego całość tej historii będzie w pełni zrozumiała tylko dla osób, które zaczęły swoją przygodę od pierwszej części – *Ukochanej gangstera*.

A teraz bez dalszego przynudzania życzę wam wielu mocnych wrażeń podczas lektury!!!

Oto jak kocha najniebezpieczniejszy mężczyzna podziemia...

# Rozdział PIERWSZY

## *Zanim się poznali*

Mówi się, że każdy może ożywić w sobie bestię, jeśli tylko znajdzie się w sprzyjających temu okolicznościach. Świat, w którym żyję, ma tylko kilka zasad – prymitywnych i bezwzględnych. Ostatecznie jedyne, co się liczy, to przetrwanie i uniknięcie znalezienia się na niewłaściwym końcu łańcucha pokarmowego.

Muszę wywalczyć sobie każdy oddech, a osobą, która najbardziej chce mi go wyrwać z piersi, jest mój ojciec. Odliczam sekundy do momentu, kiedy tu wejdzie i znów włoży maskę kata, żeby całymi godzinami się nade mną znęcać. Tak wygląda jego rzeczywistość, za dnia jest wielkim i obracającym milionami biznesmenem, a w nocy mordercą obracającym nożami.

W tym domu dzieci przed pójściem spać nie oglądają bajki, a w nocy nie tyle mają koszmary, ile rzeczywistość w nich uczestniczą.

Marco lubi nazywać to pomieszczenie salą tajemnic, ponieważ cokolwiek by się tu wydarzyło, na zawsze zostaje uwięzione między tymi ścianami. Nie wymkną się stąd żadne, nawet najgłośniejsze krzyki. Pamiętam dzień, kiedy wszedłem tu po raz pierwszy. Wszedłem z roztrzaskaną kością ręki, dźgnięty i draśnięty w kilkunastu miejscach. Potem już wszystkie dni wyglądały identycznie, a moje ciało zebrało taką kolekcję blizn, że bez charakterystyki z powodzeniem sprawdziłbym się jako Freddy Krueger w *Koszmarze z ulicy Wiązów*. Dziś było tak samo...

– Czas na trening! – woła ojciec autorytarnym tonem.

Odchylam się na oparcie fotela obitego czarną tapicerką i spoglądam w stronę mężczyzny, starając się stłumić targającą mną nienawiść.

On za to już od progu wydaje się podekscytowany w chory sposób. Wyczekuje, kiedy będzie mógł dać upust zgromadzonej w nim agresji.

A tuż za nim kroczy Cleo. Stawia małe, niepewne kroki ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Ojciec...

– Ani słowa, Logan – wtrąca mężczyzna. – Wiesz, jaka jest twoja rola, i będzie lepiej dla wszystkich, jeśli odegrasz ją doskonale.

Zaciskam szczęki, czując, jak zgrzytają mi zęby. W tym czasie mój ojciec, Marco Roth, rozpoczyna przygotowania do tego, co tak naprawdę go kręci. Do przemocy pod każdą postacią.

Na niewielkim stoliku układa wypolerowane narzędzia. Noże, skalpele i tym podobne ostrza połyskują w świetle żarówki. Potem ojciec zbliża się do mnie, by zapiąć tytanowe kajdanki na moich nadgarstkach. To zbędne, bo i tak nie zamierzam stawiać oporu czy okazywać nieposłuszeństwa. On zaś uwielbia wszystko, co dokarmia jego poczucie władzy.

– Ale Cleo...

Nim mogę dokończyć, obręcze skuwają także jej ręce. Widzę, jak niespokojnie szoruje paznokciami o oparcie swojego siedzenia, ale nie robi nic więcej. Wie, że jej nie wolno. Że w tej akurat sali jest bezsilna, bo wchodząc tu, przekracza się bramy piekieł. I idzie się na spotkanie z szatanem, który przez dokładnie sześćdziesiąt minut będzie raz po raz próbował złamać swoją ofiarę.

– Ostatnia lekcja nie poszła ci najlepiej, dlatego Cleo będzie twoją dodatkową motywacją – oznajmia.

– Nic jej nie rób.

Ojciec obraca w palcach swój ulubiony nóż z postrzępionym ostrzem.

– To zależy tylko od ciebie. – Uśmiecha się. – Wiesz, że ona nie ma dla mnie zbyt wielkiej wartości. Dlatego lepiej, żebyś ty okazał się cenny.

Skurwiel.

Podrywam się na fotelu, marząc, by wreszcie rzucić się na niego i odpłacić mu za wszystko, co nam zrobił. Najlepiej podryznając mu gardło. Naprawdę głęboko. Albo miażdżąc tchawicę pod własnymi

palcami.

– Jesteś pieprzonym...

– Logan, nie! – piszczy Cleo. – Proszę, nie...

Ojciec przechyla głowę na bok. Przesuwa kciuk po grzbiecie noża.

– Widzisz? – mruczy szyderczo. – Ona nie potrafi być niczym więcej niż ofiarą. Kobiety już takie są. Gdzieś głęboko marzą, żeby je zdominować i poprowadzić. Prawda?

Wiem, że nie mogę dać się sprowokować, bo to Cleo zapłaci cenę za moje błędy. Spoglądam na moją siostrę, która cała dygocze.

– Prawda – odpowiadam.

– A jeśli ona jest ofiarą, kim ty będziesz? – Przystawia czubek ostrza do mojego torsu i przesuwam nim w stronę brzucha. – Kim będziesz?

– Oprawcą.

– Znasz zasady. – Znienacka, bez żadnego ostrzeżenia kilka centymetrów noża wbija się w mój bark. – Nie waż się krzyczeć – dodaje.

Przywołuję na twarz maskę obojętności.

– Nie zamierzam. – Uśmiecham się uśmiechem idealnie dopasowanym do grymasu ojca.

– Ona by sobie z tym nie poradziła, więc zalecam, żebyś ty sobie z tym poradził – warczy.

– Żadnych łez ani wrzasków, bo ona poniesie karę. O wiele dotkliwszą.

Pierdol się.

Nóż obraca się w mojej ranie, a ząbkowane ostrze rozszarpuje mi wnętrzności. Lekceważę ból, który promieniuje wzdłuż całego ramienia.

– Nic się nie stanie – zapewniam Cleo.

Prędeż sam się zadźgam, niż dam satysfakcję temu sadyście i pozwolę mu skrzywdzić moją siostrę. Zmuszam się do równomiernego oddechu i pozostaję w bezruchu.

– Może coś jej złamię? – pyta, wbijając nóż nieco głębiej. Jego wzrok śledzi ostrze i sączącą się z rany krew z dziwną fascynacją. Czarne tęczówki mienią się czymś mrocznym. Spowija go typowa dla niego władcza aura. Pławi się w zadawaniu cierpienia. Rozkoszuje tym, że mógłby rozerwać mi tętnicę, i pewnie tego chce.

Może i jestem jego następcą, ale przez to stałem się też rywalem.

Zerkam w bok i widzę, że Cleo z trudem tłumi łkanie.

– Nic się nie stanie – powtarzam. – Nie patrz, Cleo.

Nie słucha mnie. Wpatruje się nie we mnie, tylko w lejącą się strumieniem krew.

– Przepraszam.

Mogę to słowo odczytać jedynie z ruchu jej warg. Tego szeptu nie powinno wyłapać ludzkie ucho, ale ojciec odwraca się błyskawicznie w jej kierunku, przyłapując ją na tym zabronionym objawie słabości.

– Nie przepraszaj go – grzmi. – I nie becz, do kurwy nędzy, bo dam ci lepszy powód do płaczu. I spełnia swoją groźbę. Mknie nożem w dół, rozcinając moją skórę od ramienia do łokcia.

Gorąco pulsuje w moich żyłach, szkarłat brudzi moje ubranie i fotel, czerwone smugi tworzą po chwili na podłodze kałuże krwi, ale ból jest ledwie tłem.

– Wychodzisz z wprawy? – kpię. – Bo prawie nic nie czuję.

Ojciec zmienia narzędzie do katowania. Sięga po srebrzący się skalpel. Jednak ten jest inny od pozostałych. Marco zamówił go specjalnie do urzeczywistniania swoich najbardziej poronionych kaprysów. Skalpel ma pięć ostrzy wychodzących z jednego uchwyty i przypomina łapy niedźwiedzia zagrzebujące się w ofierze. Ten przedmiot służy do tego samego. Do rozszarpywania ofiary.

– Mój syn ma być najtwardszym mężczyzną, jaki stąpał po tej planecie. – Tnie mnie głębiej. Kawalek po kawalku.

Sekunda i ostrze noża tkwi już w mojej dłoni. Sterczy pionowo, wciąż delikatnie wibrując. Roznosi ból do najdalszych zakończeń nerwowych.

– Nie... – wrywa mi się z ust.

Ojciec unosi brew.

– Nie? – Czubkiem noża muska moją grdykę.

Rozciągam wargi w drwiącym uśmiechu.

– Nie przestraszysz mnie – mówię.

Ból emanuje do opuszek moich palców. Oddycham głęboko i przez chwilę wydaje mi się, że powietrze rozsadzi mi płuca, ale nie okazuję żadnej emocji. Jeśli się poddam, jeśli pokażę za dużo...

Cleo zaciska powieki tak mocno, że jej oblicze szpecą zmarszczki.

– Wiele razy zostaniesz ranny. Będziesz postrzelony, połamany, torturowany, jeśli dorwą cię wrogowie. Będą chcieli spuścić z ciebie krew, a ty co wtedy zrobisz? – pyta ojciec, a gdy milczę, ponownie kręci ostrzem w ranie. – Co zrobisz, Logan? – ponawia.

– Pozwolę im na to... i nie okażę... słabości.

– Jasne, kurwa, że tak właśnie zrobisz. – Przciska moją głowę do oparcia fotela. – W innym wypadku ja zrobię ci coś o wiele gorszego.

– Nie wątpię.

Zaciska palce, niemal odcinając mi dopływ tlenu. Marco wbija pociemniałe spojrzenie w córkę.

– A potem zrobię to Cleo.

Mała kuli się jak spłoszone zwierzątko w siódmach.

Dźwięk jej imienia i widok jej paniki rozniecają we mnie jeszcze większy gniew. I nagle jestem zbyt wkurwiony i zdeterminowany, żeby czuć ból. Kompletnie mnie to znieczula.

– Nic jej nie zrobisz, sukinsynu – syczę.

– Jej marny los leży w twoich rękach. – Zaciera dłonie. – Runda druga?

– Pokaż, co potrafisz – rzucam zachęcająco.

Wiem, że chce mojego strachu. Upoiłby się nim, ale przestałem obawiać się go już dawno temu. Lęk przykryły pogarda i inne emocje. Poza tym odwiedzałem ten pokój już wystarczająco dużo razy, by przywyknąć do tortur, którymi tak lubi się parać.

Za każdym razem wychodzę stąd coraz bardziej niezniszczalny.

I za każdym razem potwór drzemiący w moim wnętrzu jest coraz bliżej wybudzenia się ze śpiączki i zerwania się z łańcucha, by siać zniszczenie – zaczynając od Marca Rotha, który dzierży teraz w dłoni złotą zapalniczkę.

– Zapalniczka?

Jednym ruchem wznieca płomień. Następnie nadpala ostrze noża, dopóki metalowe zębki nie zaczynają mienić się na pomarańczowo niczym nagrany, rozżarzony węgiel.

– Logan. – Cleo gapi się na poczynania ojca i zaczyna szarpać za trzymające ją kajdany.

– Siedź cicho, Cleo – nakazuję.

– Ojczy, proszę... – Jej loki lepią się do wilgotnych policzków. – Nie rób mu tego...

W pierwszym odruchu mam ochotę wrzasnąć na nią, by się zamknęła. By nigdy go o nic nie błagała, ale ona jest znacznie młodsza, nie rozumie, że najgorsze, co można zrobić, to prosić potwora o litość. To go tylko rozjusza.

Ojciec podchodzi powoli do Cleo. Zupełnie, jakby się zakradał.

– Prosisz mnie? – powtarza.

– Tak – chlipie. Jej dłonie są zwinięte w pięści.

Nie. Nie. Nie, do diabła!

– Nie. Nie odzywaj się, Cleo. Miałaś nie mówić ani słowa i mi zaufać – warczę, by przykuć jej uwagę.

– Wiesz, jak to wygląda, Cleo. Trening musi się odbyć. – W oczach ojca pojawia się jakaś iskra.

– Jeśli nie zrobię tego jemu, zrobię to tobie. Tego chcesz? – Dotyka kciukiem jej włosów, zbierając kosmyk za ucho. Ten dotyk mógłby uchodzić za czuły, jednak ani ja, ani moja siostra nie dajemy nabrać się na tę sztuczkę.

W jego ruchach kryją się zadowolenie i niecierpliwość, bo jakkolwiek decyzję podejmą Cleo, on i tak zwycięży.

– Zaprzecz – nakazuję jej. – Nic mi nie jest. Wszystko w porządku. To się zagoi, po prostu zaprzecz. – Naprężam mięśnie nadgarstków tak, że aż trzeszczą podłokietniki.

Ona jednak nic nie robi. Przygryza usta prawie do krwi, ale się nie wycofuje.

Cholera. Kurwa mać. Nie wierzę, że to się dzieje. Ona nie może mu tego dać. Nie może. Nie poradzi sobie z tym. Jest za delikatna. Zbyt krucha.

– Twój brat chce cię chronić. Ty też byś tego chciała, prawda, kruszynko?

Cleo ulegle spuszcza wzrok. Wie, że ma do czynienia z demonem, ale zaraz unosi na niego spojrzenie i cicho potwierdza:

– Tak.

Nie. Nie. Nie...

Ojciec wraca do mnie i wwierca we mnie czarne tęczę. Wydaje mi się, że potrafi odgadnąć, jakie myśli kołczą mi się teraz w głowie.

– Widzisz? To tutaj tkwi błąd. – Stuka ręką noża w blat stolika, na którym jest taca z tymi pieprzonymi narzędziami. – Jeśli naprawdę chciałeś ją chronić, trzeba było sprawić, żeby cię znienawidziła. Wtedy ona nie chciałaby dla ciebie cierpieć. A teraz... – Urywa, odkładając nóż. Przechadza się wzdłuż pomieszczenia. Planuje. Snuje wizje. Brutalne i wstrętne. O niej.

– Nie waż się nic jej robić! – krzyczę.

Marco rzuca się na mnie i chwytam mnie za kołnierzyk koszuli.

– Nigdy mi nie rozkazuj – warczy. – Przez ciebie to będzie o wiele gorsze dla niej. – Podwija rękawy marynarki.

Dreszcz wstrząsa ciałem Cleo.

– Tato... – mamrocze.

Ojciec ją ignoruje. Wodzi wzrokiem po rzędzie obrazów zawieszonych na ścianie. Wszystkie są ciemne i napawają grozą, a czerwone lampki zawieszane pod sufitem nadają im złowróżbny wyraz.

Założę się, że inspirują go do czegoś pojebanego.

– Nie chcę jej okaleczać, bo blizny na jej ciele będą w przyszłości problemem dla jej męża, a to z kolei będzie problemem dla nas i dla ewentualnych sojuszy i biznesmenów – odzywa się w końcu.

Skręcają mi się trzewia. Wcale nie czuję ulgi, wręcz przeciwnie – martwię się jeszcze bardziej. Cleo w przyszłości będzie jego inwestycją biznesową. Sprzeda ją jak inne towary, a trwale uszkodzony produkt traci na wartości. Nie oznacza to jednak, że ojciec nie znajdzie sposobu, by się na mnie odegrać.

– Co jej zrobisz? – pytam.

– Może coś jej złamię? – Łapie jej drobny przegub. – A może tobie? Jeśli Cleo przeprosi za swoje zachowanie i poprosi, żebyśmy wrócili do przerwanej treningu z tobą, zostawię ją w spokoju.

Wypuszczam oddech i patrzę na siostrę.

– Zrób to, Cleo – żądam lodowatym tonem, na który się wzdyga.

– Właśnie. Zrób to. Powiedz, żebym złamał coś twojemu bratu, a nie tobie – dodaje ojciec ze śmiechem.

Zapada cisza.

Cleo patrzy na mnie, a na końcówkach jej rzęs wiszą już łzy.

Wiem, że czuje się winna. Odpowiedzialna za to, że ojciec wykorzystuje ją przeciwko mnie, a to, że musi tu siedzieć i bezradnie to oglądać...

– Nie – szepcze.

Tym, co słyszę później i jeszcze przez wiele, wiele kolejnych nocy, jest trzask kości Cleo, a potem jej krzyk.

Marco Roth znów udowodnił mi, że miał rację.

Jeśli zależało mi na tym, aby ją chronić, powinienem był sprawić, żeby mnie znienawidziła. Wtedy nie chciałaby dla mnie cierpieć. Tymczasem poświęciła się, bo mnie kocha.

A miłość jest najgorszym, co może spotkać człowieka, który musi codziennie żyć między potworami.



## Rozdział DRUGI

Nie jestem do końca pewien, co wyrывa mnie ze snu, ale czuję w żołądku palący niepokój, a ciemność zalegająca w pomieszczeniu tylko go potęguje.

– Nie! – słyszę krzyk i od razu go rozpoznaję. To jej głos. Głos, który często roznosi się korytarzami tego domu pod osłoną nocy. Zwłaszcza gdy ten skurwiol, którego każą mi nazywać ojcem, wpada w szal.

– Zamknij się, dziwko – dobiega inny: męski i nieznajomy.

Odrzucam kołdrę i siadam, lekceważąc ból po treningach w sali tajemnic. Nasłuchuję innych dźwięków.

– Proszę. Nie róbcie tego – rozlega się błaganie matki.

Oddech więźnie mi w płucach. Nienawidzę takich nocy. Nienawidzę swojej bezradności i praw, według których muszę siedzieć beczynnym zamknięty w swojej sypialni, gdy do moich uszu dociera coraz głośniejsze kwilenie matki. Jestem zmuszany udawać obojętnego. Nieporuszonego. Ktoś taki jak ja prędzej czy później musi stać się skorupą wyzutą z emocji. Musi przeobrazić się w pozbawionego uczuć potwora.

Albo stanie się ofiarą. Jak ona, a ofiarom nikt nie pomaga. Nie tutaj.

Kurwa. Kurwa. Kurwa mać.

– Twój pierdolony mąż najwyraźniej nie zna się zbyt dobrze na tresowaniu suk – znów słyszę obcego mężczyznę. – Co powiedziałem?

W przestrzeni roznosi się pełen bólu krzyk, a za nim inne stłumione odgłosy.

Coś jest nie tak. Ojciec czasami zaprasza do domu bandę swoich równie sadystycznych przydupasów, żeby mogli się zabawić, ale matka jest zwykle tylko jego prywatnym workiem treningowym. W tych grupowych chorych rozrywkach biorą zaś udział dziwki i to na nich ci zwyrodnialcy dają upust swoim pojebanym pragnieniom, ale teraz...

Teraz jest inaczej. Strzały rozlegające się w tle upewniają mnie, że to nie ojciec wyładowuje swoje frustracje na matce, tylko... Ktoś dostał się na nasze terytorium!

Wróg.

– Dam ci podpowiedź – charczy ktoś. – Kazał ci się zamknąć. Najbardziej lubimy milczące dziwki.

Zrywam się na nogi, gdy znów słyszę szloch matki, a potem dźwięki zadawanych ciosów. Pod powiekami pojawia się obraz jakiegoś sukinsyna okładającego ją pięściami, gdy leży na podłodze.

Wściekłość rozlewa się w moim krwiobiegu i zupełnie mnie zaślepia. Sam nie wiem, kiedy staję ukryty za marmurowymi kolumnami na piętrze, by obserwować zza barierki, co dzieje się na dole.

– Jak... Jak się tu dostaliście? – pyta moja matka.

Odpowiada jej rechot jednego z trzech sukinsynów, którzy osaczyli ją jak hieny swoją zdobycz.

Zauważam, że moja matka leży skulona w kącie pod ścianą na zimnej granitowej podłodze. Jej elegancka piżama jest podarta. Poplamione krwią strzępy materiału wiszą u jej rękawów.

Zabiję ich. Zatlukę. Każdego po kolei.

– Ona chyba myśli, że powinniśmy mieć trudności z wtargnięciem do jej fortecy – śmieje się drugi pojeb. Jest ubrany na czarno, a na jego lewej ręce lśnią trzy złote sygnety.

– Nasza ekipa wejdzie wszędzie. Powtórz to. Ludzie Mortella wejdą wszędzie! – odzywa się przywódca tego makabrycznego tria.

– Słyszysz strzały i krzyki? Nasi chłopcy dobrze się bawią. To ich ulubiona krwawa rozrywka.

– Sprawdź górę, wszyscy mają być martwi – poleca lider, a potem pochyla się, by złapać moją matkę za podbródek i odwrócić ku sobie. – Twój mężulek też niedługo dołączy do sterty trupów. Zabity. *Ucciso. Per sempre.* Na wieki – mówi, naśladując marnie włoski akcent.

Moja matka przyciska drżącą dłoń do piersi.

– Jego tutaj nie ma – odpowiada.

Jej słowa sprawiają, że na obliczach napastników maluje się złość. Jeden z nich uderza ją pięścią w twarz. Jej głowa odskakuje i kobieta uderza tyłem czaszki o ścianę. Z nosa cieknie jej strużka szkarłatnej krwi.

Zaciskam szczęki, gotowy wyjść ze swojej kryjówki i dać się zdemaskować, choć to wbrew zasadom. Wiem, gdzie w domu jest każda z wielu skrytek na broń. Wiem, gdzie i jaki znajdę pistolet. Gdzie zajrzeć, by dobrać nóż, gdzie sięgnąć po granat. Mój umysł działa teraz jak mapa, logicznie kalkulując, co zrobić, by najskuteczniej pomóc matce. By ją ocalić.

Jednak wtedy jeden z trzech skurwieli zerka na piętro, jak gdyby wyczuł moją obecność, i rusza za rozkazem swojego przywódcy, by sprawdzić pomieszczenia na górze, więc wbrew walczącym we mnie instyktom opiekuńczym cofam się, by się ukryć i uzbroić.

Słuchaj rozsądku. Na chłodno. Żadnego błędu. Powtarzam to sobie w duchu i chowam się w tajnej skrytce w najbliższym z pokoi.

– Tchórz uciekł? – Słyszę zniekształcone słowa tego, który śmiało podnieść rękę na moją matkę. Nie mogę się doczekać, aż połamię mu tę rękę w dziesięciu miejscach. Kość po kości.

– Nie... Nie było go. Nie ma. Proszę, nie róbcie tego – błaga ich matka.

Mam ochotę zakryć uszy, by zagłuszyć krzyki kobiety, której od dziecka zabroniono mi kochać.

W akompaniamencie jej chaotycznych próśb zaglądam do kilku tajnych miejsc, żeby znaleźć pistolet. Spod lady mahoniowego biurka wysuwa się niedostrzegalna na pierwszy rzut oka szuflada, z której wydaję długi nóż i glocka.

– Gdzie jest?

Słyszę, jak ją biją. Widzę w swojej pojebanej głowie, jak spada na nią grad ciosów, kalecząc jej wątłe ciało, robiąc siniaki, roztrzaskując żebra.

– Nie wiem – kwili.

– Gdzie jest ten chuj?

– Naprawdę... naprawdę nie wiem.

– To jesteś bezużyteczna – grzmi któryś po włosku, a potem rozlega się huk i...

Strzał.

Nie. Nie. Nie! Nie zabili jej...

Zrywam się w kierunku wyjścia, gdy pada kolejny strzał. Znacznie głośniejszy. Bliższy. Słyszę kroki na korytarzu. Wiem, że za chwilę jeden z tych pojebów, który urządził sobie zwiad terenu, staranuje drzwi. Zaciskam palce na glocku i celuję, jednocześnie sięgając do klamki.

Scena, którą obserwuję po ich uchyleniu, jest kurewsko zaskakująca.

Severo. Mój ochroniarz stoi za plecami tego obcego chuja, uderza jego barkiem o futrynę, by ten upuścił broń, a potem skręca mu kark. Zwłoki mężczyzny zwalają się u moich stóp, a ja patrzę niewzruszony na jego zamglone śmiercią, wytrzeszczone oczy.

Nie powinien był umierać tak szybko. Zasłużył na tortury, na których spuściliby z niego krew do ostatniej kropli.

– Cisza – nakazuje Severo, po czym próbuje mnie złapać i wyprowadzić z pomieszczenia.

Odsuwam się gwałtownie.

– Nie dotykaj mnie, dupku.

Zielone, lodowate oczy mrużą się groźnie.

– Odpowiadam za twoje bezpieczeństwo. Nie wejdiesz tam. Reszta sobie poradzi.

Zaciskam dłoń na ostrzu, które zdołałem ukryć pod piżamą.

– Mają moją matkę.

W dupie mam jego żądania. Tak naprawdę nie muszę go słuchać. Może i mój ojciec nim dyryguje, a on gotów byłby poświęcić sobie kutasa pod jego dyktando, ale teraz nikt i nic mnie nie zatrzyma. Jeśli spróbują, przekonają się, że rzeczywiście jestem synem swojego ojca. Że bycie bestią mam w genach.

– Na wojnie straty są nieuniknione – rzuca Severo i pociąga mnie przez hol w stronę tego zasranego bunkra, w którym mnie zatrzaśnie jak tchórze.

– Zabijają ją.

Mój ochroniarz zatrzymuje się. Wytrąca mi z prawej dłoni pistolet, chwyta mnie za gardło i popycha, dopóki nie uderzam plecami o chropowatą, kamienną ścianę.

– Nie rób tego. Nie pokazuj, że ci zależy. Nigdy.

– To moja matka.

– Przez uczucia pozwoliłeś jej stać się bronią przeciwko tobie. – Pochyla się do mnie. – Jeśli zginie, wyjdzie ci to na dobre.

Wyswobodzenie się z uścisku, którym niemal zmiażdżył mi krtań, zajmuje mi mniej niż dwie sekundy. Zwykle miałbym z tym większą trudność. Odbywam regularne treningi właśnie z Severem, bo jest bezlitosnym wojownikiem, ale dziś to mną targają pierwotne, zabójcze instynkty.

Odpycham go od siebie i podsuwam ostrze noża do jego tchawicy.

– Ty skurwielu...

– Gniew też nie jest wskazany, jeśli pochodzi z bezradności. – Uśmiecha się kącikiem ust. – Nauczysz się być obojętny, a wtedy już nigdy nie poczujesz się tak jak dziś. Nigdy nie będziesz bezradny. Nie chciałbyś?

– Chciałbym cię zabić.

– Im szybciej zmienisz się w potwora, tym lepiej dla ciebie.

Pierdol się.

Napieram ostrzem na jego skórę. Widzę, jak przetyka ślinę.

To byłoby takie łatwe.

I dziś naprawdę by mi się podobało. Zrozumiałbym, dlaczego ojciec tak bardzo lubi mordować.

Wtedy słyszę coś, co prędko gasi mój gniew. Płacz mojej siostry. Cichy i daleki.

– Cleo. – Odwracam się, by ruszyć do jej sypialni.

Byłem pewien, że albo sama już się gdzieś ukryła, albo ochroniarze zabrali ją do schronu. Zna instrukcje postępowania w razie wtargnięcia wroga, a mimo to została w pokoju, nie bacząc na to, że jej łkanie może bardzo łatwo ją zdemaskować.

Zrywam się, by ruszyć do niej, ale Severo zastępuje mi drogę.

– Nie.

– Przyrowadź ją tutaj – nakazuję.

Potrząsa głową. Jego bezwzględne spojrzenie sugeruje, że ma gdzieś to, czy zgraja tych zbirów oszczędzi Cleo, czy ją zakatuje.

– Nie. Ty musisz to przetrwać, jesteś dziedzicem. Ona...

Właśnie o to chodzi. O jebane zasady rządzące światem podziemia. One mówią wyraźnie, by ocalić moją siostrę, ale dopiero w drugiej kolejności. Moje życie jest ważniejsze, tylko dlatego że jestem mężczyzną, a wyłącznie mężczyźni mogą dzierżyć władzę i przekazywać sobie przywództwo oraz obowiązki. Gdy ojciec wreszcie zdechnie, to ja go zastąpię. Ja będę musiał tarzać się w tym okrucieństwie aż do ostatniego oddechu, spodziewając się zdrady z każdej strony. Kończąc życie za życiem, kolekcjonując skradzione im dusze jak sam diabeł. A mimo to Cleo jest w o wiele gorszej sytuacji, bo zawsze będzie zdana na łaskę mężczyzn. Nikt nie jest przy niej jedynie po to, by się nią zaopiekować.

Nikt oprócz mnie.

Nie myślę, tylko działam. Wbijam nóż w klatkę piersiową Severa. Raz, drugi, trzeci.

– Powiedziałem – charczę, nie rozpoznając własnego głosu. – Mówiłem, że masz po nią iść.

Zanurzam ostrze w ciele, a krew spływa mi po palcach i plami podłogę. Czuję, że mam ją też na twarzy, dociera do mnie ten metaliczny zapach, który nagle wydaje się tak bardzo uzależniający.

Głowa Severa opada na bok. Na jego ustach zastyga ostatni uśmiech. Wygląda, jak gdyby naprawdę cieszył się, że w końcu umarł.

I może rzeczywiście tak jest.

Podnoszę glocka z podłogi i biegnę do pokoju Cleo. Mój wzrok przyzwyczył się już do półmroku, bo w tym pomieszczeniu, podobnie jak w niemal każdym innym, palą się wyłącznie pojedyncze lampy przypominające pochodnie. Jedna z nich jarzy się także na szafce przy łóżku mojej siostry.

– Logan? – szepcze i wyciąga do mnie drobne, blade dłonie. Ma dopiero sześć lat. Sześćioletnia dziewczynka nie powinna musieć radzić sobie z tyloma popieprzonymi rzeczami, a ona nie ma wyboru. Żadne z nas go nie ma.

– Chodź ze mną. – Podnoszę ją i stawiam na nogi, po czym pociągam za sobą. Chcę ją przytulić i wiem, że ona też tego chce, ale nie mogę. Po pierwsze nie mam na to czasu, po drugie ona rozkleiłaby się przez to jeszcze mocniej, a po trzecie i najważniejsze nie wolno mi tego robić.

– Mama... – szepcze, a broda jej drży.

Naciskam przycisk schowany we wnęce w podłodze. Ukryte za jedną ze ścian tajne przejście powoli się rozsuwa.

– Wchodź, Cleo. – Wpycham ją do środka, mimo jej protestów.

– Nie chcę. Nie lubię tam chodzić. Tam jest ciemno i gubię się w korytarzach. – Zerka na schody prowadzące w dół do wyjścia. Trzyma się mnie kurczowo i nie chce puścić, jakbym był jej jedyną szansą na ratunek.

– Proszę, musisz tam wejść, tam jest bezpiecznie – namawiam.

Zaprzecza ruchem głowy. Blond loki opadają na jej zapłakane policzki.

– Dlaczego mama krzyczy?

Prawda jest taka, że od kilku minut nie słyszałem, żeby krzyczała albo płakała, a to sprawia, że coś, co powinno być już tylko organem do tłoczenia tkwi, kolejnym mięśniem, zaciska się boleśnie.

– Sprawdzę – próbuję ją uspokoić.

– Pójdę z tobą.

– Zostaniesz tam.

– Masz krew na piżamie. – Wskazuje palcem na czerwone smugi na mojej koszuli.

– Skaleczyłem się.

Zaciska usta, a jej czoło się marszczy.

– Kłamiesz.

Wzdycham ciężko. Jest zbyt bystra jak na kilkulatkę.

– Kłamię – ustępuję i mimo że nie powinienem tego robić, gładzę ją po policzku. – A teraz siedź tutaj, dopóki po ciebie nie wrócę. – Zatrzasnę tajne przejście i zabezpieczam je kodem. Podziemny labirynt prowadzący do wyjścia na bezpiecznym terenie został wybudowany już dawno temu i doskonale się sprawdza w takich sytuacjach. Znam każdy jego zakręt i wiem, że Cleo też. Nawet gdyby jakimś cudem komukolwiek z nieupoważnionych do tego osób udało się tam dostać, nikt z obcych nie wiedziałby, jak się tam poruszać i gdzie się ukryć.

Zmuszam się do odsunięcia od siostry, mimo że wciąż jest przerażona.

Nagle słyszę gwizdanie i odgłos ciężkich kroków na schodach.

– Wiem, że gdzieś tu jesteś, mały śmieciu – woła nieznajomy głos. – Nie chowaj się, chcę tylko odciać ci głowę i rzucić w prezencie pod nogi tego skurwysyna twojego ojca, zanim go zabiję.

Rozlega się strzał, a po chwili cała wiązanka przekleństw po włosku. Potem kolejny strzał.

– Logan, nie wychodź! – krzyczy moja matka. Od wrzasków prawie zdarła sobie już struny głosowe, bo tak ją krzywdzili. Milczała tak długo, bo wiem, że nie ma już sił, by wypowiadać słowa, a mimo to próbuje mnie chronić.

Nigdy nie byłem dla niej dobrym synem, bo musiałem być odpowiednim synem dla potwora, ale teraz... Mam to w dupie i wychodzę. Ignoruję świszczące kule, krzyki oraz odgłosy walk toczących się nadal zarówno na podwórzu, jak i w budynku.

Muszę do niej iść.

– Logan, nie... – Moja matka płacze, a gdy widzę, w jakim jest stanie, na chwilę mnie paraliżuje. Potykam się na ostatnim schodku, gapiąc się na jej niemal nagie, zakrwawione ciało i twarz, którą ledwo rozpoznaję.

Co oni jej zrobili?

Zauważam wycelowaną we mnie lufę pistoletu. Ktoś strzela, ja też strzelam. Skurwieli upada, ale ja nie, mimo że z tej odległości nie ma mowy o chybieniu.

I wtedy to do mnie dociera.

Moja matka rzuciła się ostatkiem sił, by mnie osłonić. To jej ciało uderza z głuchym łoskotem o kafelki. To ją trafiono. To pod jej skórą tkwi nabój przeznaczony dla mnie.

Na pograniczu świadomości pakuję cały magazynek w mierzącego do mnie faceta i w jego towarzysza, ale i tak jest już za późno.

Moja matka kona w moich ramionach.

– Mamo... – szepczę, patrząc w jej rozszerzone źrenice.

Furia miesza się we mnie z bólem. Nic nie słyszę. Wiem, że zaraz ktoś może tutaj wpaść i mnie zatłuc. Jeden z ochroniarzy matki leży w przejściu z nożem wbitym w gardło. Gdzieś tam trwa bitwa, a ja klęczę na podłodze i powtarzam sobie, że nic nie czuję.

– Lo... Logan... Obiecuj mi, nigdy nie bądź... Nigdy nie... – Jej powieki opadają. Świadomość, że już nigdy nie będzie mi dane spojrzeć w te niebieskie oczy, jest niemal druzgocząca.

Severo miał rację. Zginęła, bo mi na niej zależało. Gdybym miał to w dupie, siedziałbym w miejscu, a ona nie osłoniłaby mnie przed śmiertelną kulą.

Chciałem ją ocalić, a ją zabiłem.

Umarła, a jej zimna ręka osunęła się po raz ostatni, dotykając mojej. Mimo że nie zdołała dokończyć swej prośby, wiem, co chciała powiedzieć.

O co chciała mnie błagać.

Nigdy nie bądź jak twój ojciec. Nie bądź potworem.

A jednak to właśnie dziś się nim staję.

Po raz pierwszy rzeczywiście nic nie czuję. I to mi się podoba.

## Rozdział TRZECI

W ostatnich latach nauczyłem się, że jestem zdolny do naprawdę popieprzonych, makabrycznych rzeczy. Do czynów, z których nie zostanę rozgrzeszony nawet po wiekach spędzonych w czyścicu.

Zwykle wchodziłem tu, by obserwować, co robią ojciec i jego ludzie. Od czasu do czasu byłem zmuszany do uczestniczenia w torturach, a wtedy udawałem, że ręce, którymi wypełniam jego rozkazy, nie należą do mnie. Patrzyłem i słuchałem, jak zamęczają ludzi na śmierć, sprawiając, że zwłoki, które stąd wywożono, były często bardziej pogruchotane niż samobójcy rzucający się z wieżowca. I udawałem, że to nie moje oczy to widzą.

Dziś to jednak ja sam mam odebrać komuś życie. Na ich zasadach, inaczej niż to bywało dotychczas, kiedy musiałem bronić siebie lub kogoś bliskiego. Kiedy znajdowałem jakikolwiek powód, usprawiedliwienie. Muszę zabić dla przyjemności. Nie mam pewności, czy zdołam udawać, że robię to cudzymi dłońmi, choć bardzo bym chciał.

– Zrób to. Zabij go – nakazuje ojciec i wręcza mi sztylet. Duży i ostrzejszy niż brzytwa.

Patrzę na leżącego bezwładnie u moich stóp faceta. Oddycha, ale jest półprzytomny, a jego liczne rany obficie broczą.

– Dlaczego?

Powody i tak są bez znaczenia. Cokolwiek zrobił ten gość i tak jest już trupem, którego zwłok nikt nigdy nie odnajdzie. Z tego pomieszczenia nie wychodzi się żywym. To pokój śmierci. Zatechły odór roznoszący się w powietrzu nie pozostawia złudzeń.

– Bo to nasz wróg. – Marco miażdży swoim eleganckim butem klatkę piersiową mężczyzny. – Śmieć, ścierwo, zwykle pierdolone gówno.

Przysięgam, że niemal słyszę odgłos jego pogruchotanych żeber. Ojciec cofa stopę i odchodzi, by zasiąść w rogu pomieszczenia na czarnym szezlongu. Obok niego kręci się dwóch umorusanych krwią ochroniarzy. Na szklanym stoliku, przy którym zwykle zasiadają, stoi butelka drogiej whisky... I jakieś dziesięć różnych noży.

Ochroniarze to kiepskie określenie. Seryjni zabójcy.

– Sam go zabij – warczę.

Nienawidzę, kurwa, być pionkiem w jego brudnych grach.

– Okazujesz słabość – syczy. – Gdybyś był pojmany na jego terytorium, on by się nie zawahał i pokroił cię na kawałki. Rozumiesz, ty mały, pieprzony głupku? – Żyła na jego szyi uwypukla się, gdy starcza mi odwagi, by okazać mu sprzeciw przy innych.

– On już ledwo żyje – mówię.

– Logan... – odzywa się Gabriel, który kuca przy obcym, prawie zdychającym gościu. Kręci głową, jakby chciał powiedzieć: rób, co ci każe ojciec, bo będzie tylko gorzej.

Mam go gdzieś. Wszystkich ich mam gdzieś.

– Masz sekundę – szepcze złowrogo ojciec. – Poderżnij mu gardło.

Wlepiam wzrok w mężczyznę na pograniczu agonii. Zauważam, że na kamiennych płytkach leży kilka jego uciętych palców. Powstrzymuję grymas obrzydzenia, bo wiem, że jestem obserwowany. Dlatego pilnuję, by moja twarz pozostała nieprzenikniona.

– Proszę... nie... błagam – charczy ten gość, a jego słowa są dziwnie zniekształcone...

Zęby pewnie też mu wyrwali.

– Słyszysz? Ten kundel błaga nas o litość – stwierdza ojciec z odrazą. – Ale ty jej nie okażesz. Nigdy nie okażesz litości. Powtórz.

To tobie chcę poderżnąć gardło – myślę, pragnąc to wykrzyczeć. Chciałbym, żeby moją pierwszą ofiarą był ten potwór, do którego każdego dnia upodabnam się coraz bardziej.

Gdybym tylko mógł, wydrążyłbym w ziemi nowy ocean i wypełnił jego krwią.

– Nigdy nie okażę litości – odpowiadam, patrząc mu w oczy.

– Udowodnij. – Wskazuje ruchem głowy na sztylet w mojej dłoni. – Wahasz się, a ja dotrzymuję

obietnic.

– Kurwa. – Słyszę głos Gabriela, który już obraca w palcach karambit.

Pewnie Marco Roth zaraz każe mu mnie nim dźgnąć. Ale Gabriel, mimo że bez wątpienia jest chujem, nie lubi się nade mną znęcać.

Ojciec unosi do ust szklankę z bursztynowym płynem.

– Jeśli nie będziesz spełniać moich poleceń, sprawię, że poniesiesz bolesne konsekwencje tego buntu. – Upija łyk. – Dziś nauczysz się skalpować wroga.

Czuję, jak wbrew mojej woli, na mojej twarzy odbija się szok.

– Mam go oskalpować? – powtarzam.

Ojciec się uśmiecha. Wydaje się zachwycony tą wizją.

– To świetna zabawa i kultywowanie starych wojennych zwyczajów – mruzczy. – Jego skalp będzie twoim pierwszym trofeum.

Coś skręca mnie w żołądku. Wyobrażam sobie zdzieranie skóry z tego człowieka, bezkształtne płaty oderwane od kości... Chce mi się rzygać.

– To chore – mówię i w pierwszym odruchu pragnę odrzucić nóż daleko od siebie.

W spojrzeniu ojca zaczyna tlić się coś bardzo niebezpiecznego.

– Zrobisz to albo ja zerwę skórę z ciebie – informuje. – Uczę cię przetrwania, a nie buntu.

Uczysz mnie, jak stać się zębem stulecia i przejąć ten zaszczytny tytuł po tobie.

– Dobra, kurwa mać, dobra.

Prawda jest taka, że gównu mnie obchodzi, co się ze mną stanie. Gdyby ojciec mnie kiedyś przypadkiem zabił, wyświadczyłby mi przysługę, ale on ma asa w rękawie. A tym asem jest Cleo.

Muszę chronić moją siostrę. Dla niej warto zaprzedać duszę szatanowi. Kiedyś i tak przejmę jego rolę.

Ona pozostanie jednak aniołem. Dopilnuję tego.

– Weź skalpel – poleca ojciec, a później zwraca się do Gabriela. – Pokaż mu, jak ma ciąć.

– Natnij go na próbę, gdziekolwiek chcesz.

– Jasne.

Jasne, kurwa, jak słońce.

Tylko że dalej sterczę zmrożony i wpatruję się w skamlące niewyraźne prośby faceta.

Mogłem go po prostu zabić. Teraz te katusze będą się rozwlekać w nieskończoność, bo mój ojciec zaprzagnął przedstawienia, a sam zasiadł na widowni i raczy się alkoholem.

– Tnij, Logan. Teraz – napomina mnie cicho Gabriel.

Jebać to.

Wbijam czubek skalpela w ramię tego typu i pociągam w dół, by wykonać cięcie.

– Więcej. I narysuj jakiś ładny wzór. – Głos Gabriela staje się donioślejszy. Szydzi po to, żeby zadowolić publikę.

Mój ojciec rechocze rozradowany.

Jebać ich wszystkich.

– Tnij głębiej, będzie łatwiej oderwać skórę od ciała – nakazuje.

Czuję smak żółci na podniebieniu. Mdłości narastają, gdy wrzynam ostrze głębiej w miękką tkankę i szarpie w różne strony, wykonując jakieś koślawe zygzaki. Mężczyzna stęka i dyszy, ale staram się go ignorować.

– Słuchaj Gabriela. Jest w tym ekspertem, co? – nabija się mój ojciec.

Zimny uśmiech rozciąga wargi mojego nauczyciela. Obraca na kciuku ten pierdolony karambit.

– Ta. – Oplata wolną ręką mój nadgarstek. – Nie trzęs dłońią – mówi mi do ucha, by nikt poza mną go nie usłyszał.

Łapa mi drży, a w skroniach dosłownie dudni. Wyrzut adrenaliny prawie ścina mnie z nóg, ale to doskonała okazja do ćwiczenia emocjonalnego kamuflażu. Gdyby ojciec mnie przejrzał, zgniótlby mnie jak karalucha.

Wsuwam trzymany w drugiej ręce sztylet pod warstwę skóry i podważam ją. Potem już nic nie widzę przez zalewającą bark nieznajomego krew. Płynie chyba litrami. Prosto na mnie.

– Będziesz rzygać? – Śmieje się jeden z ochroniarzy ojca.

Nawet na niego nie zerkam.

– Co dalej? – dociekam.

– Zedrzyj płat skóry – dyktuje beznamiętnie Gabriel. – Chwyć i zedrzyj ją palcami.

Palcami. Oczywiście, że tak.

Nic mnie to nie powinno obchodzić. Zero zahamowań. Tkwię w środku pieprzonej dżungli otoczony dzikimi drapieżcami i albo wywalczę sobie u nich respekt za cenę własnego sumienia albo stanę się przekąską. Padliną dla tych jebanych sępów.

Wpycham palce w ranę.

– Lubisz to? – pytam niemal bezgłośnie stojącego za moimi plecami Gabriela.

– Szarpnij w dół, jakbyś zrywał plaster – instruuje, ale srogi grymas na jego twarzy zdradza, że mnie słyszał.

– Plaster – pryham. – Dobrze. Kurewsko dobre. – Pociągam za wykrojony fragment skóry, dopóki ten nie odrywa się od ciała.

Krew znowu tryska. Ochlapuje mnie. Mój wzrok zasnuwa mgła, jaskrawe światła lamp rozstawionych po kątach wydają mi się nagle wygasłe.

– Wiesz, jaki jeszcze zwyczaj uważam za wart wznowienia? – Ojciec dorzuca do swojej szklanki kostkę lodu i uśmiecha się do mnie.

Spierdalaj.

– Umieram z ciekawości – ironizuję.

– Picie krwi pokonanego rywala – ogłasza wzniośle. – Wzniesiesz z nami toast. Oczywiście po tym, jak w końcu zakończysz jego marny żywot.

To nie jest pytanie wymagające odpowiedzi, tylko rozkaz rzucony przez kogoś, kto zajmuje najwyższe miejsce w hierarchii podziemia, więc milczę.

– Skalpowanie z definicji polega na ścinaniu płata skóry głowy, ale my nie lubimy się ograniczać.

– Marco bębni palcami o bok karafki z ciemnym płynem. – Wybierz następny fragment.

– Nie. Nie. Nie... – chrypi ten gość na podłodze. Gdy tylko odzyskuje przytomność, zaczyna więc się po podłodze jak szalony.

– Zamknij mordę, bo nauczę go na tobie, jak wyrywać języki – ostrzega Gabriel ku uciesze ojca.

Niespodziewanie nieznajomy chwyta mnie za rękę.

– Nie rób tego. – Jego opuchnięte oczy ledwo ukazują zielone tęczówki. – Po prostu mnie już zabij.

Wrywam się i odsuwam.

Czekam, aż zaleje mnie współczucie, ale nic takiego się nie dzieje. Jakaś emocja odbija się we mnie echem i po sekundzie znika.

Ten facet nic mnie nie obchodzi. Gdyby ojciec to wiedział, byłby dumny.

Gdyby matka to wiedziała, byłaby załamana.

– Urźnij mu jeszcze kawałek, dawaj – dopinguje mnie ojciec. – Jesteś Roth, Logan Roth, a to zobowiązuje.

Widzę, jak poprawia garnitur, rozpina guzik przy mankietach i układa na blacie stołu brylantowe spinki.

Wydaje się zrelaksowany i wniebowzięty, bo jestem jego marionetką. Będę nią, dopóki oddycha.

– Masz budzić grozę w każdym, kto znajdzie się w zasięgu twojego wzroku – dociera do mnie rozkaz Gabriela.

Pozwalam, by gniew mnie okiełznał, przejął nade mną kontrolę. Już bez wahania powtarzam poprzednie czynności. Nacinam skórę mężczyzny, nakreślam na niej rozmaite zygzaki, jak jakiś psychotyczny artysta, który maluje krwią i wnętrznościami ofiary. Na końcu odrywam skórę z drugiego ramienia i rzucam ją ojcu pod nogi.

– To jest nudne. – Wzdycha ojciec. – Obetnij mu coś wreszcie. Na przykład palec. Jeden z pozostałych. Albo przestrzel mu łapę. Cokolwiek.

Gabriel trąca mnie dyskretnie w bark.



– Logan?

Pod ostrzałem ich spojrzeń i głupich uśmiezków wybucham. Zaczynam dźgać gościa powalonego na podłogę i zdzierać z niego kawałki skóry. Jeden za drugim bez opamiętania. Sztylet zostawia kilkanaście dziur w jego ciele, przecina tętnice. Krew pulsuje z ran, cieknie zewsząd, aż wreszcie wbijam mu ostrze w gardło i podcinam.

Koniec.

– Już. Zadowolony? Tego chciałeś? On jest martwy, a ja jestem mordercą – ogłaszam, wycierając rękę w koszulę. Kiedy tu przyszedłem, była nieskazitelnie biała, teraz jest purpurowa.

– Nie podnoś głosu! – grzmi ojciec. – Musisz nauczyć się opanowania. – Wskazuje na trupa. – To nie było zachowanie godne pochwały. To był napad hysterii, a napady hysterii są dozwolone tylko dla kobiet.

Zaciskam zęby tak mocno, że aż czuję drganie szczęki.

– Podejdź tu – żąda Gabriel.

Odwracam się.

– Czego?

– Zaszlachtowałeś go, a miałeś nauczyć się wykonywać perfekcyjne cięcia. – Jego oblicze ukazuje jedynie chłodne potępienie. – Weź nóż.

– Ja to zrobię. – Ojciec podnosi się z kanapy. Zdejmuje marynarkę i zawiesza ją na oparciu. Potem opróżnia szklankę jednym haustem. Idzie ku mnie.

– Co?

– Milcz i podaj mi rękę. – Ujmuje mój nadgarstek w żelazny uścisk i zamyka palce na sztylcie. – Musisz to robić w ten sposób.

Śledzę, jak ojciec prowadzi moją rękę, następnie łapie martwego faceta za głowę i podrzyna mu gardło jednym płynnym, równym ruchem. Wprawionym setkami podobnych prób. Używa do tego mojej dłoni.

– Rozumiem.

– No to teraz wspomniany wcześniej toast – zapowiada, a jego głos rozbrzmiewa w najdalszych zakątkach pomieszczenia. – Przygotujcie drinka dla mojego syna.

Gabriel czeka ze szklanką przysuniętą do poszarpanej tętnicy szyjnej. Krople skapują po szkle, a gdy zapełniają dno, podchodzi i nalewa do niej alkoholu z karafki.

– Do dna – poleca Gabriel.

Wiem, że muszę to zrobić, bo rozwścieczyłem już ojca do granic i jeśli jeszcze je przekroczę, zemści się nie tylko na mnie. Przysuwam usta do brzegu szklanki pod czujnym wzrokiem Marca Rotha.

Wypijam i robię wszystko, by się nie zrzygać.

Gdzieś w oczach ojca dostrzegam błysk triumfu.

Już nie jestem sobą. Jestem kimś innym. Kimś, kim kilka minut temu nie chciałem być, a teraz mam na to wyjebane.

Tak, to ja. Zabójca. Kopia człowieka, którym pogardzam.

## Rozdział CZWARTY

Mój ojciec w żadnym razie nie był dumny z mojej postawy przed jego publiką. Nie podobało mu się to, że neguję jego polecenia i waham się przed ich wykonaniem. Powinienem być maszyną do zabijania, tymczasem każdy w pokoju mógł bez problemu wyczuć, że wcale nie mam ochoty na zabijanie, a już na pewno nie kręci mnie to tak jak pozostałych – ich ostatnie tchnienie ofiary odurzało lepiej niż najdroższy narkotyk.

A mnie czekała kara. Odwet za nieposłuszeństwo. Tylko że tak naprawdę wcale nie ja miałem ją ponieść, a ona...

Pierdolony... pierdolony śmieć.

– Chodź tu, Cleo. Nie chowaj się przed tatusiem. – Głos ojca rozbrzmiewa w korytarzu niczym grzmot. Maszeruje przed siebie, zaglądając do każdego pokoju. Drzwi uderzają o ściany, zawiasy chyboczą, a jarzeniówki zawieszane pod sufitem migoczą. Wszystko zdaje się wyczuwać niebezpieczeństwo, które spowija Marca Rotha.

Muszę zareagować.

Podążam za nim krok w krok nabuzowany złością.

– Zostaw ją, ukarż mnie. To była moja wina! – wołam. – Przestań ją straszyć, przez ciebie jest przerażona.

– Przerażenie jest dobre. Motywuje do posłuszeństwa bardziej niż cokolwiek innego – odpowiada.

– Tylko słabi potrafią tego używać jako broni. Jedynie przerażenia. Już na nic innego cię nie stać?

– Uważaj.

Ojciec obraca głowę. Jego tęczyówki przybierają barwę głębokiej nocy.

– Pierdol się – odpowiadam.

Uśmiecha się z politowaniem. Jego rozpięta koszula faluje, gdy wkracza do pogrążonej w ciemności sypialni Cleo.

– Wiem, co robisz. Chcesz odwrócić od niej moją uwagę – mruczy. – Ale ja wiem, jak grać w tę grę. Lepiej też okaż posłuszeństwo. Inaczej Cleo będzie bardzo cierpieć.

Ma rację. Prowokuję go, bo chcę, żeby skupił się na mnie. Jeśli teraz dopadnie Cleo...

Jest skurwielem w pełnej krasie. Działa jak maszyna kierująca się prymitywnym pragnieniem rozładowania nagromadzonej agresji. A za cel obrał sobie swoją córkę.

Tylko że kiedy pęka ta ostatnia tama, ojciec wpada w szał. Obłęd czy cokolwiek innego każe mu wytarzać się w cudzej krwi, rozkoszować się czyjąś niemocą, łzami i krzykami.

– Ty... – Uderzam pięścią w ścianę. – Co mam zrobić? Co chcesz, żebym dla ciebie zrobił? Po prostu powiedz.

Ojciec rozgląda się w mroku. Podwija rękawy koszuli, prawie drąc je na strzępy.

– Cleo, wyjdź. Wiesz, że i tak przede mną nie uciekniesz! – krzyczy.

Staję przed nim, strącając z biurka siostry jakąś figurkę. Porcelanowe odłamki rozsypują się na podłodze.

– Czego ode mnie chcesz?! – drę się.

Jestem tak wkurwiony i... bezsilny. Mam ochotę zrobić krzywdę sobie. Jemu. Chcę bólu, w którym się zatracę i zmyję z siebie tę jebaną bezradność.

– Każ jej wyjść – nakazuje.

Krzyżuję ręce na piersi.

– Nie.

Ojciec wymierza mi policzek, a potem łapie za kark i unieruchamia.

– Konsekwencje jej nie ominą. Chcesz, żeby to było dla niej lżejsze i szybciej się skończyło? – pyta. – Wywab ją z kryjóWKi. Teraz.

Tak bardzo chcę ją uratować, ale nie ma żadnego sposobu na to, abym mógł ją ocalić. Żeby jej

nie tknął. Nie zdołałam go powstrzymać. W końcu i tak by ją dopadł, a wtedy...

Kurwa mać.

– Cleo... Wyjdź – mówię i czuję się jak zdrajca.

Mogę okazać lojalność tylko wobec tego skurwiela, choć nigdy wcześniej tego nie zrobiłem.

Słyszę ciche kwilenie, a potem...

– Nie chcę. On zrobi mi krzywdę – słysząc skądś spanikowany szept. – Wiesz...

Przełyk mnie pali żywym ogniem.

– Będę przy tobie. Cały czas. Obiecuję.

– Ja...

Ojciec wyciąga skórzany pasek ze spodni. Metalowa klamra wali o podłogę.

– Wyłaź, mała suko, albo sam cię wydostanę.

Cleo wyczołguje się powoli spod łóżka.

– Przepraszam – mówi, ale nie wstaje, tylko zwija się na dywanie w ciasny kokon.

Kurwa mać.

Ranię paznokciami wnętrze dłoni.

Ta embrionalna pozycja to jej jedyny sposób, żeby się bronić, a to ja powinienem być jej tarczą.

Jej zbroją trzymającą każde zło z daleka.

– Okazałaś brak szacunku, sprzeciwiając się moim poleceniom. Nie prowokuj więcej – syczy ojciec i wyciąga rękę, by po nią sięgnąć.

Cleo szlocha i spłoszona ponownie próbuje ukryć się pod tym pierdolonym łóżkiem.

– Przepraszam – powtarza drżącym głosem.

Marco wymierza jej cios. Niebieskie oczy dziewczynki rozszerzają się z bólu i szklą od łez.

Co mam zrobić? Muszę coś, kurwa, zrobić... Nie będę tu sterczał jak zasrany tchórz i przyglądał się, jak ten socjopata maltretuje moją siostrę!

A jednak stoję. Bo gówno mogę. Bo odetchniemy z ulgą dopiero nad jego trumną, a nawet gdybym teraz go zabił, ostatecznie ocaliłbym nas tylko na chwilę. Złamałbym zasady i podpisał kolejny wyrok śmierci. Na nas oboje.

Sukinsyn unosi rękę do kolejnego ciosu.

– Bardzo słusznie. Jak śmiesz się tak zachowywać? Nie tak cię wychowałem!

– Ojcze... – odzywam się, trzęsąc się od furii.

Marco wplata palce w jej włosy i odchyła bladą twarz Cleo, by na nią spojrzeć. Jego palce wbijają jej się w skórę policzków z taką siłą, że niebawem pojawiają się na niej zasinienia.

– Czy znasz swoje miejsce?

Cleo wykrzywia usta.

– Tak. Powinam... Powinam okazać wdzięczność i uległość, bo jestem... – Zachłystuje się śliną. – Jestem na samym dnie hierarchii tego świata. – Dziewczynka recytuje wyuczoną formułę.

– Kurwa, oczywiście, że tak. Cieszę się, że to jest jasne. A teraz czas kary.

Spoglądam na moją siostrę i nie pozwalam sobie odwrócić wzroku, bo patrzeć na nią teraz jest moją karą.

– Przykro mi – szepczę bezgłośnie.

Zawiodłem ją. Rozczarowałem.

– Co powinienem z tobą zrobić? – Docieka ojciec prawie delikatnie. Lustruje ją milimetr po milimetrze. Ocenia. Gładzi jej potargane, jasne włosy, potem osuwa dłoń niżej. Jego kciuk wiedzie po boku szyi.

Gapię się na to ze zgrozą. Bo już wiem, co się stanie.

Marco zaciska swoją plugawą łapę na jej delikatnej skórze. Poddusza ją.

– Nie mogę... – Cleo próbuje wciągnąć powietrze w płuca. Szamocze nogami, chcąc wydostać się z uchwytu. Jej pomięta granatowa sukienka szeleści dziwnie głośno.

– Mógłbym cię zniszczyć. Was oboje. – Ojciec posyła mi groźne spojrzenie. – Właściwie będę to robić, dopóki nie pogodzicie się z moją przewagą. Pamiętaj. Tylko ja wygrywam.

Kiedyś cię zaszlachtuję z ogromną przyjemnością – myślę, a głośno powtarzam po nim tonem

pełnym wyuczonego szacunku:

– Tylko ty wygrywasz.

Z gardła mojej siostry wydobywa się krótki przeraźliwy krzyk, a ja wyobrażam sobie, że stoję nad grobem Marca, pluję na jego trumnę i zanoszę się śmiechem.

– Cleo? – warczy ten potwór i rozluźnia palce, by mogła mówić.

Dziewczynka robi łąpczywy wdech. To kolejny odgłos, który będzie prześladował mnie w koszmarach.

– Tylko ty wygrywasz – szepcze. – Zawsze.

Jestem beużyteczny.

Pokonany.

Bezcynn timer wpatruję się, jak skurwiel pastwi się nad moją siostrą. Ona dygocze i płacze, a ja, kurwa, stoję w jej sypialni, gdzie żaden najmniejszy szczegół nie dowodzi o wrażliwości mieszkającej tu kilkuletniej dziewczynki. Kolory ścian są stonowane, ozdoby wytworne, a stroje w garderobie szykowne. Zabroniono jej odkryć własną osobowość. Zabroniono jej wszystkiego, czego nie aprobeuje ten wykolejony popapraniec. Nie wystarczy mu wyładowywanie się na mnie i swoich dziwkach. Musi zniszczyć też dziecko.

Jedyną wartościową osobę w moim żalonym życiu.

– Brawo. – Kolejny cios spada na twarz Cleo. – Kurwa, brawo.

– Boli.

– Bez skarg. – Potrząsa nią jak szmacianą lalką.

Nie mogę, kurwa mać.

– Ojcie... – odzywam się, ale nic do niego nie dociera. Ma nieobecny, błędny wzrok.

Wyciera szorstkim ruchem wilgotne ślady z jej brody.

– I bez łez.

Cleo zwisa bezwładnie w jego objęciach. Już nie walczy, tylko jej ciało co chwilę trzęsie się w ataku konwulsji.

Ojciec wygina jej rękę za plecy tak bardzo, że kość zaraz pęknie.

Wściekłość sprawia, że wszystko mnie swędzi. Czuję, jak wpełza pod moją skórę niczym jadowity grzechotnik i każe kasać. Zanurzyć kły we krwi ojca.

– Wystarczy – rzucam się na niego i osłaniam Cleo. – Dość już. Nie możesz jej zabić.

Może, ale nie do końca chce, bo ona jest piękna i w przyszłości planuje wydać ją za mąż za jakiegoś innego pojeba, by zwiększyć swoją władzę.

Tylko że nie wie, że tego już nie dożyje.

Ojciec rozciąga wargi w upiornym uśmiechu i nie odwracając ode mnie spojrzenia, wymierza jej jeszcze jeden cios. Strumień krwi leci jej z nosa.

– Skoro tak mówisz – odpowiada i wstaje. Odpycha od siebie zamroczoną Cleo.

Nim zdołam zareagować, moja siostra leci w tył i wali głową w kant szafki. Traci przytomność.

Coś przewraca mi się w żołądku, kiedy zmuszam się, by nie reagować.

Pragnę porwać ją w ramiona i przytulić. Nawet nie jestem pewien, czy oddycha. Zawsze była krucha. Nie mogę jednak okazać słabości.

– Zostawimy ją tak tutaj? – pytam, udając opanowanego.

– Wezwij do niej któregoś lekarza. Niech sprawdzi, czy nie zdechła. – Marszczy czoło. – Jeśli tak, cóż, szkoda.

– Jasne.

Ojciec parska śmiechem, jakby mnie przejrzał.

– Rozchmurz się, Logan, mogę ci machnąć jeszcze jedną siostrzyczkę, jeśli ta się przekreśli.

– Zerka na złoty rolex na swoim przegubie. – I niech ktoś zmyje tę krew. – Po tych słowach wychodzi wreszcie z pokoju.

Obyś spłonął w piekle, skurwysynie.

Klękam przy siostrze, gdy do pomieszczenia wchodzi Gabriel.

– Cleo? – Odgarniam jej włosy z czoła, szukając uszkodzeń czaszki, a potem zwracam się do

ochroniarza: – Nie gap się, tylko zadzwoń po lekarza, do chuja.

Gabriel sięga do kieszeni spodni i wyciąga telefon.

– Oddycha? – pyta, przykładając aparat do ucha.

To jedno słowo mrozi mnie od wewnątrz.

– Oczywiście, że oddycha. Nie umrze. Nie wolno jej. – Desperacko szukam pulsu. – Słyszysz?

Nie wolno ci.

Krew sączy jej się z rozcięcia łuku brwiowego, a ja dopiero moment później znajduję słabe tętno.

Ulga jednak rozplywa się, gdy wyczuwam opuszkami inną ranę. Z tyłu jej głowy. Już po kilku sekundach cała moja dłoń tonie w szkarłacie.

Nie. Nie, kurwa, nie...

Słyszę, jak Gabriel gada gdzieś w tle przez telefon z lekarzem, ale wszystko, na czym się koncentruję, to rytm bicia serca Cleo.

– Niedługo będzie – oznajmia Gabriel, zatrzymując się w progu.

Próbuję wytrzeć krew z twarzy siostry, ale jest jej za dużo.

– Obudź się. Otwórz oczy – proszę cicho.

Nie opuszczaj mnie. Jeśli to zrobisz, ja... Nie będę miał już żadnej kotwicy trzymającej mnie z dala od zła.

– Zostaw ją – nakazuje Gabriel.

Podnoszę wzrok. Chyba postradał zmysły.

– Co?

– Twój ojciec zaraz tu wejdzie. Zostaw ją i zajmij się czymś innym.

Już mam kazać mu się pierdolić, gdy dociera do mnie słaby jęk.

– Lo... Logan? – Cleo trzepocze powiekami.

– Jestem tutaj. Już dobrze – nucę kojąco.

Moja siostra rozgląda się na boki, a jej rysy szpeci rozpacz.

– Nie zostawiaj mnie... – Pięściami dotyka swoich oczu. – Ja... Ja nic nie widzę. Nic nie widzę.

Dlaczego?

Milczę, bo słowa grzęzną mi w krtani, ale nie przestaję głaskać jej po włosach.

– Nie płacz. Ojciec nadchodzi – mówię. – To minie. Przysięgam. – Działając wbrew własnemu instynktowi, wstaję i podchodzę do Gabriela.

Wciąż odtwarzam w myślach jej słowa.

Nic nie widzę. Dlaczego?

Nic nie widzę. Dlaczego?

Przytłacza mnie poczucie winy, ponieważ doskonale wiem, że to przeze mnie. Pozwoliłem mu to zrobić.

A wkrótce potem okazało się, że nie dotrzymałem złożonej przysięgi. Nie minęło. Wzrok nie wrócił.

To tamtego dnia zacząłem odliczać godziny do zamordowania ojca i tworzyć perfekcyjny plan tej zbrodni.

## Rozdział PIĄTY

*Kilka lat później...*

To dziś był ten dzień. Najlepszy w całym moim godnym potępienia życiu.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? To duże ryzyko. – Tom człapie obok mnie. Jego entuzjazm jest co najmniej taki, jak gdybym za moment miał kazać mu włożyć jego durny łeb pod gilotyne.

– Mam ci przypomnieć, że sam wykończyłeś swojego ojca i...

– I starszego brata. Tak, pamiętam. – Mruży oczy. – Po tym wszystkim moja siostra bała się mnie tak bardzo, że popełniła samobójstwo.

Tak, cóż. Pojebana sytuacja. To w zasadzie wyjaśnia, czemu Tom jest takim czubem.

– Cleo się mnie nie boi.

Wkurwia mnie, że w ogóle ma czelność coś takiego insynuować. Całe lata czekałem na ten dzień i nie wycofam się teraz.

Tom wrzuca do ust gumę miętową i rozgląda się po pomieszczeniu, w którym roi się od rozebranych lasek. Ten widok rozproszyłby każdego faceta z działającym kutasem, ale Tom nie wypatruje sobie dziwki, którą przeleci. Przeciwnie, szuka zagrożenia. Jest czujny i gotowy do ataku. Zawsze.

Tak szczerze mówiąc, Thomas to obecnie największy pojeb zasilający moje szeregi. Jest tak porąbany, że porwie się na każdą ekstremalnie niebezpieczną akcję, a jednocześnie wciąż pozostaje wystarczająco poczytalny, by wykonywać polecenia i nie trafić do domu bez klamek.

Pojawił się kiedyś taki jeden czubek, który pod osłoną nocy mordował przypadkowych ludzi, byleby tylko poczuć smak śmierci. Psychol totalny, a takich najtrudniej kontrolować, bo nie odczuwają strachu. Dlatego musiałem się go pozbyć.

Mam nadzieję, że mój popieprzony przyjaciel nie podzieli kiedyś jego losu.

– Jesteś pewien, bo...

– Bo co?

– Bo moim zdaniem zbliżasz się do zatracenia – ostrzega. – Uważaj.

No chyba robi sobie jaja. Ja? Blisko zatracenia się? Nic z tych rzeczy, mam wszystko pod kontrolą.

Zabijanie bywa uzależniające. Jasne, kurwa, że tak. Kiedy czujesz na skórze ostatnie tchnienie wroga, jest mniej więcej tak, jakbyś odurzył się lepszą wersją koki, ale nie grozi mi status zaślepionego żądzą krwi psychopaty.

– Nie pouczaj mnie, kurwa. Teraz zgrywasz świętego? – pry cham z piną.

– Pomogę ci, ale...

Jakaś prostytutka zaczyna zadziornie ocierać się o plecy Toma, ale on tylko kręci głową i poprawia spluwę pod ubraniem.

Mam ochotę rzucić jakąś wredną uwagę, ale wtedy go zauważam.

– Już jest – mamroczę.

Wypełnia mnie dzika, niespokojna energia.

Ojciec przyszedł. Przemierza korytarz krokiem pierdolonego pana tego świata.

Nie domyśla się, że przybył na swój własny pogrzeb.

Na usta Toma wypływa leniwy, złowieszczy uśmiech.

– Znając jego upodobania, weźmie sobie dwie, może trzy, dziwki do zabawy... Ty weź własne i dołącz do niego. – Zagarnia z tacy niosącej przez półnągą kelnerkę kieliszek z tequilą i wychyla go jednym łykiem.

Robię to samo, oblizując wargi. Blond dziwka omiata mnie łakomym spojrzeniem i puszcza oczko. Jej skóra mieni się w świetle kolorowymi drobinkami. Najwyraźniej wcześniej zanurkowała w brokacie albo innym rażącym wzrok gównie.

– Już nie mogę się doczekać – rzucam i sięgam do kieszeni po ulubione cygaro.

Tom odpala jedną ze swoich zapalniczek.

Zapomniałem wspomnieć, że jest piromanem. Ogień jara go bardziej niż jakakolwiek dupa.

– A co z jego przydupasami? Ochroniarze zostaną w tym samym pokoju? – docieka.

– Gabriel wyciągnie ich na chwilę.

– On... wie?

– Nie. Chciałbym, ale nie ufam nikomu poza tobą. Zaczynamy.

Krew buzuje mi w żyłach. Czuję się jak na haju.

Tom spogląda na zegarek na jego wydzieranym nadgarstku. Srebrna bransoleta kontrastuje z trupa czaszką namalowaną na jego skórze. Pod garniakiem za kilka tysięcy dolarów ma schowany cały arsenał.

Znowu zaczyna otaczać nas tłum roznegliżowanych lasek. Są napalone jak jebane kotki w rui, a od kolorowych światełek migających dookoła prawie pierdoli mi się w głowie. Wszędzie czerwone ściany, wijące się dziwki w maskach, łańcuchach i chuj wie czym jeszcze. W rogu pokoju rozgrywa się jawna orgia.

Może jednak burdel to nie najlepsze miejsce na taką akcję.

– Nie ma za dużo czasu. Mój człowiek już dał cynk tym zębom, że tu jesteście. Niedługo przyjadą was rozstrzelać – obwieszca mój kumpel.

Uśmiecham się rozbawiony.

– Spróbować rozstrzelać – poprawiam.

Nigdy nie przewidziałbym, że sam będę podkładał się tym skurwielom z południa.

Tom znika, żeby zająć się szczegółami.

– Logan, gdzie się włóczysz? – Ojciec wyrasta przede mną, gdy sięgam po kolejnego drinka. Trzy dziwki chichoczą uwieszone na jego ramieniu.

Wydymaj je na całego. To twój ostatni raz.

– Thomas tu jest – rzucam jako wymówkę. Zwykle trzymamy się razem.

– Są też dziewczynki – rechocze. – Częstuj się. Wiem, że lubisz rude suki. – Popycha w moją stronę kobietę w różowym, skąpym stroju.

– Co mogę dla ciebie zrobić, żeby cię zadowolić? – przymila się, wiodąc neonowym paznokciem w dół mojego torsu. Na jej dekolcie mieni się chyba z dziesięć naszyjników, a koronkowa spódniczka ledwo zakrywa jej pośladki.

Idę za ojcem do prywatnego apartamentu, którego jest właścicielem. Ma taki pokój w każdym burdelu w tym mieście. Gdy tylko przekraczam próg i zamykam drzwi butem, ruda dziwka pochyla się, chcąc mnie pocałować.

– Nie. – Chwytam ją za gardło i brutalnie odpycham. – Nienawidzę się całować. I nie zamierzam całować kurew. Obciągnij mi. Od tego jesteś.

Dotąd nie pocałowałem ani jednej laski. Założę się, że inni faceci robią to tylko dlatego, żeby uciszyć swoje marudne kobiety. Wszystkie uwielbiają takie rozczulające, romantyczne pierdoły, a jeśli gość nie zaspokoi ich dziwacznych potrzeb, potrafią stać się cholernie upierdliwe.

Bo jaką może dać przyjemność całowanie, kiedy wszyscy wiemy, że mężczyźni wolą, żeby kobiety używały swoich ust do lizania ich fiutów.

– Żadnych gier wstępnych? – pyta ojciec, zasiadając na fotelu. Dwie dziwki biegną za nim jak wytresowane ratlerki.

– Takich jak twoje? – odbijam cynicznie. – Mam je skatować, a potem wypieprzyć?

Ruda opada na kolana i rozprawia się z moim rozporkiem.

Marco unosi kącik ust. Wplata dłonie we włosy obu swoich suk i szarpnięciem odchyła im głowy. Blondynka i brunetka jęczą z zachwytem.

Wybrał sobie takie, które lubią ostrą jazdę. Nie wiedzą tylko, że gdy ojciec z nimi skończy i użyje ich do spełnienia swoich poronionych fantazji, najpewniej będą musiały udać się na oddział intensywnej terapii.

– Jeśli cię to podnieca – nuci.

Nie podnieca mnie przemoc.

Łamanie kości, krew lejąca się z licznych ran, błagalne wrzaski. To wszystko mnie zajebiecie kręci, o ile bawię się w tę grę z kimś gorszym ode mnie. Krzywdzenie bezbronych i słabszych nie daje mi żadnej satysfakcji.

– Robię, co chcę.

– Powinieneś spróbować, zanim skreślisz to z listy. Kto wie, może się rozsmakujesz. – Jego oczy już świecą w ten pojebany sposób.

Tak, chciałby, żebym był jego doskonałą repliką.

Ruda rozpina guziki mojej koszuli, a potem klęka.

– Jak lubisz rznąć kobiety w usta? – pyta, wachlując sztucznymi rzęsami.

– Na milcząco – odpowiadam i popycham jej twarz w stronę mojego sterczącego kutasa, zmuszając ją, by wzięła go w usta.

Ociec okręca swój czarny sygnet na palcu.

– Na pewno? Dźgnij ją, a zobaczysz, jakie to ekscytujące, kiedy krzyczą i lekko krwawią.

Ruda dziwka odskakuje z przerażoną miną.

– Nie przerywaj. To ma być szybki numer. Nie mam za dużo czasu. – Łapię ją za kark i ponownie wpycham penisa między jej bordowe wargi. Czuję, jak jej język zaczyna wirować wokół trzonu.

Ojciec przechyla głowę w bok. Jedna prostytutka już siedzi na nim okrakiem i się o niego ociera. Sekundę później wskakuje mu na fiuta i zaczyna podskakiwać jak opętana. Brunetka całuje blondi z mokrym młasińciem i rżnie się palcami ojca.

– Co takiego pilnego masz w planach? – pyta Marco. Jedną ręką wciąż poddusza ujeżdżającą go blondynkę.

Wyszczierzam zęby w uśmiechu.

– Nigdy byś nie zgadł – mówię.

Ruda suka mruczy z rozkoszą, jakby chciała codziennie pożerać mojego penisa. Jej głowa podskakuje w górę i w dół, a dłonie szczypią sutki.

Rozsiadam się wygodniej na swoim fotelu i pozwalam sobie na kilka minut przyjemności. Okręcam sobie ogniste kosmyki wokół nadgarstka i sam nadaję ruchom prostytutce odpowiednią prędkość. Posuwam jej usta mocno i szybko, a ona poddaje się, najwyraźniej wniebowzięta. Gdy czuję, że zaraz dojdę, wciskam jej fiuta aż do samego gardła i uderzam główką o podniebienie. Nakazuję jej, by ssała mnie mocniej, lizała szybciej, a później strzelam bez ostrzeżenia, sprawiając, że krztusi się moim nasieniem.

Gdy ją puszczam, jej szminka jest rozmazana, a sperma spływa z kącika warg. Ona zaś uśmiecha się gotowa i chętna na drugą rundę.

Skamłający krzyk sprawia, że zerkam w kierunku ojca. Blond dziwka trzyma się za policzek, a ta druga leży odepchnięta na dywan. Na jej szyi i ramionach zaczynają się pojawiać siniaki.

Aha, Marco też już skończył. A raczej skończył się rozgrzewać.

– Dzwoni Gabriel, każe nam się szybko zgłosić. Podobno jest jakiś problem.

Za plecami ojca wyrasta jeden z jego goryli. Drugi wciąż tkwi cicho w kącie i czeka na polecenia.

Przeszywa mnie dreszcz.

– Pięć minut i wracacie – nakazuje ojciec.

No to zaczynamy.

Pięć minut. Mam trzysta sekund, by go wykończyć. Zabić. Usłyszeć jego ostatni żalony oddech.

Wystarczająco, kurwa, dużo.

– Nie ruszaj się – szepczę rudej dziwce do ucha. – Ani drgnij, to może przeżyjesz.

– Co tam szepczesz? – Marco przygląda mi się podejrzliwie.

Ma dobrą intuicję.

Przywołuję na twarz chłodną, nieprzeniknioną maskę.

– Że zaraz zdechniesz – oznajmiam wprost.

Sekundę później już wyciągam ukryty w nogawce mały pistolet. Najcichsze cacko, jakie istnieje, z dokręconym tłumikiem. Celuję i strzelam, a niewielki pocisk trafia ojca w pierś.



– Co...? – Oszołomiony przyciska pięść do miejsca, gdzie tkwi kula, i zaczyna kaszleć.

– Nigdy nie chybiam, sam tego dopilnowałeś – oznajmiam, podnosząc się. – Wielkie, kurwa, dzięki. Przydało się.

Nagle jedna z dziwek zaczyna wrzeszczeć jak pojebana. Cudem nie wysadza tym jazgotem szyb w oknach. Przekładam lufę pistoletu do jej skroni.

– Nie... – kwili i zasłania się rękami, jakby to mogło ją, kurwa, uratować, gdybym zechciał ją nafaszerować ołowiem.

– Nie drzyj się. Potrzebuję ciszy, a krzyk i tak ci nie pomoże. – Łapię jej podbródek w bolesny uścisk. – Myślisz, że ktoś odważy się tu wejść, żeby was uratować i nam przerwać? Dobrze wiecie, kim jesteście.

Nie wspominam o tym, że wszyscy spodziewają się krzyków dobiegających z tego pokoju. Każdy zna skrzywione upodobania mojego ojca.

– Przepraszam. Przepraszam. Nie zabijaj nas. – Blondynka zaczyna płakać i przemyka na czworaka pod ścianę. Ściąga satynowe okrycie z wielkiego łoża i owija się nim.

– Potrzebuję tylko jednego trupa – stwierdzam i skupiam się na Marcu.

– Zdrajca. – Ojciec dyszy coraz ciężiej i zaczyna osuwać się z siedzenia na podłogę. – Lepiej przerwij. Wiesz, co cię czeka za zdradę? Coś o wiele gorszego niż śmierć. – Dygoczącą łapą próbuje sięgnąć do marynarki. Prawdopodobnie po telefon, więc przygniatam ją butem, słysząc, jak trzeszczy jego pierścienie.

– Nie boję się – szepczę, przykucając przy nim. – A ty?

– Pieprzony, mały chuju... – syczy.

Nie zwlekając, wyciągam z kieszeni scyzoryk i podsuwam ostrze do jego gardła. Gdy to zauważa, jego oczy się rozszerzają. Po raz pierwszy w życiu dostrzegam w nich strach. Niezmaconą niczym trwozę.

I jest to kurewsko piękny widok.

Marco otwiera usta, jak gdyby chciał krzyczeć, wezwać pomoc, więc zatykam mu usta.

– Zacerpnij swój ostatni oddech, ojcze.

Po tych słowach podrzynam mu gardło.

Z uśmiechem zaciągam się aromatem jego krwi. Mam ochotę się w niej wykąpać. Pić do ostatniej kropli.

Zrobiłem to. Unicestwiłem diabła.

Czuję w kieszeni wibrację swojej komórki. Na ekranie wyświetla się imię Toma.

– Minuta – rzuca tylko, gdy odbieram.

– Załatwione. – Na te słowa uśmiecham się totalnie zrelaksowany mimo tego, co ma się za chwilę wydarzyć.

– Zaraz zostaniecie ostrzelani. Dopilnuj, żeby to wyglądało tak, że to oni wykończyli twojego ojca.

– Wiem.

Słyszę w tle po drugiej stronie dźwięk odbezpieczanej broni. A później następnej.

Ten gość ma obsesję.

– I nie daj się zabić. Wpadnę tam zaraz za nimi, żeby cię osłaniać, ale wiesz, że musimy pozwolić dostać się do środka kilku tym pojebom, żeby dobrze wszystko zatuszować – burczy. – Pamiętaj, że powinieneś...

– Zostać ranny. To moja ulubiona część tego przedstawienia – wtrącam, wsuwając na palec sygnet ojca. – I dzięki, stary. Za wszystko. – Rozłączam się, gotowy dopilnować, żeby trzy prostytutki, które stały się niewygodnymi świadkami, nigdy nie puściły pary z gęby. Gapię się na nie. Wszystkie dygoczą ze strachu.

Mógłbym je po prostu zabić. To dla mnie żaden problem, mam na sumieniu gorsze zbrodnie, ale...

Nieopodal rozbrzmiewają strzały i wrzaski.

Już są...

## Rozdział SZÓSTY

Bethany

*Przeszłość...*

Lecę w dół pchnięta kopnięciem. Umieram, a przynajmniej tak się czuję po każdym przebytu tego treningu, ale o to właśnie w tym wszystkim chodzi. Bym przywykła do obecności śmierci, bym się o nią ocierała tak długo, aż przestanie mi zależeć. Aż przestanę się opierać i przywyknę.

Jednak w tej sali czasami, ale tylko czasami, strzelenie sobie w łeb wydaje się niezwykle kuszące i takie proste, zwłaszcza gdy nie czeka cię nic poza obowiązkami, których wcale nie chcesz wypełniać. I których wypełnianie i tak w końcu cię zabije.

– Wstawaj.

Nie mogę. Wciąż mam całą galaktykę gwiazd przed oczami po ciosie, jaki zafundował mi Caleb. To mój trener samoobrony. Ten mężczyzna zna chyba wszystkie istniejące sztuki walki. Jednym ciosem znokautowałby mitycznego Herkulesa.

– Proszę, już nie mogę. Jestem taka zmęczona – mamroczę, gapiąc się w lekko wirujący sufit.

W rzeczywistości jestem tak wyczerpana, że nie mam pewności, czy wystarczy mi siły na kolejny oddech.

To nie są zwyczajne lekcje. To katusze, przy których przeprawa przez pandemonium zdaje się relaksacyjną wycieczką.

Butelka wody ze sproszkowanym lodem spada na mój brzuch.

Krzywię się, bo dostałam tam chyba z milion ciosów, a każdy z nich posiekał mi żebra na miliard kawałków.

– Powiedziałem: podnieś się. Nie zmuszaj mnie, bym musiał to powtórzyć – warczy mężczyzna.

– Ani żeby sam postawił cię do pionu.

Oznacza to mniej więcej tyle, że będzie mnie okładał w parterze tak długo, aż znajdę siłę, by się podnieść. Caleb podobnie jak wszyscy służący mojemu ojcu uwielbia zadawać ból i triumfować nad porażką przeciwnika. I ma jego pozwolenie, by znęcać się nade mną tak długo, dopóki nie wyjdę z tej sali zwycięska.

Niepowstrzymana.

– Muszę chwilę odpocząć. Muszę... tylko przez kilka minut – proszę, choć wiem, że to tylko go rozjuszy.

– Walcz! – Uderza pięścią tuż przy moim uchu.

Kątem oka widzę, jak ojciec kiwa głową na mojego sadystycznego nauczyciela. Ten gest pozwala mu na najbrutalniejsze przeprowadzenie tych i tak już okrutnych treningów.

Caleb przywołuje machnięciem ręki swojego kumpla. Jest nowy i pojawił się znikąd. Nie wiem, jak się wkradł w łaski mojego ojca, ale to oczywiste, że żeby mu zaimponować, musiał rozlać morze krwi.

– Co tam, kruszynko? Poddajesz się? To wszystko, na co cię stać? – szydzi. – Od początku wiedziałem, że jesteś do niczego. – Jego nos prawie styka się z moim.

Nic o nim nie wiem, poza faktem, że bok jego szyi zdobi tatuaż przedstawiający skorpiona... i że za jakąś minutę zrobi sobie ze mnie worek treningowy.

Mężczyzna, którego imienia nawet nie pamiętam, zadaje mi cios z nadludzką prędkością.

Łapię jego rękę o ułamek sekundy za późno i tylko łagodzę uderzenie, zamiast całkiem je zablokować.

– Nie...

Caleb zakrywa mi usta, zanim mogę skończyć.

– Nie błagaj – syczy.

Ból promieniuje aż do kości, mimo to zagryzam wargę, by zdusić krzyk.

– Nie zamierzam – odparowuję. – Pieprz się.

Caleb uśmiecha się pobłaźliwie.

– Pamiętaj. Tutaj, w tej sali, wcielam się w role twoich wrogów. Tam, na zewnątrz, czekają całe stada popierdoleńców, którzy zrobią ci każdą najokrutniejszą rzecz – mówiąc to, wykonuje manewr, dzięki któremu bez problemu przekręca mnie na brzuch. – Broń się! – grzmi i wali mnie pięścią w bok, a potem spuszcza na mnie grad ciosów.

– Próbuję... – Mój głos jest podejrzenie świszczący. – Próbuję.

Kopnięcie, którego nie udaje mi się zatrzymać, spada na okolice mojego kręgosłupa, nadwyrężając mi kilka ścięgien. Zmuszam się do odbicia od twardych mat, którymi wyłożona jest cała hala do ćwiczeń. Prostuję się na łokciach, jednocześnie zginając kolana i wstaję akurat w sekundzie, gdy Caleb wyprowadza kolejne uderzenie. Jego pięść ściera się z moim przegubem, gdy się osłaniam.

– Mam ci powiedzieć, co ci zrobią, kiedy cię dopadną?

– Wiem to.

– Nie, nie wiesz, księżniczko. – Z jego brązowych oczu sypią się iskry. – Dla nich będziesz tylko suką, którą zechcą skłonić do skomlenia o litość. Będą cię katować. Krzywdzić. A znają wiele metod.

Jestem świadoma, że ma rację. Gdybym kiedyś wpadła w łapy wroga, śmierć byłaby wybawieniem. Jestem również świadoma, że trening ma złamać mnie tutaj, bym nie pękła tam. Pokażą mi najgorsze cierpienie. Przewleką mnie przez każdy rodzaj upokorzenia, aż zyskają pewność, że nie zostało we mnie nic kruche i lęklivego.

Rozproszenie sprawia, że pozwalam się złapać za nadgarstek. Nachwył i podchwył więzi moją kość łokciową w niebezpiecznej pułapce. Caleb wykręca ją tak bardzo, że przysięgam, że czuję pod skórą jej niebezpieczny trzask.

– To mnie boli – szepczę.

– Boli? To jeszcze żaden ból. Wydostań się. Znajdź sposób.

Znajdź sposób.

Na jego bezlitosnych lekcjach to jedna z głównych reguł. W jakkolwiek beznadziejnej sytuacji bym się znalazła, podobno zawsze mogę się obronić. Intelktem, przebiegłością i naturalnie dzięki jego morderczym treningom.

– Nienawidzę cię – mówię. Czuję pod powiekami pieczenie, ale prędzej pozwolę mu pogruchotać mi kości, niż się rozpłaczę.

Nigdy nie płaczę.

Myśl... Myśl!

Stopa Caleba pojawia się przed moją. Gdy dociska moje plecy do swojego torsu, owija nogę wokół mojej łydki, by ją obezwładnić.

– I dobrze. Oni też cię nienawidzą. – Śmieje mi się do ucha. – A ty jesteś kobietą. Piękną kobietą... Wiesz, co mogą zechcieć ci zrobić, zanim cię zabiją?

Puls łomocze mi w czaszce, jak gdyby ktoś próbował wywiercić w niej otwór trepanacyjny, a serce szaleje w piersi.

Zmuszam się do spokojnego oddechu, bo wiem, jaki ruch teraz wykona Caleb. Przeszłam już wystarczająco dużo treningów, by nauczyć się zapamiętywać. Przewidywać. To moja jedyna przewaga, kiedy walczę w ringu z dwa razy większym i cięższym od siebie facetem.

Jego lewa ręka przesuwa się w dół mojego biodra na udo, a potem wędruje na wewnętrzną stronę.

– Nie – nakazuję. – Nie dotykaj mnie.

– Gwałt. Nie chcesz? – nabija się i nie przestaje błędzić dłonią po moim ciele. – To zmusz mnie, żebym przestał.

To hańbiące. Odstręczające.

Z wdzięcznością witam narastającą wściekłość, która wyostrza moje zmysły, zupełnie jakby budziła do życia czekające pod powierzchnią zwierzę łaknące zemsty.

Rozglądam się dookoła. Wyskakuję w górę, by wspiąć się na metalowy słupek w narożniku i odbić się od niego całym ciałem tak, by wytrącić Caleba z równowagi. Gdy jestem wystarczająco

wysoko, wykonuję półsalto i zwalam się na niego, przygniatając do podłoża.

– Powinam cię zabić – chrypię.

– Spróbuj – zachęca, a sekundę później zakłada dźwignię na moje kolana i przekręca nas tak, że ponownie to ja jestem na przegranej pozycji.

– Pierdol się.

– Kiepski język dla damy. Ojciec będzie wściekły. – Rechocze. – Lewa ręka za nisko, łatwo ci ją wykręcę – wytyka mi błąd, gdy próbuję stawić mu marny opór. Uderza mnie w bark, a następnie wygina rękę. Ból, który mnie atakuje, jest tak potężny, że chyba tylko cudem wyplączę się z tego bez zerwanego więzadła.

– Cholera.

– Jeszcze jedna próba – dyktuje z nikczemnym błyskiem w ślepiach. – Obronisz się perfekcyjnie albo to będzie dla ciebie bardzo nieprzyjemna, drastyczna wręcz noc.

– Jesteś...

– ...wciąż lepszy od ciebie.

Czuję, jak jakieś sto kilogramów samych mięśni wysysa mi powietrze z płuc. Ból śący się z każdego kawałka mojego ciała. Wiję się pod Calebem, ale mam mniej więcej tyle samo szans w tym pojedynku, co wąż wijący się w garści goryla. W końcu dzięki jego instrukcjom, udaje mi się wydostać i zmienić pozycję. Ćwiczymy ten manewr trzy razy, aż po przyparciu mnie ponownie do podłoża znów zmienia taktykę i każe mi się wydostać. Chwyta mnie za włosy i szarpie w tył, a wtedy poranione zakończenia nerwowe zmuszają mnie do intuicyjnego działania. Wyrzucam rękę, by bokiem dłoni zadać mu cios prosto w odsłonięte gardło. To jeden z wrażliwszych punktów. Gdy zwalnia uchwyt, dodaję błyskawiczny zamach głową, zderzając się czołem z jego nosem.

Gdy wydaje z siebie dławiący odgłos i przelyka krew spływającą mu po twarzy, wykorzystuję jego rozproszenie, by ponownie się przekręcić i dosiąść go okrakiem. Tym razem to ja zakładam dźwignię na jego ramię i wyginam.

– Dlaczego się wahasz? Złam mu rękę – nakazuje ojciec z drugiego końca sali.

– Ale...

– Złam mu rękę albo on złamie twoją. Będę to powtarzał, dopóki nauczysz się nie płakać. Dopóki nie będziesz odporna na ból i nie staniesz się okrutną egoistką – odpowiada wyzywająco. – Tylko tak tu przetrwasz.

Moje wnętrzości wiążą się w supeł. Nie chcę tego robić.

– Będzie nieprzydatny przez długi czas – argumentuję.

Moje uniki tylko dodatkowo rozjuszają ojca. Podchodzi do krat ringu. Jego krawat faluje od szybkiego tempa kroków.

– Nie współczuj innym, bądź bezlitosna, bo to obróci się przeciwko tobie. Ceń siebie ponad jego. Wolisz, by on cierpiał czy ty? – pyta. – Komuś dziś złamię kość, twój wybór.

– Żalotne – dobiega mnie z dołu głos Caleba.

– Co?

Zanosi się śmiechem, który dociera do najdalszych zakamarków wielkiej, oświetlonej tysiącem jarzeniówek hali.

– Jesteś żalotna – powtarza. – Powinnaś się wstydzić. – Uderza mnie w twarz. Jego kostki objijają się o moją kość policzkową.

Mrugam zamroczone, a obraz wiruje mi przed oczami. Znowu widzę galaktykę gwiazd.

Cholera.

Leżę bezwładnie na plecach, a Caleb wciska mi kolano w poturbowane zebra. Wykorzystuje moment mojej nieuwagi i odbiera mi sai – nóż, który zawsze noszę w przypiętym pokrowcu. Właściwie mam dwa, ale mój trener pozbawia mnie tylko jednego.

Rozbieganym wzrokiem rejestruję, że Caleb bierze zamach, i wiem, że zamierza mnie dźgnąć. W ostatniej chwili udaje mi się złapać opadające na mnie ostrze. Zimny metal tkwi między moimi dłońmi. O milimetry od mojej grdyki.

– Nie wolno ci mnie pociąć. Nie mogę mieć blizn, a przez ciebie mam już dwie – wypominam

coraz bardziej wkurzona.

– Niewielkie. Zdołasz je ukryć. – Mruga do mnie zaczepnie. – Ale jeśli nie odbierzesz mi noża, znajdę inny sposób, byś nigdy więcej nie pozwoliła sobie na poniesienie porażki.

– Dam radę.

– Nie dasz.

Ból wywołany spadającymi na mnie ciosami sprawia, że mam ochotę krzyczeć. Caleb celowo wymierza uderzenia we wcześniej nadwyrężone miejsca w moim ciele.

Potrzebuję krzyku. Wrzasku, który ułagodzi jakoś rozchodzącą się we mnie agonię. Furia sprawia, że moja krew zaczyna się gotować. Nieokiełznana i gorąca.

Przypominam sobie, co mnie czeka. Odgrywanie niewolnicy jakiegoś gangstera. Kochanka mężczyzny, który włada całym przestępczym podziemiem, to zupełnie nowy, specjalny twór. Inny niż kobiety, które mijam codziennie na ulicy. Ja nigdy nie będę jedną z nich.

Nigdy.

Ojciec przygotowuje mnie do tego od zawsze. Do bycia idealną własnością. Mam ubierać się według gustu męża, a nie własnego. Odzywać się i wychodzić, gdy mi pozwoli. Zadawać się z ludźmi, których zaaprobuje. Robić wszystko pod jego dyktando. Być perfekcyjną panią domu i jego prywatną dziwką.

Nic mniej. Nic więcej.

Ta świadomość napełnia mnie nową determinacją. Idę na wojnę. I wygram ją.

Nie rejestruję dokładnie, jak mi się to udaje, ale w trakcie boju z tym dupkiem, który dostał rolę mojego nauczyciela, udaje mi się wytrącić mu mój sai. Okrażam zwinnie mężczyznę. Mam lepszy refleks, bo jestem od niego lżejsza. Nie czekając, kopię go w środek krzyża i uderzam w potylicę. Gdy pada na kolano, przykładam mu ostrze do szyi i popycham na plecy.

– Leż – dyszę.

– Dobrze. – Ojciec chwali mnie chyba po raz pierwszy od początku tych brutalnych zajęć.

Uśmiecham się triumfalnie.

– Dziękuję, ojcze.

– A teraz go dźgnij.

Zamieram.

– Co?

– Traktuj go jak wroga. Wbij mu nóż. Bądź zwycięzcą.

Caleb trąca czubek ostrza kciukiem.

– Brak ci odwagi, co, mała suko? Wiedziałem, że nie dasz sobie rady – drwi.

Wiem, że znowu poddają mnie próbie. Jak wcześniej, gdy miałam złamać mu rękę. I jeśli tego nie zrobię, nigdy mnie stąd nie wypuszczą.

Jestem otoczona mężczyznami, którzy sami są śmiertelnością bronią. Bezwzględna. Nie oszczędzą nikogo i niczego i jeśli chcę między nimi przetrwać, muszę działać jak oni.

– Zrobię to – oznajmiam.

– Czyżby?

Wbijam sztylet w ramię Caleba, obserwując, jak jego oczy robią się nieco bardziej wylupiaste. Zdumione.

– Drugi też. W drugie ramię – poleca ojciec.

Nawet na niego nie patrzę. Sięgam po drugi sai dopięty do mojej łydki i wbijam szpikulec w drugi bark mężczyzny.

Żółć wzbiera mi w przełyku, ale wiem, że teraz muszę zagrać ich kartami.

– Ktoś ma trzeci? – Przybieram entuzjastyczny ton. – Właściwie całkiem mi się to podoba i wiem, gdzie chciałabym wbić kolejny. – Zerkam wymownie na krocze Caleba.

Ojciec wybucha śmiechem.

– Koniec na dziś – ogłasza i spogląda na mnie z uznaniem. – Idź triumfować.

Jakoś udaje mi się nie wzdrygnąć.

– Tak jest.

Mój uśmiech mówi: dobranoc, dupku, bo słowa grzęzną mi w gardle. Wstaję i odchodzę, starając się zatuszować, jak bardzo cierpię. Gdy zatrząskuję drzwiami sali, słyszę jeszcze ich rozmowę.

– I co o niej sądzisz? – Jack jak zwykle brzmi surowo.

Przystaję. Coś złego zaciska się na moich trzewiach.

– Jest twarda. Zdoła wiele znieść. To dobrze – ocenia Caleb. – Jednak wciąż wolałaby wiele znosić, niż zrobić to innym. To już gorzej.

Nie. Wcale nie. Jeśli kiedyś zaczną bardziej pragnąć cudzego cierpienia, tylko po to, żeby ocalić siebie, będzie to oznaczać, że udało im się mnie złamać.

## Rozdział SIÓDMY

Schodzę schodami z pietra, zatrzymując się co chwilę. Każda sekunda jest na wagę złota. Jak i dla skazańca zmierzającego na szubienicę. Tylko że bez względu na to, jak długo będę tu stała i błagała wszechświat, czas się nie zatrzyma.

Nie chcę tam wchodzić. Nie chcę tego robić. Kiedy tam wejść, to wszystko stanie się jeszcze bardziej prawdziwe, niż było do tej pory.

Chwytam za złotą klamkę.

Będę omawiać szczegóły tego, jak zostanę sprzedana.

– Dłużej nie mogłaś zwlekać? – Ledwie zdążę uchylić drzwi do gabinetu głównego, już witają mnie krytyczne słowa ojca. – Oczekujesz specjalnego zaproszenia?

Wchodzę niepewnie do środka i przystaję przy mahoniowym biurku, za którym siedzi Jack Hallwell. Rozpiera się na fotelu niczym lampart na skale.

Pochylam pokornie głowę, wbijając wzrok w swoje szpilki.

– Przepraszam, ojcze, musiałam...

– Darujmy sobie te wymówki. Nie marnuj więcej mojego czasu. – Zbywa mnie machnięciem ręki. – I przestań się tak, kurwa, trząść.

Opadam na fotel, gdy tylko dostaję pozwolenie, i robię, co mogę, by powstrzymać drżenie ciała, ale wstrząsają mną regularne spazmy.

– Dlaczego mnie wezwałeś?

Ojciec wypuszcza papierosowy dym z płuc i rzuca na drewniany blat jakąś teczkę. Nieopodal leży cała sarta identycznych skoroszytów.

Alfabetycznie posortowane brudne sekrety ojca.

– To już jutro – oznajmia.

Wzdrygam się. Mam ochotę w nerwowym odruchu zacząć zdrapywać lakier z paznokci.

– Tak, wiem.

Jutro. Jutro podpiszę na siebie wyrok. Jutro zmienię klatkę i właściciela. Jutro ktoś inny zatrzaśnie kajdany na mojej wolności.

– Chcę się upewnić, że nie zapomniałaś, ile to dla mnie znaczy. I że lepiej dla ciebie, żebyś tego nie zepsuła.

– Postaram się, obiecuję.

Ojciec taksuje mnie zimnym wzrokiem. Wypuszcza kolejny kłęb dymu i trąca palcem srebrzystą kulkę w kołysce Newtona. Wahadło zostaje wprawione w równy rytm, który powinien nieść ukojenie, a jednak nie tłumi moich obaw.

– To za mało. Wokół Logana Rotha krążą tabuny pięknych, chętnych spełniać jego kaprysy kobiet. Masz się wyróżnić – nakazuje. – Za wszelką cenę, jasne?

Za wszelką cenę.

– Oczywiście.

Do tej roli przygotowywano mnie całe życie. Muszę być wartościową inwestycją, bo jeśli zacznę przynosić straty, nie przetrwam w tym świecie.

Jak to zrobić? Nic trudnego. Wystarczy tylko być małą, posłuszną ozdobą swojego pana. Z zaprogramowaną funkcją seksbota. Obowiązkowo. Jak mogłam zapomnieć o rozkładaniu nóg przed tym potworem za każdym razem, gdy tego zechce. Bez tego dodatku pakiet jest całkowicie gówniany.

Boże, dopomóż mi.

Już dawno darowałam sobie modlitwy. Bóg mnie nie ocali, skoro wszelkie prawa do mojej duszy zagarnął sam diabeł znany także jako Logan Roth.

To on mnie dostanie. Jutro.

– Przygotowywałam cię do tego od lat. Liczę, że jesteś gotowa i zrobisz to, co należy – odzywa się ojciec.

– Tak, ale...

– Elizabeth, nie zhańbisz mojego nazwiska. – Uderza pięścią o biurko. – Zrobisz to, do czego cię szkoliłem. Każda córka powinna wypełniać wolę swojego ojca.

Pragnę zwinąć się w kłębek, ale zmuszam, by siedzieć jak na damę przystało. Wygładzam swoją nieskazitelnie białą sukienkę, która kończy się milimetr przed kolanami.

Zawsze muszę wyglądać tak, jakbym szła na wybieg, bo właściwie wyłącznie tym jestem. Ekspонатem, który ktoś wylicytuje. Eleganckie i proste stroje od projektantów, szkatułki pełne pereł i szlachetnych kamieni. Dokładnie jak platynowy pierścień z szafirem na moim palcu i dopasowane do niego kolczyki.

Żadnych błędów. Żadnej kary. Pierwsza zasada treningów z Jackiem Hallwellem.

Wypuszczam ze świstem powietrze. Nie chcę myśleć o tych wszystkich godzinach, które kosztowały mnie... no właśnie: wszystko.

– Chciałam tylko powiedzieć...

– Czy muszę cię zmusić do posłuszeństwa? – warczy zagniewanym tonem ojciec. – Wszystkie kobiety z naszej rodziny realizują swoją rolę z dumą. Wybrałem ci idealnego kandydata. Niejedna by ci zazdrościła.

– Wiem.

To akurat prawda. Wielki Logan Roth zwabia całe roje kobiet.

– Zatem powiem tylko jedno. Jeżeli jutro wieczorem cokolwiek pójdzie nie tak, a ja będę musiał szukać ci innego mężczyzny, wybiorę najgorszego z listy – szepcze, patrząc mi w oczy. – I wtedy dopiero przekonasz się, czy twoje dotychczasowe życie było piekłem.

Groźba zawisa w powietrzu, a ja czuję, jak lodowata macka owija się wokół mojego żołądka. Po prostu odpuść. Poddaj się.

– Zrobię, co mi każesz – szepczę.

Jack strzepuje popiół z papierosa do kryształowej popielniczki.

– Założysz kreację, którą niebawem tu dostarczą – zaczyna. – Ja porozmawiam z Loganem i przykuję do ciebie jego uwagę. Reszta zależy już tylko od twojego uroku i tego, czy dobrze wcielisz się w postać małej, uległej dziewczynki. Jestem pewien, że Roth właśnie tego chce.

– Tak.

A czego innego mógłby chcieć ktoś taki jak on? Buntowniczeki? Jasne, chyba tylko po to, żeby ją złamać.

Niektórych mężczyzn bardzo to kręci. Podobnie jak sadyzm, zabijanie i inne czarujące zwyczaje podziemia.

Wszystkie bestie mają swoje chore zachcianki. Ja wkrótce odkryję jego.

Zaciskam powieki, gdy makabryczne wizje nawiedzają mój umysł.

– Przejdźmy do kluczowego momentu – ciągnie Jack. – Kiedy już Logan wpadnie w twoje sidła i zostaniesz przez niego zaaprobowana, staniesz się wszystkim, czego on zapragnie, spełnisz jego życzenie, zanim zdąży je wypowiedzieć, oddasz mu się...

– Wiem – wtrącam, nie mogąc już tego słuchać. – Wiem.

Ojciec zrywa się z miejsca i zbliża, by stanąć za oparciem mojego fotela. Wbija mi palce w policzki, czym unieruchamia twarz.

– To przestań zachowywać się jak spłoszone zwierzę – syczy.

– Przepraszam.

– Nie dbam o to, że się boisz i co on lubi, ani o to, czy będzie brutalny. Oddasz mu się, bo do niego należysz, a strach jest dla słabych.

– Nie boję się – dukam, ale mój głos załamuje się przy ostatnim słowie, a ojciec prawie wpada w szał. Uderza dłoń w interkom.

– Wprowadź ich – rzuca tylko do słuchawki.

– Kogo?

Ojciec mnie ignoruje. Szarpie za rękaw marynarki, by wyprostować pomarszczenia, gdy drzwi do gabinetu ponownie się otwierają, a do pomieszczenia wchodzi trzech mężczyzn.



– Siadać i ani słowa – poleca.

Wszyscy wykonują jego rozkaz bez mrugnięcia. I wszyscy wyglądają jak postacie wyjęte z horroru.

Zerkam na każdego nieznanego z osobna. Ciemne stroje, spojrzenia wyprane z emocji i ta otoczka typowa dla przestępców najgorszego rodzaju.

Nie ma rzeczy wystarczająco złej, by odmówili jej wykonania. Prawie bez problemu dostrzegam czyhające w ich wnętrzach bestie. Głodne, zabójcze i bezlitosne. A ja jestem celem, w którym gotowi są zatopić swoje szpony na jedno skinienie szefa.

– Dlaczego oni tutaj są? Po co ich przyprowadziłeś?

– Są twoją dodatkową motywacją do wykonania zadania – wyjaśnia ojciec i uśmiecha się, jakby dzielił się ze mną świetnym żartem.

– Nie rozumiem.

Nie chcę zrozumieć.

Staram się pozostać niewzruszona, choć moja intuicja podpowiada mi ucieczkę.

– Jeśli wydaje ci się, że boisz się oddać Loganowi, znajdę coś, czego boisz się bardziej, i zrobię ci to, jeśli nie dasz mu tego, czego chce. – Głos ojca jest ledwie słyszalny, a mimo to przeszywa mnie na wskroś. – Domyślasz się, o czym mówię?

– Tak, ojczu.

Pozwoli im mnie...

Dreszcz wspina się po moim kręgosłupie.

– Jeśli okaże się, że potrzebujesz lekcji także tego, jak zachowywać się odpowiednio w łóżku z dominującym mężczyzną, wiedz, że znalazłem ci najlepszych nauczycieli.

Boże, proszę, nie.

– Nie, nie – zaprzeczam szybko. – Nie potrzebuję tego.

– Lepiej dla ciebie, żebym nie usłyszał od niego ani jednej skargi.

– Nie usłyszysz.

– Postaraj się, dobrze, Elizabeth? – Układa dłonie na moich barkach. – Postaraj się, żeby moje wysiłki w tworzeniu ideału, jakim się dzięki mnie stałaś, nie poszły na marne.

Wlepiam oczy w okno. Na dworze szaleje burza stulecia. Wiatr wygina nawet gigantyczne konary drzew. Deszcz tłucze o szyby, a grzmoty co jakiś czas przecinają szare niebo.

Wszechświat też budzi dziś trwogę. Jak gdyby kibicował mojemu ojcu. Jakby zapowiadał zamęt i zniszczenie, jakie mnie czekają.

– Będę wszystkim, czego on zapragnie – odzywam się.

Ojciec pochyla się do mnie tak, że czuję jego oddech na policzku.

– Jak brzmi moja ulubiona maksyma?

– Władaj albo zgiń – cytuję.

Jack poprawia pastelową kokardę, którą związałam włosy po spleceniu we francuski warkocz.

– Więc zawładnij nim – sugeruje. – Jeśli potrafisz, bo on na pewno zdoła znaleźć sposób, by zawładnąć tobą.

Nie wątpię.

Uczyni sobie hobby z poniżania mnie i deptania resztek mojej godności.

Wbrew woli zerkam na siedzących na kanapie mężczyzn. Jeden z nich gapi się na mnie, a jego tęczyki wydają się niemal żółte. Kojarzą się aż nadto ze ślepiami dzikiego kota. I pałają jawną seksualną żądzą.

Obrzydliwą i straszną.

– Mogę już iść do siebie? – pytam ojca.

Jack marszczy czoło.

– Pamiętaj, że od ciebie zależy, czy faktycznie będziesz na jego łasce, czy ta rola będzie jedynie twoją sztuczką – mówi niespodziewanie. – Mnie to właściwie gównem obchodzi tak długo, jak długo będziesz się sprawdzać jako moja karta przetargowa, a Roth będzie wisiał na haczyku.

Oczywiście, że mu nie zależy. Gdyby Logan przystawił mi kiedyś lufę do skroni i powiedział, że

moja śmierć będzie przypieczętowaniem ich umowy, ojciec sam nacisnąłby spust.

Zmuszam się do wyuczonoego uśmiechu.

– Dziękuję za radę – mamroczę.

– Po przyjęciu uzgodnię z nim szczegóły naszej transakcji.

Transakcja.

Mam ochotę wybuchnąć histerycznym śmiechem, ale wtedy rozlega się potężny grzmot, który sprawia, że aż podskakuję na fotelu.

– Cokolwiek powiesz.

– Odejdź – odprawia mnie wreszcie.

Wstaję, lekko się chwiejąc. Nogi mam zdrętwiałe i ciężkie na tyle, że przy którymś kroku, wpadam na ścianę i trącam drogocenny, stary posążek. Ojciec wylicytował go na aukcji za ponad milion dolarów i gdybym go teraz rozbiła...

Jack napina mięśnie, wygląda, jakby chciał wymierzyć mi policzek za ten moment słabości i pęknięcie beznamiętnej maski.

Łapię dłoń za klamkę.

– Dobrej nocy, ojcze.

– Przynies mi dumę, córeczko. – Pieszczotliwy zwrot kryje groźbę.

– Obiecuję.

– I, Elizabeth?

Odwracam się.

– Tak?

Na usta Jacka wpływa arktyczny uśmiech.

– Pożegnaj się z gośćmi.

Niewypowiedziana aluzja pozostaje bardzo czytelna. Wszyscy trzej mogliby wpisać sobie gwałt w CV.

Prostuję plecy i posyłam trzem potworom dostojne skinienie.

I wiem już, że zrobię wszystko, by nigdy tu nie wrócić. Pozwolę Loganowi Rothowi mną zawładnąć. Posiąść mnie.

Powoli rozrywać na strzępy. Trudno mi sobie bowiem wyobrazić, że mogłoby mnie spotkać coś gorszego niż powrót do tego domu.

## Rozdział ÓSMY

Logan

*Gdy się spotkali*

Otoczają mnie krwio pijcy ubrani we fraki, w których wyglądają jak pieprzone arktyczne pingwiny. Jack, gość, który przyssał się do mojej dupy bardziej niż inni tego wieczora, przygląda mi się, czekając w napięciu na moją decyzję. Zgrywa twardziela, króla świata, ale obaj wiemy, że mógłby zostać zmieciony z szachownicy, gdybym tylko wykonał odpowiedni ruch.

Mam tego dość. Dwóch innych podstarzałych tatuśków już dziś próbowało owinąć swoje córki w błyszczące papierki, przewiązać wstęgą i rzucić mi je do stóp. Nikogo najwyraźniej nie obchodzi, że jestem chujowym kandydatem na męża. Liczy się władza, a ci tutaj rzucą się na każdy jej okrucieństwo niczym robaki na padlinę.

Oczywiście, że warto obracać się w moim kręgu. To ryzykowne, ale warte swojej ceny. Tylko że... jestem diabelnie wymagającym facetem.

Jack wychyla kolejną szklaneczkę whisky, a ja obserwuję z daleka jego córkę. Prawie tonie w swojej krwistej sukni, ale bez wątplenia jest oszałamiająca. Budzi we mnie najmroczniejszy rodzaj łaknienia. To świetnie dla mnie i... tragicznie dla niej.

Nie zaszczycając Jacka odpowiedzią, wstaję i zmierzam w jej kierunku. Nie spowiadam się przed nikim, a poza tym jeszcze nie wiem, co zdecyduję.

– Piękna noc – mówię, choć właściwie dla mnie ta noc jest taka sama jak wszystkie poprzednie. Chce tylko przykuć jej uwagę, nawet jeśli to oznacza wygłaszanie gównianych poematów.

Roztaczająca się wokół ciemność jest moim żywiołem. Mrok sprzyja złu, a dla kogoś takiego jak ona może co najwyżej stanowić pułapkę.

Dokładnie tak jak i ja.

Nie zwracam uwagi na tego typu rzeczy, ale kobieta przede mną zdaje się podziwiać gwiazdy i kiedy tak stoi w swojej czerwonej sukni spowita poświatą księżycy, wydaje się prawie nierzeczywista. Niczym piękna zjawą, która wiedzie na pokuszenie i prowadzi do zguby.

– Rzeczywiście – odpowiada Elizabeth, wbijając we mnie spojrzenie. – Doceniasz takie widoki?

– Zdarza się, ale dziś mam o wiele lepsze. – Porywam z tacy dwa kieliszki szampana. – Wiesz, kim jestem?

Na jej usta wpływa uśmiech, ale nie muszę się nawet wysilać, żeby zgadnąć, że jest wymuszony i pozbawiony jakichkolwiek autentycznych uczuć. Gdy wręczam jej kieliszek z alkoholem, przyjmuje go ostrożnie, unikając mojego dotyku.

Tak. Zdecydowanie wie, z kim ma do czynienia.

– A czy jest na tej sali ktoś, kto tego nie wie? – odbija piłeczkę. – Albo na tej planecie?

– Trafiony. – Wzdycham. – Dlaczego nie tańczysz?

Otocza nas tłum ludzi. Na środku gigantycznej sali mieniącej się złotem i czernią wiruje do melodii wiele par. Cały ten wystrój i przepych sprawiają, że czuję się jak w jebanym królewskim zamku. A lawirujące z każdej strony laski zdają się ludzić, że zostaną ich księciem z bajki.

Nie wiem, co jest nie tak z kobietami, ale wszystkie z tych tutaj są najwyraźniej zaprogramowane na złudzenia. Łudzą się, że oswoją bestię. Że złapią mojego fiuta na smycz, a ja będę podążał za nimi potulny, oswojony i... wierny.

Wszystkie poza jedną. Poza Elizabeth Hallwell.

Obserwuję, jak bierze łyk szampana. Powolny i mały, jak gdyby delektowała się jego smakiem, a mimo to nie sądzę, żeby robiła z tego uwodzicielskie przedstawienie, nawet gdy zlizuje wymykającą się kroplę ze swoich świecących, szkarłatnych warg.

– Zatańczę, jeśli sobie tego życzysz – mówi.

W tej chwili wolałbym raczej przelecieć ją na parkiecie, a nie tańczyć z nią walca.

– Jeśli sobie tego życzę? – Śmieję się. – Taka z ciebie uległa istotka? Czy to jakaś tajna kobieca sztuczka? – Zbliżam się do niej o krok i dostrzegam, jak wzdryga się na ten ruch. Ledwie zauważalnie. I szybko się opanowuje. Wdzięwa maskę na twarz.

Udaje. Ale robi to na tyle dobrze, że mam trudności z przejrzeniem jej zbroi.

Jest jedyną kobietą tutaj, która po mistrzowsku ukrywa swoje emocje. Na jej bladej twarzy, w jej fiołkowych oczach nie odbija się ani odrobina uczucia. Żadnego. Jakby nie zdejmowała swojej maski od lat.

Albo jakby już zapomniiała, jak odczuwać emocje.

To mnie intryguje, bo wszystkie uczucia, jakie niegdyś tliły się w moim wnętrzu, teraz są popiołem. I tylko czasami dzięki obecności Cleo udaje mi się odgrzebać jakąś nikłą emocję. Potem i ona zaraz tonie w brudzie i pojebaniu, w jakim się tarzam.

Elizabeth rzuca mi spojrzenie spod rzęs.

– Niestety nie znam zbyt wielu sztuczek, ale uznajmy, że tego wieczora możesz mieć tylko trzy życzenia – wyznaje nieśmiało.

A moje pragnienie się wzmacnia.

Jeśli jest taka, jak sądzę, czyli wycieńczona i obumarła w środku, to jestem dla niej najgorszym możliwym wyborem.

Nie ma we mnie dobra. Nie umiem taki być i nigdy się taki nie stanę. Stworzono mnie. Ojciec upewnił się, że zaszczerpi we mnie okrucieństwo i jeśli wezmę ją dla siebie, bardzo szybko ją wykończę.

A to chujowo, bo już wiem, że chcę, by była moja.

Wychylam łyk szampana.

– Trzy życzenia? Czyli natknąłem się na bardzo seksowne wcielenie dżinna? – Celowo zniżam głos do zmysłowego szeptu.

– Dobrze to przemyśl i nie zmarnuj szansy – mruczy.

W jej lodowej masce nie pojawia się nawet jedna rysa. A jednak dłonie drżą jej lekko, gdy sięga, by pogłodzić płatki jednej z róż wsadzonej do wielkiego wazonu.

– Nigdy bym na to nie pozwolił. – Sięgam po ten sam kwiat, tylko po to, by mieć pretekst do dotknięcia jej. – Pytanie. Co stanie się z małym seksownym dżinnem, gdy ja już wyczerpię swoje trzy życzenia? Czy zniknie, by spełniać pragnienia kogoś innego? – Obłamuję długą łodygę, a czerwony pąk wsuwam za jej ucho.

Przełyka ślinę i spuszcza wzrok.

– Tylko jeśli nie zostawisz jej innego wyboru – rzuca cicho.

Jej postawa jest tak uległa, że wytrąca mnie to z równowagi.

Ktoś ją tego nauczył. Wymusił w niej zdolność do niezachwianego posłuszeństwa. A ponieważ znam sposoby, w jakie się to robi, ogarnia mnie gniew.

Unoszę jej podbródek kciukiem.

– Umiesz sprawić, by mężczyzna poczuł się oczarowany. Może faktycznie jesteś jakąś magiczną istotką.

– Dziękuję. – Kącik jej ust wędruje w górę, ale po sekundzie opada.

Gniew zmienia się w jebaną wściekłość.

Co oni jej zrobili?

Wpatruję się w nią intensywnie, próbując poznać jej sekrety. Nie zauważam, kiedy przy moim boku pojawia się Olivia Ward. Dupa, którą kiedyś pieprzyłem. Nic wyjątkowego.

– Logan, skarbie, tęskniłam. – Chwyta mnie pod łokieć. – Może poświęcisz mi chwilkę? Odwdzięczę się. – Mruga zalotnie i muska ustami moją brodę.

No, kurwa, chyba sobie żartuje.

Zaciskam palce na jej nadgarstku, obserwując, jak się krzywi, a miejsce jej bezczelności zajmuje strach.

– Jeszcze raz przeszkodź mi w rozmowie z kimś, a pożałujesz, że mnie znasz – syczę do jej ucha.

– Nie wiem, co sobie, kurwa, ubzdurałaś, ale to, że cię dymałem, nie oznacza, że masz jakieś dodatkowe

przywileje. Lepiej, żebyś nigdy więcej nie zapomniała okazywać mi szacunku. Znikaj. – Uwalniam ją.

– Przepraszam. – W jej tonie odbija się trwoga, cofa się i odchodzi, prawie się potykając.

Kątem oka spostrzegam, jak Elizabeth otula się szczelniej swoim szalem.

– To twoja... wielbicielka? – przerywa milczenie.

Wpatruję się w jej dłonie. Jedna kurczowo zaciska się na kieliszku szampana, a druga szarpie za sznur pereł.

– Wyglądasz na zaniepokojoną, dlaczego? Zdenerwowałaś się czymś?

Przeszywa ją kolejny dreszcz. I znów nie patrzy na mnie, tylko gdzieś w dal.

– W dwie sekundy sprawiłeś, że była tak przerażona – mówi.

Tak, skarbie. Jestem potworem.

– Lubię, gdy każdy zna swoje miejsce. Hierarchia jest w tym świecie szczególnie ważna. Chyba to wiesz?

– Wiem i wiem, że nie jesteś... – Ucina raptownie.

– Nie jestem...?

– Przepraszam. Zapomnij. Powinnaś milczeć. – Robi krok w tył i prawie wpada plecami na drzwi prowadzące do ogrodu. – Przepraszam.

Kiedy obserwuję, jak walczy ze sobą, żeby nie zwinąć się w kłębek, zdobywam kolejny dowód, że nie jest jak pozostałe kobiety. Elizabeth nie ma złudzeń co do mojej osoby.

Jest świadoma, co może z nią zrobić ktoś taki jak ja. I że gdybym naprawdę chciał ją skrzywdzić, większość mężczyzn by mi przyklasnęła, bo lubią takie rozrywki.

– Nie, dokończ myśl. – Pauza, a potem z moich ust wydostaje się słowo, które chyba nie padło nigdy wcześniej. – Proszę.

Zastanawia się przez moment, zagryzając swoją piekielnie seksowną wargę. Ogarnia mnie ochota, by też ją ugryźć. Kąsać tak długo, aż wyrwę z jej gardła jęk rozkoszy.

Kurwa, czuję, że robię się twardy, a bal, w którym uczestniczy kilkaset osób, to raczej kurewsko kiepskie okoliczności, by paradować z erekcją.

– Powiedzmy, że wiem, że gdyby to ciebie należało przyrównać do jakiegoś magicznego stworzenia, byłbyś raczej czymś o wiele bardziej niebezpiecznym. Przeróżającym.

Wyszczercam się tym razem szczerze rozbawiony.

– Uważasz, że jestem dla ciebie zagrożeniem?

– Tak.

– Mógłbym nim być. – Pochylam się ku niej. – Ale nie dzisiaj.

Nie odsuwa się, więc wykorzystuję okazję, by wciągnąć w płuca jej słodką woń.

Pachnie jaśminem oraz strachem i choć to odurzająca mieszanka, wolałbym, żeby gdy jej dotykam, rozsiewała aromat podniecenia.

– A jutro? – pyta i przełyka ślinę.

Ponownie zaglądam jej w oczy, bo nie potrafię jej rozszyfrować i zaczyna mnie to drażnić.

– Wiesz, dlaczego rozmawiamy? – pytam trochę zbyt ostro.

– Tak.

– I chcesz tego?

Wbija wzrok w swoje szpilki, a potem ponownie unosi spojrzenie. Jej tęczęwki lśnią, ale pozostają puste.

– A ty?

Ujmuję w palce jej policzki, by nie mogła się przede mną schować.

– Jedna szybka, szczerza odpowiedź i możemy wrócić do zabawy w małego, seksownego dżinna i straszno zięjącego ogniem potwora. – Wykonuję skinienie w stronę jej gawędzącego z trzema facetami ojca. – Czy on cię zmusza?

Jack Hallwell godzinę temu prawie skamlał u mych stóp, wychodząc z siebie podczas zachwalania swojej córki. Jest chujem bez sumienia, bo wie, że gdy mi ją odda, będę mógł powoli zabijać ją każdego dnia. I dosłownie, i w przenośni. A jednak jest ślepo zdesperowany, żeby wepchnąć mi Elizabeth w moje splamione krwią ręce i dobić targu.

Dobić targu. Bo w tym świecie kobietami można jedynie handlować.

– Nie – odzywa się Elizabeth, wyrывая mnie z rozmyślań.

– Nie potrafię stwierdzić, czy to kłamstwo, a do tej pory zawsze potrafiłem to odgadnąć.

– Może tylko dlatego, że ja sama nie do końca wiem, czy to kłamstwo.

Nie rusza się. Wciąż czuję pod opuszkami jej zziębniętą skórę.

– Jesteś inna – stwierdzam i nie próbuję nawet udawać, że to mnie nie pociąga.

Musi wiedzieć, że jeśli się nie wycofa, zawłaszczę sobie wszystkie prawa do niej.

– Dlaczego tak myślisz?

– Nie ty pierwsza proponowałaś mi dziś spełnienie moich wszelkich zachcianek i prezentowałaś taką uległość.

– No to rzeczywiście się wyróżniłam – prycha. – Zapadnę ci w pamięć na wieki.

Z jakiegoś powodu wydaje się rozczarowana, co jest w jej sytuacji absurdem, bo gdyby pozostała dla mnie niezauważalna, to by ją ocaliło.

Pozwalam jej się odsunąć i zwiększyć między nami dystans, bo najwyraźniej zaczyna się czuć niekomfortowo.

– Ty wydajesz się zdeterminowana z odmiennych powodów niż reszta – zaczynam. – I nie sądzę, że jesteś po prostu posłuszna.

– A jaka?

Wypijam musujące wino do dna. Celowo rozciągam usta w bezwzględny uśmiech. Potrzebuję szczerych reakcji tej dziewczyny, by rozpracować jej grę.

– Złamana – rzucam.

Mruga tymi swoimi wielkimi oczami. Miętoli materiał sukni.

– Ja... Nie rozumiem.

A jednak prawie zapada się w sobie. Dostrzegam zepchnięty głęboko smutek i... brak nadziei.

Ona chyba naprawdę nie ma nadziei.

Nie ma nadziei, że będę jej obrońcą.

Nie ma nadziei, że będę ją cenił bardziej niż siebie i rozlewanie krwi.

Nie ma nadziei, że mógłbym ją pokochać.

Dokładnie kogoś takiego szukałem.

Tylko że kiedy ją znalazłem i kiedy na nią patrzę, mam ochotę sięgnąć po broń i rozstrzelać każdego, kto zabrał jej tę nadzieję, bo wiem, jakich takie ścierwa używają metod. Już wystarczająco ją zranili. I gdybym nie był dokładnie takim samym ścierwem jak oni, zostawiłbym ją. Pozwolił, by dostał ją ktoś inny.

Każdy jest lepszy ode mnie.

– Jak się nazywasz? – pytam, choć doskonale wiem.

– Elizabeth Hallwell.

Znowu się do niej zbliżam, nie mogę się powstrzymać. Zrobiono ze mnie drapieżnika. Kieruję się prymitywnymi zachciankami. Dostaję to, czego chcę, nawet jeśli muszę wykorzystać przerażenie, by to sobie wziąć.

– Obiecano mi, że jeśli dam ci szansę, będziesz ostatnią kandydatką, którą wybiorę. – Nasze usta prawie się o siebie ocierają. – Bardzo trudno oderwać od ciebie oczy.

I bardzo trudno udawać, że nie mam ochoty zerznąć cię jeszcze tej nocy.

Poprawiam rękaw koszuli, choć tak naprawdę powinienem poprawić spodnie w kroku. Zwykle nie muszę odmawiać sobie rozkoszy i odchodzić od kobiety z sinymi jajami.

– Dziękuję – nuci.

– Chciałabyś coś powiedzieć, co być może pomogłoby mi podjąć decyzję? – Sięgam po wymykający się z jej upięcia kosmyk. Owijam czarne pasmo wokół kciuka. Jest aksamitne i znów daje mi wymówkę, by jej dotknąć.

Zakładam jej włosy za ucho, pieścąc przy tym wrażliwe miejsce. I słyszę, jak wciąż ze świstem oddech.

Ze strachu? Czy dlatego, że jej się podobało?

– Wątpię, by cokolwiek mogło na ciebie wpłynąć. – Jej głos jest seksownie zachrypnięty.  
Wyobrażam sobie, że brzmiałby podobnie tuż po orgazmie.  
Boże, kurwa. Jak ja chcę ją wypieprzyć.  
– Dlaczego tak sądzisz?  
– Mam niezłą intuicję.  
– Oby rzeczywiście tak było, bo niebawem możesz jej bardzo potrzebować, panno Hallwell.  
– Posyłam jej podstępny uśmiech i podnoszę jej dłoń do ust. Całuję, a potem, wciąż patrząc jej w oczy, wysuwam język, by polizać jej gładką skórę. Ukraść trochę jej smaku. – I jeszcze jedno – dodaję.  
Jest zszokowana moją zuchwałością. Przyciska rękę do piersi.  
– Tak?  
– Powiedziałaś, że wszyscy na tej planecie wiedzą, kim jestem. Chcesz poznać sekret? – szepczę.  
– Tak naprawdę na całym świecie nie ma ani jednej osoby, która to wie.  
Czuję na sobie jej wzrok, gdy zmierzam do wyjścia.  
Potrzebuję zimnego prysznica i zrobienia sobie pod nim dobrze co najmniej dziesięć razy.  
Nie mam pojęcia, dlaczego coś takiego powiedziałem, ponieważ wszyscy dokładnie wiedzą, czym jestem. Tylko tym, co widać. Bez żadnej głębi.  
I lepiej, żeby Elizabeth nie przyszło do głowy jej szukać, bo wciągnę ją w mrok.  
Pierdolić to. Znajdę sobie jakąś dziwkę do zaspokojenia.

## Rozdział DZIEWIĄTY

Pikantne potrawy, mocny alkohol i bezwstydne tancerki to trzy rzeczy, które poza budzeniem trwogi lubię najbardziej. Ten zestaw zadowala mnie od lat i pomaga się odprężyć jak nic innego. Zwłaszcza gdy ma się niepohamowany apetyt na seks, a taki mi doskwiera od chwili, gdy kilka dni temu wyszedłem z sali balowej niezaspokojony.

Gdybym nie zgrywał dżentelmena, którym i tak nie jestem, miałbym ją jeszcze tamtej nocy na którymś z tych stołów zastawionych przekąskami, czyniąc z niej najlepsze danie.

– Zawsze zamawiałeś sobie rude. Nagle zmienił ci się gust, że bawisz się z drobną brunetką?

Recht Toma miesza się z muzyką rozbrzmiewającą z głośników.

Siedzę w jednym ze swoich nocnych klubów w prywatnej loży i patrzę na scenę, na której przy rurze wiją się trzy tancerki. Każda ma na sobie obcisłą świecąca spódniczkę i sutki obklejone cekinami. Ich cycki kołyszają się w takt melodii dokładnie tak jak pośladki.

Rozsiadam się wygodniej i opieram głowę. Snopy światła spadają na parkiet, przykuwając uwagę do tłumu bawiących się ludzi. Większość z nich jest już tak najebana, że ledwo stoi. Obstawiam też, że część z nich padła i leży osłonięta w oparach ciężkiego dymu roznoszącego się nisko przy mieniącym się kolorami podłożu.

– Spierdalaj – rzucam tylko i koncentruję się na striptizerce, która kręci teraz biodrami na stoliku przede mną.

– To przez tę kruszynkę z przyjęcia, wokół której krążyłeś jak głodny rekin? – Znowu zanosi się śmiechem. – Fantazjujesz o niej teraz?

Nie zaszczycam go odpowiedzią, bo obaj wiemy, że ma rację. Moja wyobraźnia rządzi się swoimi prawami i podsuwa mi wyuzdane wizje z Elizabeth w roli głównej.

Tancerka ubrana jedynie w skąpą przezroczystą bieliznę opada na blat, uderzając w niego palcami ozdobionymi kilkunastoma pierścionkami. Zmierza ku mnie na kolanach, przywołując na myśl łaszącego się kota. Wygina plecy w grzbiet i wyciąga do mnie rękę, by zmierzić mi włosy.

– Nie każ mi powtarzać, żebyś spierdalał, bo pożałujesz – ostrzegam.

Tom najwyraźniej ma to w dupie. Wkłada sobie do wyszczerzonej gęby oliwkę nadzianą na wykałaczkę i przywołuje do siebie skinieniem jedną z tancerek odstawiających erotyczne przedstawienie na scenie.

– Elizabeth Hallwell, co z nią zrobisz? – pyta.

Tym razem to ja się uśmiecham.

– Wiele miłych, perwersyjnych rzeczy.

Odkąd zobaczyłem ją sobotniego wieczora, nie potrafię wyrzucić jej z głowy. Pragnę jej wręcz obsesyjnie i nie sądzę, by mi przeszło. Nie, dopóki nie znajdzie się pode mną. Naga i jęcząca z zachwytem. Błagająca, bym dał jej przyjemność.

Tom stawia z hukiem na stół butelkę tequili.

– Zmień tę melodię, jest chujowa – nakazuje wezwanej striptizerce, szczypiąc ją w pośladek. – Nie pozwala wam się wykazać.

Dwie pozostałe tancerki zaczynają całować się na scenie. Światło przygasa, a piosenka staje się o wiele szybsza. Widzę, jak laski liżą się zachłannie, a ich języki naśladują rytm bioder. Dotykają nawzajem swoich piersi.

Jakiś facet sterczący przy scenie z rozdziawioną mordą ślini się na widok ich wielkich cycków i prawie uderza szczęką o podest.

To jeden z moich ulubionych klubów.

– Czego się o niej dowiedziałeś? – zwracam się do Toma.

Jeszcze tego samego wieczora zleciłem Thomasowi prześwietlenie mojej nowej ofiary.

Zamierzam rozkoszować się zajadaniem jej w małych kęsach, gdy już będzie moja. Jednak zanim to się stanie, muszę poznać każdą tajemnicę Elizabeth.



– Niestety niczego, czego byśmy już nie wiedzieli. – Wzrusza wydzieranymi ramionami.

– Próbowalem pogadać z ludźmi Jacka, ale niewiele to dało. Boją się go.

– Ona też się go boi.

– Powiedziała ci? Może to taka gra, liczy, że wzbudzi w tobie instynkty opiekuńcze i że będziesz ją ochraniał.

– Nie, mnie też się bała.

To wyznanie zachwyca mojego durnego kumpla. Potrafi wywęszyć lęk na milę, a gdy go poczuje, zachowuje się jak ćpun, który przedawkował dragi albo wstrzyknął sobie za dużą dawkę epinefryny.

– Odważna mała – ocenia sarkastycznie i podsuwa mi flaszkę.

Biorę kilka łyków tequili prosto z butelki. Potem odbiera mi ją moja striptizerka i wylewa na swój dekolt strużkę ciemnej cieczy. Jej prześwitujące stringi i coś, co trudno nazwać stanikiem przemakają, a brunatne krople kapią na brzuch.

– Wydawała się... zdesperowana.

Na moment opuszczam powieki i przywołuję w pamięci jej twarz. Zimne opanowanie, za którym czało się prawdziwe oblicze.

– Inna by do ciebie nie przysłała. – Rechocze znowu. – Jesteś wielkim skurwielem.

Mam ochotę mu przypierdolić, ale wtedy striptizerka, którą sobie wybrałem na tę noc, wdrapuje mi się na kolana i zaczyna zachowywać jak rasowa dziwka. Ociera się o mnie niemal nagim ciałem i dyszy z zachwytem.

– Dlaczego cię jeszcze nie zabiłem? – warczę do Toma, gdy brunetka wychodzi z siebie, by mnie podniecić.

Tom wrzuca do ust następną oliwkę i zapija ją, opróżniając przy tym połowę swojej butelki z wódką.

– Chcesz, żebym się dowiedział, co on jej robi?

– Chciałbym wiedzieć, co zrobił jej do tej pory.

Tom prychnął, jakbym powiedział coś w chuj komicznego.

– Nie ma sprawy, do tego nie trzeba mi żadnego śledztwa – rzuca. – Założę się, że robił jej mniej więcej to samo, co nasi ojcowie nam. To samo, co twój ojciec robił Cleo.

Nie muszę być Nostradamusem, żebym mógł dojść do identycznych wniosków. Natomiast nie jestem pewien, czy nawet ten pieprzony geniusz wszech czasów rozwikłałby, dlaczego tak bardzo działa mi to na nerwy.

Brunetka na moich kolanach, wciska mi cycki pod nos i wgryza się w moją szyję.

– Kurwa mać. – Szarpnię laskę za włosy i popycham ją w dół. – Niżej.

Kobieta natychmiast osuwa się na klęczki i pociera mojego fiuta przez spodnie, wciąż bujając się do taktów melodii.

– Co jest?

Odrywam od niej wzrok i zauważam, że Tom wlepia we mnie zmrużone spojrzenie.

– Jeśli ona liczy na wybawienie od czegoś takiego, jeśli myśli, że mogę ją uwolnić z jej własnego piekła, to się myli.

– Obchodzi cię to? – W jego głosie pojawia się podejrzliwa nuta, która doprowadza mnie do szału.

– Nienawidzę momentów, w których uświadamiam sobie, że nie jestem inny niż on – mówię, zaciskając dłonie w pięści.

– Pierdolenie głupot. Nie zrobiłbyś rodzinie miliona rzeczy, które on wam zrobił. I nie cieszyłbyś się tym.

– Nie jestem tego pewien.

– A ja jestem. – Przekrzywia głowę. – Chcesz tę małą?

Zbyt długo go znam, żeby nie zauważyć zastawionej w tym pytaniu zasadzki.

Czy ją chcę? Z całą pewnością chcę, by była moim kolejnym trofeum. Z czysto samczych powodów. Chcę ją pieprzyć i to pragnienie jest niemal pierwotne. Zwierzęce.

Bestia wyhodowana pod moją skórą wciąż powtarza, że Elizabeth Hallwell powinna być moja.

Moja.

Ten właśnie moment wybiera sobie striptizerka, by wepchnąć mi dłoń w bokserki i objąć kutasa palcami.

Wypuszczam głośny oddech. Właśnie tego mi trzeba.

– Spierdalaj – syczę tylko, bo wciąż czuję na sobie spojrzenie Thomasa.

Dupek przywołuje kelnerkę z nową butelką alkoholu.

– Zanim ją weźmiesz, najpierw sam wypuść się z własnego piekła.

Posyłam mu spojrzenie, które zwykle zapewnia mi respekt i nakłania do uległości. Dobrze wie, że sporo ryzykuje, wchodząc na ten grząski grunt.

– Diabeł umiera bez piekła – stwierdzam obojętnie.

Czuję, jak mrok pełnie w moim wnętrzu, infekuje każdą komórkę.

Zbyt długo jestem martwy w środku, by wykrzesać z siebie choć trochę współczucia dla losu, który czeka Elizabeth w moich ramionach.

Nic mnie to nie obchodzi. Nic by mnie to nie obchodziło, nawet gdyby jej ojciec zmuszał ją do wkradania się w moje łaski, co jak sądzę, robi.

Jakiegolwiek są jej pragnienia, nie mają znaczenia, bo nigdy nie wydostanie się z tego świata.

– I tak ją weźmiesz. Znam cię – odzywa się Tom cichym głosem. – Mam ich poobserwować? Dowiedzieć się czegoś o twojej nowej zdobyczy i jej obawach?

– Nie. Sam się dowiem. – Porywam ze stołu butelkę, którą zamówił Thomas i biorę łyk.  
– Zaproszę ją do siebie.

Klamka zapadła. Nagle dopada mnie zniecierpliwienie.

– To może być interesujące.

– Bo?

Wkurwiająca gęba Toma przybiera rozbawiony wyraz.

– Widziałem ją. Jest taką malutką, potulną...

– Myślę, że to kurewsko seksowne – wtrącam i też wyszczerzam zęby w uśmiechu.

– A ja myślę, że będziesz potrzebował więcej dziwek do zaspokojenia, bo ona bardzo długo będzie uciekać od ciebie z krzykiem – nabija się.

– Powiedziała, że tego chce. Jeśli uznam ją za swoją, dostanę wszelkie prawa do jej posiadania.

Tom mruga do mnie i zerka przelotnie na kobietę klęczącą między moimi nogami. Jej dłoń wciąż pociera powoli mojego penisa w górę i w dół. Dociska do niego swoje piersi.

– Biorąc pod uwagę to, jak kuliła się w tym kącie ze strachu przed tobą, pozwoli ci zrobić z siebie seksualną niewolnicę.

Rozrywam na strzępy tę żalosną imitację biustonosza, który osłania cycki mojej striptizerki i przyciskam ją do siebie mocniej.

Nie jestem fanem milutkich zabaw. Musi być szybko, ostro, mocno.

– Każda by mi na to pozwoliła – mamroczę. – Liczę, że ona przerwie rutynę.

Czy ta mała istotka skrywa za swoją wyćwiczoną beznamiętną maską jakiś ogień? Jeśli tak, z radością go rozniecę.

– Nie chcę, żebyś się rozczarował, ale to tylko kolejna seksowna dupa, która będzie chciała cię uwieść dla własnych korzyści – zaczyna. – To tylko kwestia czasu, kiedy wypali z jakimś romantycznym gównem. – Pożera kolejną oliwkę.

Wpierdolił ich już chyba z kilogram. Wychlał litr tequili, a idę o zakład, że bez trudu trafiłby nożem w oddaloną o kilkanaście metrów mikroskopijną tarczę.

Romantyczne gówno. Thomas nie wie, że zdecydowałem się wybrać Elizabeth nie tylko dlatego, że jest zjawiskowo piękna i elektryzuje wszystkie moje zmysły, ale przede wszystkim dlatego, że dawno temu zrezygnowała z marzeń o miłości.

Widziałem to w niej.

– Nie pozwolę na to.

To fakt, jeśli w którymś momencie jej cele w naszej relacji ulegną zmianie, a ona zacznie snuć jakieś głupie urojenia o uczuciu, zgmiotę je w zarodku. Bardzo boleśnie.

– A na końcu zacznie oczekiwać monogamii – ciągnie Tom. – Wierny Logan Roth, żart wszech czasów. – Zanosi się śmiechem tak, że aż musi się walnąć w przepoń.

Krzywię się.

Mogę dobrze traktować Elizabeth. Zamierzam. Jednak istnieją granice, których przekroczenie będzie skutkowało tylko jednym. Końcem między nami. Tak było z każdą poprzednią kobietą. Tak będzie i z nią.

– Jeśli okaże się na tyle głupia, to oboje będziemy rozczarowani. – W przypiływie irracjonalnego gniewu, ujmuję swoją tancerkę za kark i unieruchamiam jej głowę. – Nie starasz się, zaczynam się poważnie wkurwiać.

W jej oczach pojawia się cień przerażenia.

– Przepraszam – szepcze.

Nie tracąc czasu, rozpinam spodnie i wsuwam pulsującego członka do jej ust.

– Wyssij go do ostatniej kropli – nakazuję. – Potem możesz przyłączyć się do mojego przyjaciela i swojej koleżanki. – Owijam sobie jej warkocz wokół dłoni i nadaję jej ruchom odpowiedni rytm. Liże kutasa, wydobywając z gardła wibrujące dźwięki.

Tom marszczy brwi.

– Zmywasz się?

– Muszę coś załatwić. Mam jedną nieprzyjemną sprawę.

– Co do nieprzyjemności. Torano znowu truje mi dupę o udostępnienie jego dziewczynom kilku naszych lokali. Proponuje spory procent od zysków.

Namolny sukinsyn.

– Gdybym chciał się w tym babrać, już dawno bym się babrał. – Wpycham penisa głębiej między wargi brunetki. – Wiesz doskonale, jak pozyskuje te kobiety.

Nie pozyskuje, a uprowadza. I trzyma wiecznie nafaszerowane prochami w jakichś spelunach.

– Jak chcesz, to mogę go przypadkiem odstrzelić.

Jeśli nie przestanie nachodzić moich ludzi i traktować mnie, jakbyśmy byli sobie równi, to z całą pewnością już niebawem jego jaja zamienią się w miazgę, spadając na betonową nawierzchnię z jakiegoś wieżowca.

– Nie kuś mnie. – Napieram na ssące mnie usta. – Mocniej. – Uderzam szczytem penisa o ściankę jej gardła. Raz, drugi, trzeci. I dochodzę.

Puszczam ją, a moja sperma tryska na jej cyci. Widzę, jak próbuje zetrzeć rozmazany makijaż i zaczerpnąć oddech po walce z odruchem wymiotnym.

To było marne obciążanie. Trzeba było zostać przy rudych.

– Chodzą ciekawe plotki o nim i jakimś nowym rodzaju narkotyku.

– Sprawdź to.

– Myślałem, że priorytetem jest sprawdzenie kruszynki – nabija się. – Długo nie wytrzymałeś, co?

Zapinam rozporek i wstaję. Potem pozdrawiam go środkowym palcem.

– Spierdalaj.

Tak. Zamierzam sam przeświecić moją małą lodowatą dziewczynkę.

## Rozdział DZIESIĄTY

Siedzę na fotelu w kącie sypialni mojego ulubionego gościa. Pograżona w półmroku, zatopiona we śnie wydaje się taka niewinna i maleńka. Dziś ją przywieźli, jednak zanim udało mi się wygrzebać z gówna, które potocznie nazywam interesami, była już północ, ona zasnęła, a ja zostałem zmuszony, by powściągnąć swoje nieprzyzwoite zapędy.

Wątpię, by Elizabeth doceniła posiadanie własnego prześladowcy, który od kilku godzin szuka pretekstu, by wsunąć się pod kołdrę i zacząć realizować swoje wyuzdane fantazje. Najchętniej rozebrałbym ją do naga i dotykał każdego skrawka jej ciała, aż sama zaczęłaby prosić, bym zrobił jej coś więcej. O wiele, wiele więcej.

Nagle podrywa się zdyszana i wbija we mnie rozbiegany wzrok. Wszystko w niej reaguje czujnie, jakby instynktownie przygotowywała się na starcie z emanującym ode mnie złem.

– Wystraszyłem cię, wybacz. To nie było moim zamiarem – odzywam się.

Bethany kuli się pod grubą stertą puchatych koców i wciska plecy w wezglowie łóża.

Jest wyraźnie przerażona, gdy śledzi moją sylwetkę wzrokiem.

Może spodziewa się, że na jej oczach przeobrażę się w demona rodem ze starożytnych mitów.

Rozciągam się wygodniej na siedzeniu, ciesząc, że pomieszczenie rozświetla jedynie lampka nocna, ponieważ dzięki temu nie może dostrzec, jak drgają mi kąci ust.

– Czy ty patrzyłeś na mnie, kiedy spałam? – pyta.

Wzruszam ramionami, a Bethany uważnie śledzi ten ruch. Mam wrażenie, że policzki jej się nieco zarumieniły.

No proszę, kto by się tego spodziewał. Najwyraźniej podoba jej się to, co widzi, i prowokuje u niej nieprzyzwoite myśli.

Może jednak przekonam ją do wizyty w moim łóżku, zanim stuknie mi osiemdziesiątka.

– Planowałem jedynie zajrzeć, aby sprawdzić, czy odpowiednio o ciebie zadbano, ale potem...

– Przechylałem głowę. – Potem nie miałem już najmniejszej ochoty wychodzić, więc tak, patrzyłem na ciebie, kiedy spałaś. Podziwiałem twoje piękno.

Bethany porusza się niespokojnie na łóżku.

– Przepraszam, że zasnęłam, powinnam była na ciebie zaczekać, jednak było już późno, a ja...

Uśmiecham się szelmowsko.

– Nie szkodzi. Bardzo miło spędziłem tu dwie godziny. – Celowo zniżam głos, rzucając jej wyzwanie.

Marszczy nos i zwilża wargi językiem.

Obstawiam, że robi to bezwiednie, bo rzeczywiście wydaje się kurewsko niedoświadczonym maleństwem, jeśli chodzi o uwodzenie. O seksie nie wspominając.

Moje wyznanie ją szokuje, a jej mina sprawia, że mam ochotę dalej się z nią droczyć i zasypać ją sprośnymi uwagami.

Oj, maleńka, nie masz pojęcia, z czym przyjdzie ci się zmierzyć.

– Wiem, że powinniśmy porozmawiać, naprawdę jestem świadoma, jak to wszystko między nami powinno przebiegać, i obiecuję, że postaram się nie zawieść twoich oczekiwań.

Znowu włącza się u niej ta irytująca uległość.

Na jej twarzy dostrzegam wymuszone zobojętnienie, ale nerwowo szarpie za kołdrę. Broda jej drga i zapewne z trudem powstrzymuje się przed okryciem się tymi swoimi kocami po same uszy, jakby mogły ją przede mną ochronić.

Powoli podnoszę się z fotela.

– Trzęsiesz się z zimna? – Poruszam się ostrożnie, nie chcąc jeszcze bardziej jej wystraszyć.

– Czy dlatego, że się mnie boisz? – Nie siada, a kuca przy jego krawędzi.

– Boję się – szepcze.

Zduszam przekleństwo.

Zalewa mnie niewytłumaczalna fala zawodu.

Strach jest dobry. Potrzebny. Strach jest niezbędny w moim fachu. Pomaga mi utrzymywać ludzi w ryzach. A jednak czy chcę, żeby moja kobieta była przerażona za każdym razem, gdy mnie widzi?

Zimna, znieczulona emocjami logika podpowiada jedno: tak. Bo dlaczego, kurwa, nie? Dlaczego miałyby mi zależeć, by czuła się przy mnie swobodnie? Bezpiecznie?

– Zabawne, kobiety, które tu były przed tobą, uważały mnie za zdobywcę. Ty pierwsza siebie traktujesz jako zdobywcę, co rodzi pytanie, dlaczego tu jesteś, jeśli obawiasz się, że zostaniesz upolowana.

– Rozciągam usta w uśmiechu. – Wybrana – dodaję.

Wzdryga się.

– Sojusz z tobą zadowoliliby mojego ojca.

– A ty chcesz tu być?

– Chcę. – Brzmi na zdeterminowaną. – Boję się ciebie, bo wiem, kim jesteś, wiem, do czego jesteś zdolny. Słyszałam... – Urywa gwałtownie i wbija zęby w dolną wargę, prawie ją kalecząc.

– Co o mnie słyszałaś? Opowiedz mi o historii, która wzbudziła w tobie największą grozę – proszę.

Nigdy nie musiałem przybierać tak łagodnego tonu, ale to zwinięte w kłębek zatrwożone maleństwo za moment może podjąć próbę wyskoczenia stąd oknem, bylebym tylko nie był w stanie sięgnąć po nią swoimi zabójczymi kłami.

– Podobno wszyscy ci niezłapani przestępcy zasilają twoje szeregi. Spłacają długi, bo to ty pomogłeś im pozostać nieuchwytnymi. I nie ma osoby, w której nie wzbudziłyś lęku, nie odkrył jej słabych punktów.

Tłumię bulgoczący mi w gardle wybuch śmiechu.

– Trochę to egzaltowane, ale na swój sposób zabawne i na pewno pochlebne.

– A na ile bliskie realiom? – Jej głos drży tak, że ledwo jestem w stanie rozszyfrować sens jej słów.

Moje rozbawienie szybko znika, gdy znowu wstrząsa nią dreszcz.

Dość tego.

Pochylam się ku niej.

– Skoro tu jesteś, niebawem sama będziesz miała okazję się przekonać – nucę jej zmysłowym głosem do ucha. – Musisz nad tym popracować. Nie możesz drzeć jak osika za każdym razem, gdy się do ciebie zbliżę.

Całym sobą pragnę jej dotknąć. Dotykać całymi godzinami aż do świtu.

Żądza mąci mi krew, gdy przesuwam ustami po jej skroni w dół. Niemal słyszę dudnienie jej pulsu.

Niech to szlag. Nigdy nie musiałem się hamować przy kobiecie. Każda spełniała moje kaprysy i przychodziła po więcej, więc trzymanie sprzętu w gaciach nie stanowi mojej mocnej strony.

– Nie jestem do tego przyzwyczajona.

Zamiera i choć wiem, że mnie nie odtrąci, zauważam, że jest blisko pieprzonego ataku paniki.

– Do bliskości z mężczyzną? – dociekam. – Wydaje mi się, że jeśli rzeczywiście chcesz tu być jako moja kobieta, tego rodzaju bliskość będzie nieunikniona. – Wyciągam rękę, by prześledzić palcami trasę, którą przed chwilą wyznaczyły moje wargi. Gdy osuwam dłoń na bok jej szyi, wyczuwam jej oszalałe tętno.

Dygocze jak jakiś przydrożny pijak w napadzie delirium.

– Przyszedłeś do mojej sypialni, bo chcesz uprawiać seks? – pyta, rzucając mi nieśmiałe spojrzenie.

Jej niewinność sprawia, że trawi mnie coraz większy głód.

– A ty? Pragniesz tego? – Oblizuję się, pilnując, by ten gest nie umknął jej uwadze. Potem zsuwam kciuk jeszcze niżej. Pieszczę jej skórę od ramienia do nadgarstka, delektując się każdą sekundą.

– Jestem na to gotowa – oznajmia, gdy wsuwam palec pod ramiączko jej aksamitnej koszuli nocnej.

Parskam, choć nie jest mi wcale do śmiechu. Mój fiut władował mnie na minę, bo ta kobieta na

pewno nie jest chętna, by pozwolić mi się zerznąć.

Jasne, że by mi na to pozwoliła. Jestem tego pewien, gdy na nią patrzę. Wpojono jej, że jest tu, by mi służyć, i robi to nawet wbrew sobie.

– Jesteś przerażona – stwierdzam. Wsuwam błękitne ramiączko z powrotem na miejsce i odsuwam się.

– Ja... Jestem twoja, teraz należę do ciebie, zatem...

– Zatem mogę zrobić ci wszystko, tak?

Ledwie zauważalne skinienie.

– Tak.

Opuszczam powieki.

Bethany Hallwell może być moją najtrudniejszą próbą, a biorąc pod uwagę, że najwyraźniej ma tendencję do nieświadomego igrania z ogniem, prowokując ryzyko poparzeń, nie skończy się to dobrze.

Bo ja uwielbiam parzyć. A ponieważ nie jestem dobrym facetem, chwytam jej dłonie i przyciskam sobie do nagiej piersi. Jej opuszki są zimne, skostniałe i drżące jak ona cała, a mimo to sprawiają, że w moim wnętrzu bucha ogień.

Zaciskam zęby i pozwalam sobie na tę rozkoszną udrękę. Przemykam jej dłońmi po moim torsie od góry do dołu i z powrotem.

Gdy jej knykcie zawadzają o krawędź moich spodni, zauważam, że jej źrenice stają się nieco większe.

Ja pierdołę. Ja pierdołę. Wzwód napiera na moje bokserki, a ja ostatkiem sił powstrzymuję się, by nie pchnąć jej dłoni jeszcze niżej.

Wpatruję się w nią, chcąc wyłapać od niej najmniejszą reakcję na nasz kontakt i wtedy, być może bezwiednie, sama przesuwa kciukiem, obwodząc zarys moich mięśni.

Ogarnia mnie co najmniej taka satysfakcja, jak gdyby obiecała, że zaraz zrobi mi loda.

Odpierdala ci, stary.

– Kiedy dziś cię ujrzałem w tłumie, nie potrafiłem minąć cię obojętnie. Jesteś oszałamiająco piękna. Zachwycająca, ale również bardzo młoda i obawiam się, że nie udźwigniesz obowiązków związanych z pobytem tutaj – przemawiam zachrypniętym tonem.

Bethany podnosi wzrok z mojego brzucha i odsuwa się.

– To i tak mnie czeka prędzej czy później. Z tobą albo z kimś innym, nie oszukujmy się.

Wzmianka o kimś innym sprawia, że wzbiera we mnie wściekłość.

– Mimo wszystko sprawiasz wrażenie bardzo delikatnej, a ja nie umiem być delikatny – warczę, unosząc jej podbródek. – I nie zamierzam uczyć się tego dla ciebie. – Pochyliłam się tak, że nasze usta prawie się muskają, a Bethany bierze głęboki wdech.

Czy ona... sądziła, że zamierzam ją pocałować?

Takie bzdury to nie moja bajka. Mógłbym co najwyżej ją ugryźć i może pora, by ją o tym uświadomić.

– Nie oczekuję tego. Nie masz pojęcia, co potrafię znieść. Zniosę więcej niż każda inna twoja kandydatka – syczy, zaciskając pięści. – Przepraszam, to było niegrzeczne. – I na powrót wbija te swoje hipnotyzujące fiołkowe oczy w materac.

Mimo to ten przebłysk buntu kręci mnie jak diabli. Chcę jej takiej.

Bethany tak mocno pociąga za bransoletkę zdobiącą jej nadgarstek, że błyskotka pęka.

Kiedy patrzy na ten durny kawałek złota, coś w jej zrozpaczonej minie sprawia, że mam ochotę ją objąć.

– Nie potrafię cię rozszyfrować. Jesteś zagadką, Elizabeth. – I wtedy robię coś gorszego niż jebane przytulanie. Całuję ją. Szybko, krótko. Prawie, kurwa, czule. – Niezwykle słodką – dodaję i przywołuję na twarz arogancki uśmiech.

Nie potrafię pojąć, po co to zrobiłem. Ani tego, co w tym takiego było, że mi się podobało i to na tyle, że pragnę to powtórzyć. Mocniej. Dłużej. Namiętniej.

Zamiast tego odbieram jej zniszczoną bransoletkę i wkładam sobie do kieszeni. Liczę, że znowu pokaże pazurki i zażąda zwrotu, ale nic z tego.

– A ty jesteś niezwykle opanowany – mówi cicho.

– Spodziewałaś się, że będę krzyczał i agresywnie wszystko wymuszałem?

Bethany pociera barki, a następnie okrywa się kocem.

– Nie chciałam cię urazić, ja tylko... – Przełyka ciężko ślinę, znowu zalękniona.

Wzdycham i lituję się nad nią.

– Przemoc nie jest moim kluczem do szczęścia, a ostatecznością. – Kucam, by zrównać się z nią spojrzeniem. – Dlaczego nie patrzysz mi w oczy?

– Nie wiem, czy mi wolno.

A co to ma niby znaczyć?

– Z każdą minutą intrygujesz mnie coraz mocniej. – Gładzę ją po policzku.

Moja cierpliwość przynosi efekty, bo Bethany się uśmiecha po raz pierwszy tego wieczora.

– To brzmi jak komplement – odpowiada.

– W rzeczy samej. Od dawna tkwię w monotonii, jednak nie umiem zdecydować, czy chcę, żeby ją przerwano.

– Zdecyduj, a ja się dostosuję.

– Tak po prostu?

Wierci się niespokojnie.

– A czy nie tak to powinno wyglądać? – W jej spojrzeniu odbija się cień goryczy, który zdradza mi więcej, niżby sobie życzyła.

Tak łatwo byłoby pchnąć ją na łóżko i wziąć. Oznaczyć jako moją.

Powinienem mieć gdzieś, że ona tego nie chce, tym bardziej że nawet nie wykazuje oporu. Każdy inny mężczyzna z mojego otoczenia sięgnąłby po nią i po prostu przeleciał. Wielokrotnie. A taka niezachwiana uległość tylko pobudzałaby ich psychopatyczne zachcianki, bo pozwoliłaby im na wszystko. Gdyby ktokolwiek inny dostał ją w swoje łapy...

Tyle że, nie oszukujmy się, niczym się od nich nie różnię. Jestem na wskroś skażony złem i totalnie pojebany.

A jednak gdybym to zrobił, zniszczyłbym ostatnią rzecz, która odróżnia mnie od ojca. Ostatnią barierę, która dzieli mnie od wszystkich pojebów, którzy próbowali zmienić mnie w chorego, okrutnego sadystę.

– Połóż się. Powinnaś odpocząć.

– Zamierzasz nadal na mnie patrzeć? – piszczy, kiedy orientuje się, że zamiast wyjść, siadam ponownie na fotelu.

– Możliwe, że uczynię sobie z tego nowy nawyk.

Mruga zdumiona.

– I to już wszystko?

Znowu dopada mnie rozbawienie.

– Coś cię martwi? Tu, pod dachem pełnym złoczyńców? – żartuję.

Waha się zbita z tropu.

– Cokolwiek sobie teraz o mnie myślisz, ja naprawdę chcę wywiązać się ze swoich powinności i przepraszam, że wcześniej...

– Nie zmuszam kobiet do seksu, czekam, aż same tego zechcą.

Wciąż pozostaje nieufna, gdy bębnię palcami o kolano.

– Proszę... Ja muszę wiedzieć, czy zamierzasz mnie odesłać?

Powinienem to zrobić.

To nie miejsce dla niej.

– Dobranoc, płomyczku – mówię, zamiast wyjaśnienia.

Płomyczku?

Skąd mi się to wzięło, do cholery? Chyba mój mózg potrzebuje lobotomii, bo biorąc pod uwagę jej aktualne zachowanie, prędzej padnę trupem, niż ją rozpalę.

Czuję, jak drgają mi kąciki ust, gdy oglądam, jak turla się po wielkim łóżku, urządzając na materacu niemal zapasy z tymi swoimi puchowymi kocami. W końcu wtula głowę w poduszkę i zamyka

oczy.

– Jasne, pchły na noc – rzuca, uchylając jedną powiekę.

Kto tak mówi? Czterolatki? Ona właśnie taka jest. W środku maleńka i krucha. A ja nie mam pojęcia, jak obchodzić się z takimi delikatnymi, cennymi rzeczami...



## Rozdział JEDENASTY

Nowy dzień wydaje się testem dla mojej wytrzymałości psychicznej. Potrafię być cierpliwy, jeśli mam odpowiednią motywację, ale najwyraźniej dziś wszyscy motywują mnie, żebym podgryzał im głowy.

A najbardziej prosi się o to mój drogi, pieprzony przyjaciel Thomas, który chwilę temu wrzucił mi do gabinetu faceta wyglądającego jak zombie. W trakcie kurewsko ważnego spotkania biznesowego, na którym miałem załatwić sobie poparcie w pewnej kurewsko ważnej sprawie. A teraz mój służbowy gabinet zmienia się w rzymskie Koloseum, Tom reprezentuje stado lwów, a ten ktoś robi za obficie krwawiące śniadanie.

– Biedny skurwiel. Nie masz pojęcia, w co się wpakowałeś.

Opierając brodę na ręce, obserwuję, jak Thomas strzela karkiem i uśmiecha się do nieobezwładniającego, klęczącego przed nim faceta.

Że też nie miał gdzie go przywlec. Dupek uwielbia urządzać takie spektakle i przeciągać w nieskończoność droczenie się z ofiarą. Zupełnie jak myśliwy, który nigdy nie strzela prosto w serce ofiary, a jedynie rani ją na tyle, by pozostała przy życiu zdana na jego fanaberię.

Rzucam okiem na mojego gościa, zajmującego miejsce na kanapie naprzeciwko fotela, na którym siedzę. Antonio wydaje się cieszyć krwawiącym na mój dywan kawałem mięsa, równie jak Tom.

Otoczają mnie pojeby.

– Kim właściwie jest ten śmieć? – pytam, odkładając na bok plik dokumentów, które miałem zamiar przejrzeć.

– Próbował...

Wyjaśnienie Toma przerywa pukanie do drzwi.

Ogarnia mnie irytacja. To już drugi raz, gdy ktoś śmie zakłócić mi spotkanie. Co jest, do kurwy nędzy?

– Logan, chciałam... – Bethany zagląda do mojego biura, zanim mogę wyartykułować choćby jedną cholerną sylabę. – Przepraszam, myślałam... Nie wiedziałam, że nie jesteś teraz sam.

– Dzień dobry, Elizabeth – mówię na tyle wyzutym z emocji tonem, że natychmiast spuszcza wzrok.

Zauważam, jak jej cera robi się o kilka odcieni bledsza.

– Przyjdę później – szepcze. – Jeszcze raz przepraszam. Nie chciałam przeszkadzać. – Prawie upuszcza okrągłe ciastko, które trzyma w palcach.

– Poczęstuj mnie! – wołam, nim zdąży zatrzaskać drzwi, i zapraszam ją do środka machnięciem ręki. – Kontynuuj. Kto zostanie niedługo trupem? – zwracam się teraz do Toma.

Mój przyjaciel gapi się na mnie, wyraźnie wątpiąc w moją poczytalność. Podobnie zresztą jak mój gość Antonio Rodrigez.

– Serio? – wykrztusza Tom.

Zaciskam pięść na podłokietniku i zmuszam się do zachowania pokerowej twarzy, choć czuję kumulującą się we mnie złość.

– Czy to brzmi na żart? Coś cię rozbawiło? – Unoszę ostrzegawczo brew.

Zwykle nie zwracam się do Thomasa jak do mojego podwładnego, ale nikt nie ma prawa podważać mojego autorytetu i moich decyzji. Nigdy, a tym bardziej nie przy publice.

Z byciem liderem w gangsterskim światku jest mniej więcej tak jak z przewodzeniem w stadzie wilków. Samiec alfa musi być zawsze czujny i gotowy do stłamszenia najmniejszych oznak buntu, bo otaczają go zdziczałe drapieżniki, które w dzień i w nocy knują, jak przejąć jego pozycję.

Gdy Thomas milczy, czekam, aż Bethany przejdzie przez pokój i stanie obok mnie.

Wiem, że moje zezwolenie na uczestnictwo kobiety w spotkaniu dotyczącym interesów może się wydawać zaskakujące, a nawet kontrowersyjne. Widzę w tym jednak własny cel, więc chuj mnie obchodzi, czy którykolwiek z nich ma zbyt małe jaja, by się z tym uporać.

Bardziej mnie interesuje, jak Bethany poradzi sobie z makabryczną sceną, której zaraz będzie świadkiem.

– Próbował podłożyć bombę w jednej z naszych lokalizacji. Został zdemaskowany, ale jest tylko czymś pionkiem – mruczy w końcu Tom.

– Znajdź tego, kto to zlecił.

Thomas okręca na palcu niewielki, ale ostry jak diabli scyzoryk. To jego ulubiony, bo sam go sobie zrobił. Jestem całkiem pewien, że to cacko mogłoby kroić kamienie.

– A co z tym ścierwem? – docieka.

Zerkam na Elizabeth, która stoi, opierając się lekko biodrem o mój fotel. W dłoni trzyma wciąż to wielkie, nadgryzione ciastko, ale chyba już o nim zapomniała. Skupia się wyłącznie na skutym kajdankami nieznanym i robi, co może, by wyglądać na dzielną i dumną.

Sięgam po pistolet ukryty pod mahoniowym blatem i strzelam prosto w prawy kciuk tego skurwiela, który miał czelność węszyć na moim terenie.

Kość, skóra, krew, wszystko dosłownie rozbryzguje się dookoła, a facet wrzeszczy i zwija się z bólu. Przejeżdżam rozgrzaną lufą po jego skroni, pławiąc się w jego przerażeniu.

– Zakopcie go żywcem w przeznaczonym do tego miejscu – rzucam.

Bethany porusza się obok mnie. Wyglądała, jakby chciała zapytać o cmentarz, na którym to ludzi grzebie się żywcem.

– Nie. Błagam, nie róbcie tego. Nie wiedziałem! – krzyczy obcy i już cały się trzęsie. – Nie chciałem.

Uznaję, że byłoby całkiem zabawnie, gdyby dla pełnego efektu zeszczał się jeszcze w majtki.

– Wybacz, kochanie – mówię, gdy zauważam, że nieco krwi tego śmiecia skapnęło na strój Elizabeth. Wyjmuję z kieszeni marynarki poszetkę, by zetrzeć plamy.

Korzystam z okazji, by nakarmić oczy jej pięknem. W białej, zwiewnej sukni ciągnącej się aż do podłogi przypomina niemal mityczną boginię.

– Drobnostka.

Jej dostojne skinienie podbródkiem sprawia, że mam ochotę się uśmiechnąć. Znów odgrywa tę królową lodu i jest przy tym niezwykle pociągająca.

Wtem rozlega się ponowne pukanie do drzwi. Tym razem jednak przynajmniej nikt nie wpada do środka taranem, za to czeka na przyzwolenie.

Spoglądam na ochroniarza pilnującego wejścia, dając mu znak, by je otworzył. W progu stoi żona mojego współnika Isabella.

– Antonio, wiem, że miałam ci nie przeszkadzać, ale wydzwania twój brat i kazał mi cię powiadomić...

– Kazałem ci zostać w aucie. – Rodrigez przemierza pokój szybkim krokiem, a w kolejnej sekundzie wymierza Isabelli policzek.

Czuję, jak Bethany wdryga się tuż obok mnie i wstrzymuje oddech.

Żona mojego współnika przykłada dłoń do zaczerwienionej, napuchniętej skóry.

– Przepraszam. Przepraszam. On był zły i nie wiedziałam, co zrobić – mówi płaczliwie.

– Wykonać moje polecenie. – Antonio przyciąga kobietę bliżej siebie, szarpiąc ją za włosy. – Czy to dla ciebie za trudne?

– Wybacz mi.

Nawet z tej odległości zauważam, jak kobieta drży ze strachu przed gniewem męża. Ten jednak wrywa jej telefon z dłoni, kończy połączenie i wkłada komórkę do kieszeni.

– Zejdź mi z oczu. – Popycha ją w kierunku drzwi.

Isabella wybiega pospiesznie, a po chwili w korytarzu roznosi się echo jej łkania.

– Nieposłuszna suka – mówi Antonio po włosku. – Panowie, darujcie. Kobiety. – Wygląda kłapy swojej marynarki i zasiada ponownie na kanapie.

Nie wiem, czy bardziej kusi mnie, żeby przygarnąć do siebie wyraźnie wytraconą z równowagi Elizabeth, czy też, by sięgnąć po jeden z moich noży i przekłuć nim Rodrigezowi oba oczodoły.

Niestety nie mogę zrobić żadnej z tych rzeczy, a paradoksalnie przytulanie jest bardziej zakazane

niż zabójstwo narażające nasz rozejm.

– Rozstaw więcej ludzi dookoła naszych lokalizacji. Nikt inny nie ma prawa wtargnąć na mój teren.

Ponieważ nie wolno mi strzelić do wymarzonego celu, sięgam po beretę i jeszcze raz celuję do chuja, który podłożył mi ładunek wybuchowy w klubie, a potem naciskam spust. Szczątki kolejnego palca paskudzą mi dywan.

– Chcesz, żebym wyciągnął z niego, czy ma współników i zlecenia na podłożenie ładunku wybuchowego pod inne obiekty? – pyta Thomas.

Jego ekscytacja z katowania jest tak oczywista, że wyjący wniebogłosy facet od razu się poddaje.

– Powiem wszystko, co wiem – oznajmia.

Szkoda, że jego błagania nie robią na mnie wrażenia. Nie ma co liczyć na rozgrzeszenie i drogę do raju, ale od tego plugawego świata uwolnię go z radością.

– Zakop go, niech wie, że za późno na współpracę – rzucam. – Sam znajdziesz potrzebne informacje.

– Jasne.

Obcy wpada w histerię i nim mogę mrugnąć, podpełza do mnie i owija mi swoje brudne łapska wokół nóg, a czoło opiera o moje kolano.

– Nie róbcie tego. Nie róbcie tego – powtarza obłąkańczo.

Tom działa błyskawicznie i odciąga ode mnie intruza, a potem powala go kopnięciem na brzuch.

– Jest dziwką? – Antonio posyła skinienie w kierunku skamieniałej kobiety u mojego boku.

Mojej kobiety.

Gdy tylko dostrzegam, jak przewierca ją łakomym wzrokiem, coś we mnie przeciąga się leniwie i wypełnia mrokiem. Palce świerzbią, by zacisnąć je na krtani rywala i miażdżyć tak długo, aż usłyszę jego ostatnie tchnienie.

– Jest moja. – Nie dbam o to, że głos, spojrzenie, postawa, wszystko we mnie zapowiada chęć ataku.

Antonio przesuwam kciukiem po dolnej wardze. Bez problemu odgaduję wizje nawiedzające teraz jego umysł.

– Zatrudniona na wyłączność? – docieka.

Jego nieskrywane seksualne zainteresowanie Elizabeth oznacza jawne okazanie mi braku szacunku, więc udaję, że bawię się pistoletem, a lufą zataczam w powietrzu łuk ogarniający jego sylwetkę.

– Coś w tym stylu – szepczę.

Antonio uśmiecha się na mój popis zaborczości.

Tak, skurwysynu, poszatkuje cię na kawałki, jeśli nie przestaniesz pieprzyć się w wyobraźni z tym, co należy do mnie.

– Ładniutka. *Dolcezza* – aprobuje i ma czelność mrugnąć do Bethany po tym, jak dodał, że jest słodziutka.

Dosłownie widzę na czerwono, gdy układam dłoń na dole jej pleców i przyciągam do siebie.

– Pocałuj mnie – rozkazuję.

Mój oschły, surowy ton wywołuje w niej niepokój, ale natychmiast wykonuje moje polecenie. Przywiera do mnie swoimi umalowanymi na różowo wargami i obejmuje ramionami moją szyję. Ponieważ teraz nie mam w sobie ani krztyny kontroli, całuję ją gwałtownie i bezwzględnie, niemal raniąc wargi. Rozchylam językiem jej usta i demonstruję to, co chciałbym zrobić jej nim także między udami.

Gdy odrywam się od niej, zauważam, jak głośno zasysa powietrze, a jej oczy szklą się od zaproszonej pod jej skórą żądz.

Wyszczerczam się zadowolony, bo wygląda, jakbym nie tylko ją pocałował, ale też solidnie zerznął.

– Niezły pokaz władzy – rzuca Tom z nutką cynizmu.

– Czy to nie na twojej warcie ten półprzytomny skurwiel dostał się do mojego klubu? – ripostuję. Doskonale wiem, co kryje się za jego sarkastycznym rozbawieniem. Wszyscy tutaj spodziewają

się, że będę traktować Elizabeth, jakby nie była nic warta. Jak gdyby nie była niezastąpiona. Bo przecież w gruncie rzeczy nie jest. Tyle że coś we mnie się z tym nie zgadza.

– Tak, ale...

– Jesteś pewien, że mam ochotę słuchać twoich tłumaczeń?

Jadowity uśmiezek Toma znika, a on sam lekko się garbi.

– Co mam zrobić? – wzdycha, bo zdaje sobie sprawę, że srogo zapłaci za swój błąd, a jeszcze bardziej za te głupawe dowcipy.

Bethany dotyka przelotnie mojego torsu.

– Powinam wyjść? – pyta cicho.

Jak najbardziej, ale ja jeszcze nie skończyłem się bawić.

– Zaczekaj jeszcze chwilę – mówię, a potem wręczam Tomowi swój wyjęty z kieszeni motylkowy nóż i zwracam się do niego: – Twój wybór. Teraz.

Tom nie okazuje zdziwienia, ale Bethany tak, bo nie ma pojęcia, o co mi chodzi, dopóki Thomas nie zatapia ostrza w swojej ręce.

– Kurwa – syczy. – Kurwa. – Odrzuca mi zakrwawione narzędzie.

Porąbany gość, zawsze dźga się w lewą dłoń, choć jest wiele innych lepszych miejsc, które nie utrudniają sprawności. Tylko że Tom to świr, który na dodatek wydaje się odporny na ból.

– Podobało ci się? – zaczepia Bethany, wykrzywiając usta bardziej w grymasie niż w uśmiechu.

Ku mojemu zdumieniu kobieta radzi sobie po mistrzowsku. Zachowuje nieprzenikniony wyraz twarzy i wskazuje palcem na strużkę krwi sącząca się z rany Thomasa.

– Ładna krew. Dodaje koloru tej ponurej przestrzeni – mruczy.

Nie udaje mi się powstrzymać wybuchu śmiechu.

– Świetnie sobie poradziłaś z tą sytuacją – szepczę jej do ucha, tak by nikt poza nią mnie nie usłyszał.

– Ja?

– Tylko przestań dygotać. – Przesuwam dłońmi po jej talii i żebrach.

– Im się chyba podoba, że się ciebie boję.

Bez wątpienia. Założę się, że zarówno Antonio, jak i Tom, a nawet ten półżywy śmieć, byli przekonani, że potraktuję Bethany mniej więcej tak, jak mój gość swoją żonę. Wtargnięcie bez zezwolenia w trakcie poufnego spotkania. Za to zdecydowanie wymaga się dania nauczki.

A Bethany... Ona perfekcyjnie wciela się w rolę ofiary. Wie, że w tym świecie to jedyna rola, jaka jej przypadła, i nigdy nie zostanie drapieżnikiem, a bunt będzie surowo karany.

Gdy tu weszła, oczekiwała tej kary. Rozpoznałem to.

– Ale mnie się nie podoba – mówię.

– Świntuszyście sobie? – wtrąca Tom, świdrując mnie spojrzeniem.

Cholera. Nie powinienem wypowiadać takich słów. Po co próbuję ją ułagodzić? Tom już patrzy na mnie, jakby wiedział i dostrzegał więcej niż ja.

– Przyjdź później do mojej sypialni – odzywam się na tyle głośno, by tym razem każdy to usłyszał. – Możesz odejść.

– Oczywiście.

Ujmuję jej nadgarstek, gdy stawia krok w stronę drzwi.

– Zapomniałaś się ładnie pożegnać. – Znacząco przesuwam kciukiem po konturze jej ust. Elizabeth całuje mnie ponownie.

– Przepraszam za to... – Macha w stronę drzwi i znowu przykleja wargi do moich na zbyt krótkie dwie sekundy.

Potem odchodzi, a ja potrzebuję znacznie więcej niż dwóch sekund, by pozbierać swój umysł i wrócić do interesów.

## Rozdział DWUNASTY

Właśnie nastąpiło owo *później* w mojej sypialni, choć dzień ciągnął się niemal całym latami, a ja byłem przekonany, że tej nocy Elizabeth wcale nie stanie w jej proggu. Sama tu jednak przyszła. Sama karmiła mnie czekoladą, wyjęła ten swój dumny notesik, w którym to z niezwykle poważną miną zapisywała, jak być dla mnie idealną kobietą. Zupełnie jak gdyby karmienie mnie słodyczami było na szczycie listy tego, czego ktoś tak spierdolony jak ja najbardziej potrzebuje.

Zabawna kruszynka. Nie ma o niczym pojęcia, ale przecież sama mnie prosiła, wręcz błagała, bym jej nie odrzucał, i sama się rozebrała, więc czemu miałbym jej odmawiać?

Nie zamierzam. Jest już za późno.

Moje mroczne alter ego powoli się budzi i infekuje ciemnością każdą komórkę. W tym stanie zachowanie panowania nad sobą plasuje się na tym samym poziomie trudności, co wspinanie boso po rozżarzonych węglach.

A kobieta stojąca naprzeciwko mnie tylko dolewa oliwy do ognia, podsycając moją namiętność.

Przyszła tu, żeby mi się oddać, a zatem tak się stanie.

– Połóż się na łóżku – mruczę wprost w jej wargi i znów mam ochotę nimi zawładnąć. Zawładnąć nią całą. I zaraz to zrobię. – Powinnaś wiedzieć, na co się piszesz. Nie będę...

– Czuły i delikatny? – Wstrząsa nią dreszcz. – Wiem, wspomniałeś, poza tym jestem przekonana, że nigdy nie byłeś taki dla kobiety. Nie kochałeś się z nimi, a... pieprzyłeś je.

Obserwuję, jak napędzana lękiem odwraca się w stronę mojego łóżka. Stawia niepewny krok naprzód i zaraz zamiera sparaliżowana.

Mogę czytać w niej jak w otwartej księdze. Wiem, co widzi, patrząc na czarną satynową pościel, mocne drewniane bale, na których gdy zechcę, mogę utrzymać związaną zwierzynę na mojej łasce.

Wkroczyła do sypialni potwora i droczy się z nim, nakłaniając go, by na nią zapolował.

Stojąc za plecami kobiety, korzystam z okazji, by przesunąć palcem wzdłuż jej kręgosłupa.

– Jaki byłby tego cel? Przecież to wciąż tylko seks. Tylko sposób na osiągnięcie cielesnego zaspokojenia.

Gdy docieram do ciemnych pasm jej włosów, wplatam w nie palce, odgarniam na bok i obnażam jej kark.

Później obracam ją twarzą do siebie i zagarniam w ramiona, by zanieść do łóżka.

Jej oczy wydają się jeszcze większe, więc robię, co w mojej mocy, by powściągnąć instynkty i nie posiąść jej od razu.

– I nigdy nie chciałeś czegoś więcej? – pyta ochrypłym głosem.

– A ty? Chcesz?

Bethany spuszcza wzrok na ton nagany w moim głosie.

– To i tak bez znaczenia. Poddaję ci się. Niedługo się okaże, dokąd mnie to zaprowadzi.

Ja pierdolę. Jestem w piekle.

– Boisz się? – Przegrywam walkę z niecierpliwością i wsuwam palce pod skraj jej koronkowej bielizny.

– Denerwuję się.

– Dlaczego?

Moja koncentracja się wymyka, gdy odsłaniam swoim ustom i dłoniom kawałek aksamitnej skóry.

Moja mała dziewczynka nie ma pojęcia, jaką ucztę stanowi dla moich zmysłów.

Nie ma pojęcia, co mógłbym jej zrobić. Co zrobię.

Szarpię okrywające ją skrawki materiału i rozdieram je, a następnie całuję każdy obnażony fragment.

Przeszywa ją kolejny spazm.

– Bo ja nigdy... Nigdy nie byłam z mężczyzną.

Zatrzymuję się, mój oddech staje się jeszcze szybszy. Jeszcze bardziej nakręcony.

Co ona właśnie powiedziała?

– To twój pierwszy raz? – nie dowierzam. – A to niespodzianka.

– Dlaczego, czy...

Nie kończy, ale dobrze wiem, co ją martwi. Niektórzy z nas zamawiają sobie czyste kobiety, nietknięte, a inni wyszukują te bardziej doświadczone, które będą ekspertem w zadowalaniu mężczyzny i spełnianiu jego fantazji.

To, że Bethany zalicza się do pierwszej grupy, nie powinno mnie szokować. I dzięki Bogu, bo gdybym kiedyś natknął się na sukinsyna, który ją miał, urwałbym mu kutasa i nakarmił nim sępy.

– To wywiera na mnie presję – wyjaśniam.

Jej ciało rozluźnia się, ale tylko odrobinę. Wciąż wbija paznokcie w prześcieradło i zagryza wargę.

– Wolisz, gdy kobieta jest doświadczona?

Zamiast odpowiedzieć, przesuwam językiem po jej brzuchu, nie mogąc się doczekać, aż polizę ją gdzieś indziej.

Ta cała akcja powoli mnie uśmierca. Mam wzwód wielkości pierdolonej maczugi Herkulesa i zaraz rozsadzi mi jaja.

Nigdy przedtem nie bawiłem się w gry wstępne. To nie mieści się w zakresie moich upodobań. Zwykle biorę sobie jakąś dziwkę i w dziewięćdziesięciu procentach przypadków każę sobie obciągnąć raz czy pięć razy. A jeśli chcę dla odmiany zatopić kutasa w jakiejś cipce, to wszystkie po prostu rozkładają przede mną nogi i czekają.

A teraz co? Chujów sto.

– Musisz się rozluźnić. – Zmuszam się do mówienia. – Jesteś piękna. Doprowadzasz mężczyzn do szaleństwa samym uśmiechem, nie masz powodu, by się czymkolwiek martwić.

– Nie wiem, co mam robić.

– Musisz więc przejść trening.

– Chcesz mnie oddać innemu mężczyźnie, żebym nabrała doświadczenia?

Zatrzymuję się milimetry od jej soczystych, różowych brodawek, w które już miałem zamiar się wgryźć.

Zerkam na jej twarz, obstawiając, że po prostu mnie nabiera, ale bijąca od niej panika jest niemal namacalna.

Oddać innemu mężczyźnie? Samo rozważanie tego doprowadza mnie do szaleństwa.

– Ze mną. Ten będzie tylko ze mną. – Przygryzam płatek jej ucha, czując, jak delikatnie wije się pode mną.

Tak jest, maleńka. Chcę, żebyś dla mnie płonęła.

– Skoro... skoro nie wiem... – jąka się. – Możesz zrobić ze mną wszystko.

– Nie składałabyś takich odważnych obietnic, gdybyś wiedziała, co od wczoraj wyprawiam z tobą w wyobraźni. – Wyszczerczam się zbereźnie. – Spokojnie – dodaję na widok jej spłoszonej miny. Ponownie osuwam się w dół. Przelotnie zawadzam wargami o jedną i drugą brodawkę.

Bethany zasysa oddech, a ja wreszcie zaczepiam palcami o jej stojące mi na drodze majtki.

Elizabeth prawie podrywa się z materaca.

– Zaczekaj. – Przykrywa moją dłoń swoją.

– Nie chcesz?

– Przepraszam.

Wydaje się zażenowana, zakłopotana, wystraszona i czująca, nie wiem... milion innych rzeczy.

A mnie z kolei wydaje się, że zanim wzejdzie słońce, będą musieli mnie zapiąć w kaftan bezpieczeństwa i odwieźć do czubków, bo nie ma mowy, żebym to przetrwał i pozostał zrównoważony.

– Nie chcę, żebyś się mnie bała – oznajmiam szeptem i zostawiam kilka mokrych pocałunków wokół jej pępka.

Ponieważ jestem masochistą, nie potrafię wrócić wyżej, pragnę wdychać słodki zapach jej pragnienia.

– Za szybko. Możemy jeszcze chwilę zaczekać?

Za szybko? Zaczekać? Już wolę, żeby mnie wychłostali.

Mimo to unoszę się nad jej drobną, dygoczącą sylwetką i używam ust i dłoni, by pieścić każdy fragment jej ciała. Całuję jej szyję, słuchając, jak wzdycha, okrążam kciukami oba sutki, kąsam skórę na obojczykach. Nie wiem, jak długo to trwa, ale gdy Bethany wygina się pode mną w łuk, napierając na moją erekcję, uznaję, że wreszcie jest zbyt upojona pożądaniem, by przejmować się obawami przed seksem, więc ponownie opadam na kolana i rozchylam jej uda.

– Podoba ci się, kiedy cię dotykam? – Niespiesznie wsuwam dłoń pod koronkę jej bielizny i muskam wilgotną łechtaczkę. Gdy nie protestuje, przyspieszam. Naciskam na jej cipkę, masując ją coraz szybciej, coraz mocniej, wciągając jednocześnie w nozdrza odurzający aromat jej podniecenia.

Pragnie mnie. Samczy warkot zwycięstwa wzbiera mi w gardle.

– Ja...

– Podoba ci się. Robisz się dla mnie bardzo mokra, mój mały płomyczku. – Wsuwam drugi palec do jej ciasnego wnętrza, jednocześnie jęcząc z zachwytu i rozpaczy. Zachwytu, bo jej gorąco i ciasnota są pierdolonym niebem, rozpaczy, bo mój fiut nie może jeszcze zamienić się z nimi miejscem.

– Dlaczego mnie tak... nazywasz? – dyszy. – O Boże...! – wyrywa jej się, gdy zagnieżdżając biodrami, nieświadomie podsuwa mi swoją łechtaczkę niemal do ust, a ja korzystam z okazji, by dmuchnąć na nią zimnym oddechem.

– Może kiedyś ci powiem.

– Zaraz...

Uśmiecham się. Wszystkie liny tamujące dziką naturę Bethany odpuszczają, gdy powoli narasta w niej spełnienie.

I okazuje się, że ta kruszynka potrafi być piekielnie niegrzeczną dziewczynką.

Odsuwam się i pozbawiam ją mojego dotyku na sekundę przed orgazmem.

– O nie, z tym zaczekamy jeszcze troszeczkę. Chcę, żebyś ociekała wilgocią, zanim pozwolę ci dojść na moich ustach. – Szczypię zębami skórę jej uda, z trudem upierając się potrzebie wpicia się w jej łechtaczkę.

Niecierpliwie się, by poznać smak jej cipki, a zarazem chcę odwlekać to jak najdłużej, bo wiem, że skosztowanie jej pierwszego kęsa będzie najlepsze. Niepowtarzalne.

– Proszę, Logan.

Jej nieśmiałe błaganie działa na mnie jak zaklęcie i wypuszcza potwora z klatki.

Przemykam językiem po jej łonie. Jedno, długie, leniwe liźnięcie.

– Myślisz, że prośbami można nakłonić mnie do większej uległości? – pryham.

– Nie do uległości, a do maleńkich kompromisów, ustępstw... znikomych.

Płacze się i rumieni, sprawiając, że dziwny supeł obwiązuje się na moim żołądku.

– Błagam mnie – żądam, upewniając się, by mój głos nie pozostawiał miejsca na sprzeciw.

Nie zaspokoję cię, dopóki mi tego nie dasz, maleńka.

– Zapomnij... – Urywa, gdy zarzucam sobie jej nogi na ramiona i ponownie opadam ustami na jej łechtaczkę. – Tak, tak, nie przestawaj!

Potrzeba roześmiania łaskocze mnie gdzieś w środku. Elizabeth Hallwell jest z całą pewnością uroczym stworzeniem.

– Pięknie pachniesz. – Wdycham jej woń, patrząc w zamglone oczy dziewczyny. – I smakujesz odurzająco. Słodko. Będę tu bywał bardzo często – obiecuję i wtedy zaczynam pożerać ją naprawdę. Liżę ją z łapczywością, której nigdy wcześniej nie czułem. Zasydam w usta jej wrażliwy punkt i okrążam go językiem w coraz szybszym, coraz gwałtowniejszym tempie.

– Między moimi udami? – pyta. – Nie przestawaj, błagam. Pozwól mi...

– Myślę, że nie będziesz z tego powodu protestować. Chcę być w tobie.

Mruga wyraźnie zagubiona.

– Nie wytrzymam tego... – Wstrząsają nią spazmy rozkoszy.

A ponieważ jestem podłym typem, wykorzystuję jej stan, by dostać to, czego chcę.

– Cicho, sprawię, że będzie ci dobrze.

I sprawiam, liżę ją jeszcze szybciej, jednocześnie zatapiając palce w jej śliskim wnętrzu. Moje palce lśnią od jej soków za każdym razem, gdy je w niej zagłębię, a język igra na jej pulsującej cipce, dopóki nie dochodzi.

– Logan! – krzyczy moje imię, a ja mam perwersyjną nadzieję, że usłyszał je każdy w tym domu. I każdy już wie, że ta kobieta należy do mnie.

Prędko zrzucam spodnie i znów zakradam się ku Bethany. Obserwuję, jak przeciąga się spełniona i błoga.

Niedorzecznie piękna.

– Zrobisz to, co ci każe – zapowiadam, wgniatając ją w materac. – I wkrótce nie będziesz chciała niczego innego. – Ustawiam główkę kutasa tuż przy jej wejściu, pocierając je kilkakrotnie, a potem zaczynam zanurzać go w środku.

Czuję rozkosz i ból. Byłoby mi chyba łatwiej przeżyć jebane rażenie piorunem niż to, co się właśnie dzieje. Moja zaborcza strona każe mi po prostu w nią wejść. Jednym ruchem, zagrzebać się tam, gdzie moje miejsce, ale zmuszam się, by dać jej czas.

– Logan – szepcze.

Gdy zaczynam się wysuwać, wczepia się we mnie swoimi małymi pazurkami w moje barki.

– Podoba mi się, kiedy jęczysz moje imię z taką rozkoszą. Kurwa. To jest idealne. – Ponownie wdzieram się do jej wnętrza i chyba po raz pierwszy w życiu tak podoba mi się doświadczenie agonii.

– Co jeszcze ci się podoba? – Uśmiecha się kącikami ust.

Uznaję to za dobry znak i wypuszczając z płuc powietrze, zaczynam poruszać się w niej nieco szybciej. Każdy mięsień w moim ciele protestuje przeciwko tak łagodnemu rytmowi, który ani trochę nie przypomina typowego pieprzenia.

– Jak twoja cipka zaciska się wokół mojego kutasa. – Czuję, jak pot spływa mi po skroniach. Jeszcze raz zatapiam się w jej wąskim, mokrym wejściu, a potem znowu. Tak kurewsko powoli, że mam ochotę kłąć, by jakoś sobie ulżyć.

Niespodziewanie Bethany zaciska zęby na mojej szyi.

– Szybciej, proszę.

Tak jest, wreszcie.

– I to, jak patrzysz na mnie w tej chwili – wyliczam dalej.

– A jak patrzę?

Spoglądam na nią z góry. Na nasze złączone ciała. Ocierające się o siebie. Spocone. Poruszające się w jednym rytmie. I w jej oczy w tak dziwnym odcieniu niebieskiego, że czasem wydają się niemal fiołkowe. Dostrzegam w nich coś, czego absolutnie nie powinno tam być.

Czułość.

Tylko nie to, do kurwy nędzy. Odwracam od niej wzrok i zaczynam wbijać się w nią o wiele mocniej. W końcu robię to, co chcę. Co powinienem robić od początku. Rzną ją.

I nic więcej. Bez uczuć. Bez emocji.

– Dojdz dla mnie. Teraz. Chcę dostać twój kolejny orgazm – mruczę do jej ucha i sekundę później czuję, jak jej mięśnie zaciskają się na moim fiucie, a ona jęczy donośnie, więc także pozwalam sobie na zaspokojenie. Wsuwam się w nią po raz ostatni i dochodzę.

– Och – słyszę. – Wow...

Opadam po drugiej stronie łóżka i nim zdążę to przemyśleć, przyciągam Bethany tak, by jej policzek leżał na mojej piersi.

– Wszystko w porządku?

Na jej wargi wpływa zachwycony uśmiech.

– Tak.

– Ten uśmiech chochlika oznacza, że ci się podobało, racja?

– Bardzo. – Pociera policzkiem o mój tors, a później zostawia tam pocałunek. – Było niesamowicie.

Bez uczuć. Bez emocji.

A jednak na jej słowa zalewa mnie fala nieznanych odczuć.



– Mnie też. – Cmokam ją w usta.

– Więc jak na ciebie patrzę?

Potrząsam tylko głową. Wspomnienie przeblysku czułości w jej spojrzeniu każe mi zwiększyć między nami dystans.

– W zakazany sposób – rzucam.

– Nie rozumiem.

– Pytałaś o zasady. Jedna jest szczególnie ważna. – Zabieram palce z jej splątanych włosów.

– Słucham.

– Chcę układu, a nie miłości. Uczucia to dyskwalifikacja. Nie licz, że między nami będzie coś romantycznego i nie staraj się naszego związku takim uczynić.

Elizabeth wzdycha głośno, na jedno krótkie mgnienie wydaje mi się, że czuje się odtrącona, ale potem wraca za swoją maskę z lodowej tafli.

I dobrze.

Nie chcę jej ranić, ale musi pamiętać, że to coś między nami to nie relacja prowadząca do wzajemnego zakochania się w sobie.

Ja nie umiem kochać. I szczerze mówiąc, ani trochę nie chcę umieć. Ten świat jest zbyt dysfunkcyjny i szpetny, żeby miłość mogła się dla kogokolwiek dobrze skończyć.

– Jak sobie życzysz. – Uśmiecha się oziębło. – Zgaduję, że otrzymałam oddzielną sypialnię, bo nie będziesz ze mną spał także po seksie?

– To byłoby zbędne, racja?

– Zatem może znowu przyjdiesz popatrzeć, jak śpię? Sądzę, że wszyscy nieczuli i okrutni mężczyźni wokół ciebie tak robią, ponieważ to niezbędny wymóg. Rutynowa kontrola, dodatkowy nadzór, żeby pod osłoną nocy głupie kobiety nie łamały zasad, tak?

Jej ociekający sarkazmem głos niebezpiecznie nadszarpuje strunę w moim wnętrzu.

Z trudem powściągam złość i wstaję.

Jej zachowanie jest dowodem na to, że muszę jak najszybciej ograniczyć kontakty między nami wyłącznie do odwiedzin jej sypialni pod osłoną nocy, gdy najdzie mnie ochota na pieprzenie.

Obojętne i szybkie, takie po którym nie przyjdzie jej na myśl snucie romantycznych iluzji.

– Dobranoc, Elizabeth. – Wpatrując się w nią spod półprzymkniętych powiek, ujmuję jej dłoń, a potem całuję jej grzbiet. Dokładnie tak jak przy pierwszym naszym spotkaniu.

A następnie wychodzę, nie oglądając się za siebie.

## Rozdział TRZYNASTY

Ile mogą trwać babskie pogawędki? Bo mija już wieczność, odkąd wlałem do pustej sypialni Bethany. Po tym, jaki dała dziś popis przy kolacji i jak doskonale uporała się głupimi docinkami moich ludzi, chciałbym dać jej znać, że jestem... dumny i, kurwa, liczę na małe zbereżne rżnięcie. Tylko że ona musiała wybrać towarzystwo Cleo. Chyba nie zostaną razem do pieprzonego świtu!

Moja siostra, mimo że przypomina anioła, jest jak worek kłopotów i wołałbym, żeby nie wciągała Bethany w swoje spiski, zwłaszcza teraz, gdy próbuję razem z moimi ludźmi rozszyfrować, co knuje ten pierdolony gnojek, z którym...

Światło zapala się zaraz po otwarciu drzwi.

– Logan! Wystraszyłeś mnie prawie na śmierć. – Bethany przyciska pięść do serca i napiera plecami na drzwi.

Posyłam jej złowieszczy uśmiech.

– Zastałaś potwora czekającego na ciebie w łóżku. – Krzyżuję ręce pod głową, świdrując wzrokiem jej ciało od góry do dołu. – Uciekaj – ostrzegam dowcipnie.

– Czemu siedzisz w całkowitej ciemności?

– Lubię mrok.

Teraz to w kącikach jej ust czai się mały, powstrzymywany uśmieszek.

– Żadna niespodzianka. W tym domu słabe oświetlenie naraża na dodatkowe niebezpieczeństwo. Jakby już było go mało – mamrocze i ogląda się za siebie na drzwi, jak gdyby mogła przeświecić je spojrzeniem i zajrzeć na korytarz. – Trzy razy potknęłam się na schodach przypominających skręconego węża. A może i cztery...

– Trajkoczesz – zauważam. – Czym jesteś taka zdenerwowana?

Wzrusza ramionami, a potem rusza do pikowanego krzesła i opada na nie trochę zbyt sztywno. Zaczyna mocować się ze swoim eleganckim upięciem. I robi to bez patrzenia w lustro... bo ono zniknęło. Wielkie lustro przymocowane do toaletki rozplynęło się jak za sprawą czarodziejskiej różdżki.

– Nie wiem, dlaczego tu jesteś – mamrocze cicho.

Intuicja podpowiada mi, że to nie do końca prawda. Elizabeth może i nie czuje się przy mnie swobodnie, bo nikt z odrobiną rozsądku nie czuje się swobodnie przy zbrodniarzu, ale mam wrażenie, że próbuje coś przede mną zataić. Chwilę temu wpadła tu, jakby po holu goniła ją zgraja upiorów, a wcześniej Tom doniósł mi, że Bethany spędza wieczór w sypialni mojej siostry.

Zatem to sprawka Cleo. Oczywiście.

– Dla ciebie. – Zniżam głos, udając, że jej wierzę. – Chodź tutaj. Pomogę ci. – Przysiadam i poklepuję materac obok siebie, starając się wyglądać nieszkodliwie.

Bethany spogląda na mnie nieufnie, ale oczywiście wykonuje polecenie i podchodzi do łóżka.

Sadowię się wygodnie za jej plecami i przemykam kciukiem po odkrytym ramieniu aż do nadgarstka. Czuję, jak drży pod wpływem mojego dotyku, a jej oddech się spłyca. Wsuwam rękę w jej włosy, by wyciągnąć kilka spinek. Wkrótce jej ciemne włosy rozsypują się falami sięgającymi niemal do jej talii. Są piękne i lśniące. Pachną dzikimi kwiatami.

– Dziękuję. – Drżącymi palcami odbiera mi wsuwki i odkłada je na bok.

Zanurzam nos w jej lokach i zaciągam się ich aromatem. Przyciskam usta do jej karku, a potem jeszcze raz.

– Masz piękne włosy. Przypominasz mi syrenę – szepczę do jej ucha.

– Potwora z głębin?

Chciałbym, wtedy na pewno nie miałbym tak dokuczliwej erekcji.

Chwytam szczotkę z jej szafki nocnej i zaczynam rozczesywać jej potargane kosmyki.

– Mistyczną kusicielkę, która potrafiła nakłonić mężczyzn do każdego grzechu – tłumaczę.

– Zostaw. – Zabieram z jej palców nasączony czymś wacik i sam zaczynam zmywać jej makijaż.

– Dlaczego... to robisz?

Znowu się uśmiecham.

– Ja tylko szukam pretekstu, żeby skraść od ciebie trochę przyjemności. – Przesuwam ustami po jej wilgotnym policzku aż do skroni. – Pocałowałem cię już dzięki temu sześć razy. I mogę cię dotykać. – Biorę kolejny zachłanny oddech. – I wdychać.

Bethany odwraca się do mnie.

– Siedem. – Zupełnie zniecka przyciska swoje wargi do moich. – Jesteś mokry. – Marszczy czoło, przebiegając palcami po moich jeszcze nieco ociekających wodą włosach.

– Wzięłem u ciebie prysznic.

Bethany wstaje i odsuwa jedną z półek w komodzie. Podaje mi biały ręcznik.

– Mogę ci się odwdziżyć? – pyta, a następnie powoli, jakby z lękiem, zaczyna wycierać mi włosy. – Znalazłam jeszcze kilka kropel. – Pochyla się nieco ku mojej nagiej klatce piersiowej, zagląda mi w oczy i całuje moją skórę. Łapie ustami krople.

– Prowokatorka – dyszę.

– Zmieniłeś zdanie i będziesz dziś ze mną spał? – Jej tęczówki migoczą psotnie.

– Nic z tego, płomyczku.

– Mogłabym spróbować cię skusić. – Na dowód swych słów wysuwa język i liże mój tors, nie omijając brodawki.

Kurwa.

Sekunda i moje ręce już szarpią jej włosy, odchylając głowę, a wargi wpijają się w jej w namiętym pocałunku.

I wtedy dzwoni moja jebana komórka.

Odsuwam się wbrew sobie i sprawdzam imię na ekranie.

– Mam coś pilnego. – Wzdycham i kradnę jej jeszcze jednego całusa. – Znajdę cię później.

– A jeśli się schowam?

To by mi się bardzo, bardzo spodobało. Sama wizja napędza mnie adrenaliną i żądzą.

– Spróbuj skłonić łowcę do ruszenia za tobą na polowanie, a zobaczysz, co to będzie dla ciebie oznaczało. – Zatrzymuję się przy drzwiach. – I, Bethany, wiem, że coś ukrywasz. – Opuszczam jej sypialnię nabuzowany jak małolat, a biorąc pod uwagę to, co zaraz muszę załatwić, potrzeba mi chłodu i koncentracji.

\* \* \*

– Cały czas próbuję go namierzyć. Może poszłoby mi lepiej, gdybyś nie poszatkował jego kumpla na kawałki – rzuca Tom zgryźliwie do słuchawki, gdy bez zastanowienia wkraczam do sypialni Bethany, zamiast do własnej.

– Znajdź go jak najprędzej. Nie toleruję ani minuty zwłoki – odpowiadam i rozłączam się. – Kurwa! Co za bagno. – Miałem komórkę w garści, ale to nie pomaga mi okiełznać pompującego się przez mój krwiobieg gniewu. Walę tym chujowym urządzeniem o ścianę.

To podstępne ścierwo nie może mi się wymknąć. Muszę go dopaść, zanim...

Zauważam, jak Bethany zbliża się do mnie nieco płochliwie, gotowa zaraz stąd wystrzelić na sąsiedni kontynent.

– Złe wieści? – pyta.

Wprost, kurwa, wyśmienite.

– Niestety nie najlepsze. I zdecydowanie za blisko najgorszych. – Wlokę się do jej łóżka, walcząc z krawatem, który teraz zdaje się dusić mnie jak pieprzony wąż boa.

– Wolno mi zapytać o szczegóły? – dobiega mnie cichy, drżący głos.

Wpatruję się w sufit, świadomy tego, że moje plecy leżą na czymś nieznośnie puchatym, a drewniane bale łoża Bethany osłaniają ciemne baldachimy.

Iście królewskie posłanie. I zarazem jedyna zmiana, jaką Bethany wprowadziła w ponurym wystroju pomieszczenia. Wciąż widzę dominujące tu trzy barwy: czerń, biel i szarość. Wciąż zauważam te same drogie ozdoby, obrazy, posągi.

Elizabeth nie zmieniła tej sypialni w swój bezpieczny zakątek i doskonale wiem, że to dlatego,

że nie miała odwagi, bo martwiła się o moją reakcję.

– Czy ci wolno? – Potrząsam głową. – Jesteś taka uległa z natury czy to jedynie pozory?

– Opieram podbródek na zgiętym łokciu i przypatruję się jej intensywnie.

Moja mała łamigłówka.

– Upewniono się, że nigdy nie będę inny. Zastosowano w tym celu wszelkie skuteczne środki.

Coś w wyrazie jej twarzy sprawia, że ściska mi się żołądek. Nie doświadczyłem tego durnego uczucia od... od dziecka.

– Co to znaczy? – Pociągam ją na materac obok siebie, gdy nerwowo wyciera ręcznikiem mokre włosy, i zaczynam wyręczać ją w tej czynności dokładnie tak, jak ona wyręczała wcześniej mnie.

Nigdy nie postępowalem tak z żadną kobietą. Wzajemne wycieranie się po prysznicu? Absurd. A jednocześnie wydaje mi się to intymne.

– Już mówiłam, przesłałam szkolenie.

Znowu pada to tajemnicze hasło. Szkolenie.

– Nie powiedziałaś, co wchodziło w jego zakres – wytykam.

Bethany spuszcza wzrok, na powrót przyjmując idealnie uległą postawę. Jednak zanim to robi, zauważam smutek w jej oczach.

– Sądziłam, że będzie ci się podobać tak ukształtowana kobieta. Żadnych sprzeciwów ani wymogów.

Powinna mi się podobać. Dlaczego więc czuję irytację za każdym razem, gdy prawdziwa Bethany chowa się w ukryciu za tą, którą musiała się stać?

Czy to przez to, że gdzieś głęboko mam świadomość, co to dla niej znaczyło? Że podzieliła los mojej matki i siostry?

Zmuszam się do uśmiechu.

– Płomyczku, nawet teraz, gdy to mówisz, wyglądasz, jakbyś chciała się temu sprzeciwić.

– Szczypię ją żartobliwie w czubek nosa, a jej spojrzenie się rozjaśnia.

– Co się tam wydarzyło? Powiesz?

– Pewien interes nie wypalił. Ktoś, kto nie powinien, wymknął się nam i prawdopodobnie będzie donosił. Spodziewam się odwetu, jeśli go szybko nie znajdę i nie dokończę tego, co zaczęłam.

– W jakiejś pierwotnej potrzebie przyciągam ją, aż mokra skóra dziewczyny przywiera do mojej. Całuję jej szyję i kark, osuwając się coraz niżej i polując na krople. Zlizuję je z jej obojczyków i piersi, których sutki wciąż okryte są szlafrokiem.

To zemsta za to, jak mnie wcześniej rozpałała, a ja, zanim poszedłem wpakować magazynek w czaszkę pewnego gościa, musiałem zadowolić się własną ręką, wyobrażając sobie, że to jej dłoń.

– Przykro mi. A co cię sprowadziło w moje progi?

Przesuwam palcem wzdłuż jej kręgosłupa, wyzwalając w niej kolejny dreszcz.

– Patrzenie na ciebie mnie uspokaja. – Kąsam płatek jej ucha. – Spraw, żebym zapomniał o całej reszcie tego popieprzonego świata.

– Czego potrzebujesz?

– Ciebie – szepczę, gdy mój kciuk przesuwają się po krawędzi jej fig. – Tego. – Moja dłoń przesuwają się na jej łono, a Bethany wstrzymuje oddech. – Zatańcz dla mnie.

Wstaje ze zdezorientowaną miną, a ja sięgam po niewielkiego pilota ukrytego w dolnej szufladzie.

Wyszczerczam się do niej, gdy w pokoju rozbrzmiewają pierwsze nuty uwodzicielskiej piosenki. Celowo wybieram taką, której słowa są pikantne i sugestywne.

– Zatańczyć? Ale ja nie...

Mam ochotę po prostu się na nią rzucić i zrobić jej te wszystkie zmysłowe rzeczy, o których śpiewa kobieta.

– Tego też nigdy nie robiłaś dla mężczyzny, racja? Chciałaś się nauczyć, co sprawia mi przyjemność – przypominam jej.

Bethany przestępuje z nogi na nogę. I czerwieni się z zażenowania.

Wduszam kolejny przycisk na pilocie i ujawniam przed nią moją małą zabaweczkę.

Część sufitu otwiera się, a z wnęki powoli opada metalowa rura, dokładnie taka, przy której wija się striptizerki we wszystkich moich nocnych klubach.

Odnajduję Elizabeth wzrokiem i zauważam, że ssie kciuk wyraźnie zafascynowana nowym odkryciem.

– Imponujące wyposażenie. – Z wahaniem przesuwam palcami po rurze.

– Często to słyszę, choć w nieco innych okolicznościach. – Mrugam do niej, zerkając na swój rozprek.

Widzę, że ma ochotę zachichotać, ale się powstrzymuje.

– Samochwała.

Rozsiadam się wygodniej.

– Poradzisz sobie. Daj się ponieść fantazji. Żadnych barier, tylko ty w roli bardzo niegrzecznej, zbuntowanej dziewczynki. Wiem, że masz ją w sobie. – Przygaszam światło tak, by pomieszczenie spowił budujący napięcie półmrok.

– Ja... – milknie.

Jest tak bardzo zawstydzona moim życzeniem, że to aż komiczne. Zagryza wargę i zaczyna się niepewnie poruszać w takt grającej muzyki. Na początku jej ruchy są nieporadne i widać, że brak jej wprawy w uwodzeniu mężczyzn własnym ciałem, a mimo to jej niedoświadczenie w jakiś niezrozumiały sposób mnie rozpala, a nawet więcej.

Rozbraja.

Po kilku minutach kołysanie jej bioder staje się bardziej swobodne. Wabi mnie.

– Właśnie tak... Wspaniale sobie radzisz. Jesteś do tego stworzona, płomyczku.

Uśmiecha się, świadoma, że w mojej wyobraźni uprawiam z nią teraz ostry, zbereźny seks. Rozplątuje węzeł szlafroka i pozwala mu opaść. Wciąż ociera się o srebrzystą rurę i powoli, diabelnie powoli wsuwa palce w swoje koronkowe majteczki.

Kurwa mać. Nie wiedziałem, że umieranie może sprawić mi tyle przyjemności.

Bo ona mnie zabija.

Gardło mam wyschnięte na wiór, a mój fiut doznawałby chyba mniejszych katuszy, gdyby nawet zanurzyć go we wrzącej lawie.

– Podoba mi się, gdy tak na mnie patrzysz – mruczy, znów ssąc ten przeklęty kciuk.

– Jesteś taka seksowna i piękna – mówię, pewny, że z rozkoszą znalazłbym inne zajęcie dla jej warg. – Podejdz. Chcę cię rozebrać. – Przyciągam ją na swoje kolana, a wtedy jej pośladki przylegają do mojego kutasu i muszę zacisnąć szczęki, by nie zakląć.

– Twoja kolej – mruczy niczym mały łasy na pieszczoty kociak, ale chwyta mnie za rękę, gdy próbuję rozpiąć jej stanik, i powstrzymuje.

Widzę, że świetnie się bawi, zamęczając mnie, bo z uśmiechem rozpina mi koszulę i obsypuje pocałunkami.

– Nie jestem pewien... – Ujmuję jej pierś przez koronkę. – Powinniśmy to zdjąć czy zostawić?

Wierci się na moich kolanach, gdy szczypię jej sutek.

– Dotknij mnie.

– Jesteś pokusą nie do odparcia. Taka niewinna i taka...

– Jaka?

– Moja – szepczę jej w usta. – Tylko moja. – Nie mogę się powstrzymać. Moja ręka kierowana niemal własną wolą wędruje pod jej bieliznę i zaczyna pocierać łechtaczkę.

Bethany jęczy i odrzuca głowę w tył, gdy wsuwam w nią palec.

Jest taka mokra i ciasna. Jej podniecenie prawie spływa na moją dłoń, gdy w coraz szybszym tempie penetruję jej cipkę.

– Logan... – sapie i zaczyna falować biodrami na moich palcach.

Jest taka seksowna. Odurzająca. W tej zbereźnej odsłonie pozbawionej hamulców, gdy sama używa mojej dłoni, by się zadowolić, podoba mi się jeszcze bardziej.

– Ty dbasz o moją przyjemność, a ja dbam o twoją – mówię i pochylam się, by ją pocałować. Poruszam językiem w jej ustach tak, jak chciałbym poruszać kutasem w jej wnętrzu.

– Spełniam twoje życzenia, a ty spełniasz moje – odpowiada, a gdy rozchyła szerzej uda i mogę obserwować, jak pieprzę ją palcem, prawie dostaję pierdolca.

– Ktoś tu robi się odważny.

Nasze ciała ocierają się o siebie coraz chaotyczniej, a gdy zatapiam zęby w miękkiej skórze jej piersi, wygina się w pałąk, prawie wpychając mi cycki w twarz.

Nie, żebym się skarżył.

– A gdybym...

Cokolwiek chciała powiedzieć, zakłóca to pukanie do drzwi.

Fantastyczne, kurwa, wycucie czasu.

– Nie teraz! – krzyczę.

– Ale pojawił się pewien trop, który...

Chuj mnie to teraz obchodzi, nawet gdyby ktoś wykrył, że za chwilę na moim dachu wyląduje asteroida.

– Jestem teraz bardzo, bardzo zajęty – chrypię. – Precz! – Nie przestaję wsuwać i wysuwać palca. Funduję jej prawdziwe agresywne rżnięcie, a ona kwili mi cicho do ucha i orze paznokciami moje plecy.

Rozkosz i ból, najlepsza mieszanka.

– Powinieneś zejść i to przegadać – odrzeka głos z korytarza.

Czyżby? Powiniennem?

Podnoszę się wraz z Bethany i zagarniam z podłogi jej szlafrok, by okryć ciało mojej kobiety przed wzrokiem intruza, którego zabiję w ciągu kolejnych trzech sekund.

– Otwórz drzwi – nakazuję.

Elizabeth wzdryga się, ale natychmiast robi, co jej każę.

Wyjmuję pistolet i strzelam. Raz, celnie, bez cienia namysłu.

Jax, jeden z moich ludzi, łapie się za ucho i krzyczy.

– Szlag! Kurwa mać! – Zgina się wpół, a strumień krwi wylewa mu się przez palce. Na nieposłusznej gębie rysuje się zaś grymas cierpienia.

Powinien być mi wdzięczny, że nie odstrzeliłem mu czegoś innego.

– Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać. Ostatnie ostrzeżenie, wypierdalaj. – Zatrząskuję mu drzwi przed nosem i odwracam się do mojego namiętnego maleństwa. – Kontynuuj uwodzenie, mój płomyczku. – Próbuję ją objąć, ale ona odskakuje w tył i uderza głową o ścianę. Mruga i już nie drży.

A raczej nie tylko drży. Jej strach jest tak wielki, że niemal wpada w cholerne konwulsje.

## Rozdział CZTERNASTY

Następnego dnia w końcu mogę odebrać zamówienie, które szło tu chyba z księżycą, bo jeśli nie stamtąd, to powinienem zwolnić kilku ludzi.

– Gdzie to jest? – pytam, podążając długim rozjaśnionym sufitowymi świetlikami korytarzem.

– Otwórzcie – poleca Alvaro, czyli facet, który nadzoruje obecnie dla mnie przemyt towarów.

– Zapraszam. – Przepuszcza mnie do pomieszczenia, w którym stoi kilka wielkich kontenerów.

– Oba – mówię i odwracam się do Thomasa. – Sprawdźcie towar.

Oczy Toma rozbłyskują, gdy rzuca się do kontenerów magazynowych. W rękach trzyma nożyce, którymi przecina łańcuch zatrzaśnięty na kłódkę. Wpada do środka.

– Piękne – oznajmia. – Przepiękne. – Wyciąga pistolet z drewnianej skrzyni i całuje lufę niemal z namaszczeniem.

Psychol w swoim żywiole.

– Napijesz się czegoś? – Zza pleców Alvara wyłaniają się dwie kobiety w strojach inspirowanych wizerunkiem króliczka „Playboya”. – Te dwie ślicznotki są specjalistkami w dbaniu o moich gości. Proś, o co chcesz. Jeśli zostaniesz, później zacznie się prawdziwa impreza – oznajmia i klepie swoje prywatne dziwki w pośladki.

Otwierają się przesuwane drzwi, a moim oczom ukazuje się dobrze mi znana sala rozpusty. Kilka innych półnagich panienek czeka na życzenia swojego pana. Duże jacuzzi wypełnione po brzegi bulgoczącą wodą jest wbudowane w podłogę na samym środku sali. Ściana zapełniona alkoholami i oczywiście goryle Alvara dyskretnie sterczący w kątach. Zza ściany dochodzą słabe dźwięki basów i muzyki.

– Słyszałeś coś o eksperymentach Torano? – pytam, opadając na jeden z foteli.

– Skurwiel liczy, że wprowadzi na rynek nowy narkotyk na miarę heroiny – mruczy Tom, wciąż buszując w kontenerze. – Niecierpliwie wyczekuje efektów. O ile wcześniej się nie zaćpa.

Pojeb ma słuch nietoperza.

Uśmiecham się z pobłażaniem, bo właśnie obserwuję, jak mój wspólnik Alvaro pochyla się i wciąga koks. Od tego gówna trzymam się z dala. Owszem, sporadycznie urozmaicam sobie zabawę dragami, ale w życiu nie pozwoliłbym sobie stać się niewolnikiem jakiejś chujowej odurzającej substancji.

– Gdybym miał obstawiać, szuka czegoś kurewsko uzależniającego, żeby szybko zbierać żniwa – przemawia drugi z moich ludzi. – Wiecie, jak jest.

– Słyszałem, że tym razem nie chodzi o samo uzależnienie, a o zniewolenie – sapie Alvaro, mrugając przekrwionymi oczami. – Jeśli wiesz, co mam na myśli. – Porusza brwiami.

Niewolnice z tak wyczyszczonym mózgiem i pozbawione własnej woli na tyle, aby uwierzyć, że jego pragnienia są ich własnymi. Tak. Torano zawsze był jednym z większych pojebów.

– Pański drink. – Jakaś laska podsuwa mi srebrną tacę, na której stoi parujący suchym lodem alkohol.

Sięgam po niego.

– Mój najnowszy nabytek. – Alvaro oblizuje się na widok jej niemal obnażonych cycków.

Przyglądam się dziewczynie. Długie nogi, cycki idealne do kręcenia pornosów, jasne włosy.

– Seksowna – szepczę.

Alvaro rzy zachwycony, jakby już uznał, że połaściłem się na jego prezencik.

– Wstrzymaj się z oceną, dopóki nie przeprowadzisz całkowitego testu – woła. – Liza nie ma nic przeciwko inspekcji.

Prostytutka przysiadła na oparciu mojego fotela.

– Co mogę dla pana zrobić? – docieka.

Pociągam łyk whisky.

– A w czym jesteś najlepsza? – Przesuwam dłonią po jej odsłoniętym udzie. Jej czarna lateksowa

spódniczka jest zajebiście obcisła. I krótka.

Z całą pewnością nie ma pod nią bielizny.

– W spełnianiu życzeń. – Głos przy moim uchu. – Moje usta spełniają je najlepiej.

Nie wątpię. Ma pełne wargi pociągnięte ciemną szminką. Wprawione w obciążaniu.

Ta głupia wzmianka o spełnianiu życzeń przypomina mi jednak o Bethany.

Nic nie może się równać z moim małym dzinnem. Wyobrażam ją sobie w stroju tej dziwki z tymi wielkimi, durnymi zajęczymi uszami wpiętymi we włosy.

I od razu mi staje. Problem w tym, że jeśli miałbym czekać, aż to Bethany przyłoży swoje wargi do mojego fiuta, pewnie prędeż by mi uwiądnął.

Blondi wijąca się przy moim ciele, pochyla się, by mnie pocałować. Łapię w garść jej włosy i odsuwam ją od siebie brutalnym szarpnięciem.

– Nie. Nie całuję się – syczę.

Wystraszona dziwka odskakuje ode mnie i prawie spada z fotela.

– Z małą się całowałeś. – Dochodzą do mnie prześmiewcze słowa Toma.

Wyjmuję zza paska nóż i rzucam. Ostrze wbija się tuż obok łapy mojego zbyt często mielącego ozorem kumpla. Ten wyjmuje go i manewruje nim między palcami. Wyszczersza się przy tym cwaniacko.

Następnym razem podziurawię tego chujka. Przysięgam.

– Skup się na zadaniu. Nie chcesz, żebym tam poszedł i cię wyręczył – warczę. – Pistolety jakoś często same wypalają mi w rękach.

To go rozbawia. Rechocze, wchodząc głębiej do kontenera.

– Zrobię, co zechcesz, tylko zdradź mi swoje pragnienia – dopomina się uwagi blondynka.

Zakręcam dymiącym w mojej dłoni drinkiem.

Nawet nie wiem, nad czym się zastanawiam. Pozwolenie dziwce, żeby mi obciągnęła, to żadna zbrodnia. Nie jestem wierny i nie muszę być. Zawsze robię to, na co mam ochotę.

Tylko że, kurwa, jakimś cudem nie mam ochoty.

Przesuwam palcem pomiędzy piersiami prostytutki.

– Drink mi wystarczy.

Blondi potakuje i odwraca się, by odejść, ale łapię ją za nadgarstek.

– Nie.

Nie mogę jej tak po prostu odprawić, by nie wzbudzić podejrzeń mojej widowni, więc przyciągam ją do siebie, aż opada na moje kolana. Unoszę ramieniem jej kręgosłup, by lekko go wygiąć, a potem wylewam nieco whisky na jej dekolt i zlizuję kropla po kropli.

– Skończyliśmy. Wszystko gra – rzuca wreszcie Tom i zatrzymuje się w przejściu.

Ciekawe, ile zabawek zakamuflował pod swoim ubraniem. Daję głowę, że coś sobie przywłaszczył.

– W takim razie pora na gwóźdź programu. – Alvaro pstryka w stronę jednego ze swoich ochroniarzy, a ten podchodzi do niego z czarną walizką. – Niełatwo było przeschmuglować takie maleństwo, ale udało się – dodaje.

Wyszczerszam zęby z zadowolenia.

Doskonale wiem, co tam jest.

Alvaro uchyla wieko walizki, a ja ogarniam spojrzeniem piękną, diamentową kolię. Plecione złoto wysadzone ponad setką lśniących kamieni szlachetnych, a niżej wzór ułożony w misterną różę. W samym jej centrum największy i jedyny w naszyjniku czarny diament.

Trącam go kciukiem.

– Jeden z największych diamentów. Wspaniały. Właśnie tego szukałem. – Odwracam się do jednego z moich ludzi. – Mario, przynieś pieniądze – nakazuję.

Tom zostaje u mojego boku. Rzadko się ode mnie oddala, gdy załatwiamy interesy. To taki mój wierny wilk zarażony groźną odmianą wścieklizny, który gotów jest w każdej chwili ruszyć do ataku i rozszarpać przeciwnika.

Teraz jednak nachyliam się w jego stronę i każę mu ruszyć przodem w kierunku mojej posiadłości. Chcę, żeby sprawdził, czy drogi są czyste, zanim zabierzemy kontenery. Gdy odchodzi, mija



się z Mariem.

Mój drugi człowiek układa walizkę z forszą na stole.

– I oto cztery milionów powodów, dla których uwielbiam robić z tobą interesy. – Alvaro zaciera ręce. – Każde! A zwłaszcza te najbardziej pojebane. – Prawie się ślini, gdy łapie jeden plik banknotów.

Czekam ze znużeniem, aż je przeliczy, co zajmuje mu wkurwiająco dużo czasu, bo się naćpał, a dwie laski wciąż ocierają się o jego sterczącego fiuta.

Po kilku minutach zabieram kolię i wstaję.

– Idziemy.

Dwóch ludzi podąża za mną do wyjścia. Reszta czeka już przy samochodach.

– Po co ci ta błyskotka? Chcesz, żebym ją pociął i sprzedał? – pyta Mario, wsiadając za kierownicę Suv-a. Drugi ochroniarz też ładuje się do przodu. Sam zajmuję miejsce na tylnej kanapie.

– Nie, to prezent dla Bethany.

– Co?! Wiesz, ile to jest warte? – Obraca się oburzony. – Jestem specem do robienia falsyfikatów, zrobię jej podróbkę.

Aż zgrzytam zębami ze złości.

– A ja zaraz utnę ci fiuta i przyszyję podróbkę. Myślisz, że twoje dziwki się zorientują? – Wbijam wzrok we wsteczne lusterko, odszukując jego oczy. – Jedź.

– Dostałem informację, że właśnie otworzyli twój nowy lokal – odzywa się trochę spokojniej.

– Chcesz tam zajrzeć?

– Nie. Jedź do domu.

Widzę, jak Mario stuka w klawisze komórki, a potem odkłada ją na deskę rozdzielczą i skręca na drogę prowadzącą do mojej willi.

Droga robi się pusta, gdy oddaliśmy się od miasta, co nie jest dziwne, bo już późno, a mój ojciec dawno temu wybudował ten dom na cholernym zadupiu. Prywatność jest niezwykle ważna, zwłaszcza jeśli nie chcesz, by nakryli cię na ukręcaniu cudzego łba.

– Kurwa mać. Ktoś...

– ...nas śledzi, zauważyłem. Czarny van – mówię, zerkając za szybę.

Mario dociska pedał gazu i przyspiesza. Słyszę także zgrzytanie ładowanych pistoletów.

A gdzie jest, do chuja, reszta aut z moimi ludźmi?

– Czemu to zawsze jebany czarny van? – zawodzi Mario, zaciskając ręce na kierownicy. – Jest kilka lepszych bryk na pościgi i strzelaniny.

– Jak zaczną do nas strzelać, podziel się z nimi tymi informacjami. Na pewno wezmą je pod uwagę – ironizuję.

Edgar, mój drugi ochroniarz, uśmiecha się, a potem wychyla przez opuszczoną szybę.

– Kulą w jaja! – krzyczy i strzela.

Parskam śmiechem. Powinienem zatrudnić nowych ludzi. Mniej oderwanych od rzeczywistości.

Strzelanina zaczyna się na ostro. Zewsząd słyszę świszczenie naboju zderzających się z karoseriami samochodów. Echem niosą się polecenia wykrzykiwane przez napastników z obcym akcentem. Mario klnie tylko pod nosem i próbuje nie wypaść z drogi, a ta robi się coraz bardziej stroma. Dosłownie balansujemy na granicy pieprzonej przepaści.

– Ja pierdołę – syczę. – Potrzebuję mojej zabawki. – Podnoszę się i sięgam pod siedzenie. Zaciskam dłoń na karabinie maszynowym.

– Zjedź na most – wydaje dyspozycję Edgar, zanim mogę to sam powiedzieć.

Samochód skręca gwałtownie, aż rzuca nas na boki. Słyszę skwierczenie opon sunących po zwirowej drodze.

– Proponuję, żeby się zatrzymać i po prostu ich zajeżdżać – stwierdza Mario.

– Jedź – dyszę, otwierając szyberdach w SUV-ie.

– Już są martwi.

Jeszcze nie, ale zaraz będą.

Wymierzam długą lufą w sunący za nami van i naciskam spust. Raz za razem. Moje wystrzały mieszają się ze strzałami Edgara. Zauważam, że nawet nie raczył zdjąć okularów przeciwsłonecznych,

tak arogancko jest pewny swojej niezawodnej celności. Kule lecą, zostawiają liczne wgniecenia, potem słyszę trzask jednej z szyb w aucie i czuję ból w barku.

– Jebane gówno – klnie Edgar i zerka na mnie. – Oberwałeś?

Zza rogu wyłania się znany mi samochód. Jeden z moich. Obstawiają tyły vana, żeby zamknąć ich w potrzasku. Mam ochotę władować w nich kilka pocisków za to, że dali się tak łatwo odciąć.

– Przeżyję. Rozjebcie ich. – Wyciągam z kieszeni granat.

Mój ochroniarz to zauważa i wyjmuję kolejny.

– Odbij do lewej i zwolnij!!! – drze się do kierowcy.

– Pewnie, chętnie wystawię się na kolejny strzał – pryham, jednocześnie wyciągając zawleczkę.

– Teraz! – Daję znak i w tej samej sekundzie Edgar i ja posyłamy oba granaty pod podwozie pędzącego za nami samochodu.

– Bum, skurwysyny! – krzyczy Mario, bębniąc pięściami o kierownicę. – Niespodzianka.

– Zanosi się szalonym śmiechem.

Zwalniamy jeszcze bardziej, wpatrując się w vana, który od siły wybuchu odrywa się od jezdni i szybuje w górę, a potem opada, balansując na bocznych kołach. W końcu jednak wywraca się, a płomienie zajmują całe jego wnętrze. Zauważam, że jeden skurwiel usiłuje wydostać się ze środka i odczołgać, ale następuje kolejna eksplozja, która dosłownie rozsadza auto na części, a jego zamienia we wrzeszczącą pochodnię.

Czasami naprawdę lubię tę robotę.

Gdy ponownie opadam na tylne siedzenie, rozdzwania się mój telefon.

– Lepiej, żeby kurwa świat się skończył, bo właśnie zostaliśmy ostrzelani – warczę do słuchawki.

Wciąż pozostaję czujny na możliwe zagrożenie. Jeśli pojawił się jeden samochód pojebów, gdzieś nieopodal mogą czyhać kolejni.

– Ranni? – pyta mój człowiek.

– Nie, wszystko gra. – Spoglądam na swoje krwawiące ramię. – Przyślij kogoś, żeby sprawdził zwłoki i zajął się wszystkim.

– Tak jest.

– A po co dzwonisz?

– Bo tak się składa, że... – Następuje chwila ciszy. – Twoja kruszynka właśnie rzuciła wyzwanie Tomowi. Przed całym tłumem. On ją zabije.

Że co, kurwa? Lepiej dla wszechświata, żeby to był tylko jebany żart.

Ten kutas najpierw nawalił w sprawdzaniu trasy, a teraz jeszcze urządza sobie sparingi z moją kobietą?

– Jeśli ją tknie, jest martwy.

## Rozdział PIĘTNASTY

– A może zgrywasz twardziela tylko wtedy, kiedy masz pewność, że twój przeciwnik jest na przegranej pozycji? Słaby i bezbronny? – Z oddali dobiega mnie głos Elizabeth. – Zmierz się z kimś z równymi twoim umiejętnościami.

Trzaskam drzwiami i nabuzowany gniewem maszeruję w kierunku zbiegowiska. Widzę tłum moich żołnierzy zebrany wokół Toma i Bethany gotowych rzucić się na siebie.

– Będę dla ciebie łagodny – mówi Thomas, kręcąc karkiem.

Nie, jego mroczne spojrzenie mówi, że zdecydowanie nie będzie. Spowija go aura, którą bardzo dobrze znam. Ogradza się nią, gdy ma zamiar bezlitośnie zmiażdżyć wroga.

– Dziękuję. – Ledwie mogę mrugnąć, a pięść Elizabeth już szybuje w kierunku mężczyzny. – Ale nie musisz się fatygować. – Uśmiecha się.

Jest, kurwa, szalona. Wpuściłem pod mój dach kolejną wariatkę. Inaczej nie mogę wyjaśnić bijącego od niej przekonania, że zdoła zwyciężyć w tej śmiesznej walce.

– Suka! – klnie Tom i odpowiada na cios. Jego ręka prawie wali Bethany w twarz, ale jej szybka reakcja pozwala uniknąć zderzenia.

– Jeszcze nic nie widziałeś.

Prycham, zatrzymując się nieopodal. Z trudem zmuszam się do bezruchu. Każde zakończenie nerwowe w moim ciele jest porażone czystą furią. Elizabeth nie miała prawa się tak zachowywać. Rzucac wyzwania jednemu z moich najlepszych wojowników, na oczach innych prowokować go, by ją skrzywdził.

Jednak pod miotającą mną wściekłością jest coś jeszcze. Niepokój. Bo w jakiś sposób, którego nie umiem kontrolować, po części zależy mi na tej cholernej, obłąkanej kobiecie.

I na myśl, że ktokolwiek może ją zranić, wywracają mi się wnętrzności.

– Popeliłaś wielki błąd. – Donośny głos Toma zdradza, jak bardzo jest rozjuszony. – Po dzisiejszym wieczorze Logan wypierdoli cię z naszego terytorium. Nie będzie ci wolno nawet przekroczyć granicy tego miasta. Dopilnuję tego, ślicznotko. – Ułamek sekundy i trafia Bethany w żebra, a następnie w ramię.

Dostrzegam na jej twarzy drobne roztargnienie wywołane bólem, gdy siła uderzeń posyła ją w tył. Tom znów ją atakuje, obrzuca jej drobne ciało ciosami i jestem niemal pewien, że Elizabeth za moment straci równowagę. Chwieje się na nogach, ale pozostaje w pionie.

– Brzmi fatalnie. – Uśmiecha się, mimo że z rozcięcia na jej wargach płynie krew.

– Ostatnia szansa, podporządkuj się! – żąda Tom – Mam ważniejsze sprawy na głowie niż pokazywanie ci, gdzie twoje miejsce. – Kopie, próbując pozbawić Bethany równowagi, ale ona wykonuje obrót i trafia go w kolano. Z gardła Toma ucieka głośny warkot, gdy uzmysławia sobie, że kobieta prawie ścięła go z nóg.

Marszczę czoło z niedowierzaniem.

To uparte małe stworzenie naprawdę prawie powaliło dwa razy większego od siebie mężczyznę.

Jest taka skupiona i precyzyjna, gdy już decyduje się zaatakować, że oczywistym staje się dla mnie, że ktoś musiał ją idealnie wyszkolić. Wie, gdzie i jak uderzyć, a nawet jakiego kontrataku się spodziewać po wyprowadzonym ciosie.

Tom w walce jest jak pieprzone monstrum, a ona niczym delikatny motyl, a mimo to teraz, gdy widzę jej nieprzeniknioną twarz, zauważam oblicze, z którym nie miałem dotąd do czynienia.

Oblicze wojowniczkii zaprawionej w boju i rozlewaniu krwi.

Powinienem to przerwać. Chcę to przerwać, ale jeśli zaingeruję publicznie, wskażę ją jako swój słaby punkt, a to byłoby dla niej o wiele groźniejsze niż obecne starcie.

Sama podjęła taką decyzję i muszę pozwolić, by Thomas obarczył ją konsekwencjami. Inaczej dam Elizabeth zielone światło do łamania reszty zasad, a nie mogę na to pozwolić. Stoję więc tam i obserwuję, a każdy mięsień w moim ciele jest tak napięty, że niewiele brakuje, by się zerwał.

Elizabeth występuje naprzód i trafia bokiem dłoni w gardło Toma. Ten charczy, łapiąc się za szyję i zasysa rozedrgany oddech. Z podziwem patrzę, jak dziewczyna wykorzystuje te ulotną chwilę jego rozkojarzenia, by go dopaść. Wykręca jego nadgarstek i strzela wolną pięścią w nos.

Ja pierdolę. Z nozdrzy Toma leje się krew. Zalewa mu wargi i brodę oraz sprawia, że zaczyna pluć.

– Chyba jednak potrzebuję przypomnienia. Na pewno wiesz, że kobiety są głupie i dlatego trzeba im przewodzić.

Kiełkujące we mnie niechętnie rozbawienie wymieszane z irytacją spowodowane jej słowami szybko przeradza się w obawę.

Jej popis kurewsko rozjuszył Toma. Do tej pory się z nią drażnił, ale teraz bierze tę bójkę na poważnie i w dwóch wprawnych ciosach przypiera Elizabeth do muru jednego z budynków.

– Zdechniesz tu, ty porąbana suko!

Mój wzrok wyłapuje, jak ponownie uderza ją w brzuch i zaczyna podduszać. Jej twarz blednie, a im dłużej Tom pozbawia ją tlenu, tym bardziej puls dudni mi w skroniach.

Ruszam w ich stronę.

– Nie!!! Bethany. – Głos mojej siostry pobrzmiwa paniką, a ja tracę ich z oczu na kilka sekund przez te pierdolone rozochoczone przemocą zbiegowisko. Ludzie śmierzdzą dobrze mi znaną brudną ekscytacją. Krzyczą, skandują, gwizdzą.

– Zajeb tę sukę!

Spoglądam w stronę jednego z facetów, z którymi zwykle Tom ma warty, i wyobrażam sobie, jak łapię go za kark i zaczynam uderzać jego głową o kamienie skrzypiące mi butami, tak długo, aż rozłupię mu czaszkę.

– Mam taką zasadę, że każdej ze swoich ofiar zostawiam pamiątkę – słyszę nagle i myślę, że o nie, kurwa, mowy nie ma. – Tak to się kończy, kiedy wierzysz, że możesz być kimś więcej niż tylko dziwką do pieprzenia.

Dostrzegam błysk noża w rękach Toma i moje żyły wypełnia ślepa potrzeba niszczenia.

Nigdy nikt nie zostawi śladu na skórze mojej kobiety.

Coś wywołuje gwałtowne zamieszanie, a gdy ponownie widzę Elizabeth, ta unieruchamia ramię Toma w perfekcyjnej dźwigni, a on pada na ziemię.

– Wiesz, co o was mówią? Że jesteście najlepsi. Nieustraszeni, niepokonani i jeszcze masa innych bzdurnych przymiotników. – Pochyliła się i przysiadła okrakiem na Thomasie. – Ale teraz mam wrażenie, że to trochę na wyrost. Przynajmniej jeśli chodzi o ciebie. – Przysuwa ostrze noża do krtani mężczyzny i uśmiecha się triumfalnie.

Zrobiła to. Pokonała go.

W moim wnętrzu budzą się emocje, których wcale nie chcę czuć. Duma i ulga. Przede wszystkim zaś wkurwienie na samego siebie i na nich oboje za urządzenie tego pierdolonego cyrku, tylko dlatego, że nie potrafią utrzymać w ryzach swoich temperamentów i tym samym podważają mój autorytet.

– Załatwię cię przy pierwszej okazji – syczy Tom.

– Coś mi się zdaje, że pierwszą właśnie zmarnowałeś – odszczekuje się Bethany.

– Dość! – Wyrrywam sztylet z jej palców.

Elizabeth wpatruje się we mnie spłoszona, rozchyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale ostatecznie wybiera milczenie.

Jednak została jej odrobina rozsądku.

Moja siostra chwyta mnie za łokieć.

– Logan, ona tylko... – Zatykam jej wargi dłonią.

Chuj mnie teraz obchodzą jakiegokolwiek wymówki. Najchętniej rozpętałbym im piekło. Wszystkim po kolei, żeby przypomnieli sobie, z kim mają do czynienia, jeśli zapomnieli.

– Elizabeth ma rację. – Cleo nie daje za wygraną. – To żaden honor skrzywdzić dziecko, a jeszcze mniejszy wysyłać je na śmierć na zwiady na terytorium wroga. – Odnajdę postać Deana i zmuszam go do zbliżenia się. – To nie średniowiecze i nie tak załatwiamy takie sprawy...

– Radzę ci, żebyś czuwała nocami, bo... – odzywa się nagle Tom.

Zatapiam nóż, który trzymam w jego barku, na kilka milimetrów i wyczuwam poruszenie tłumu, choć się nie rozglądam.

Thomas zgrzyta zębami, ale nie wydaje ani jednego dźwięku. Nie może, jeśli nie chce wydać się słaby i stracić pozycji, na którą zapracował. W ciszy patrzymy sobie w oczy.

Ani się waż mi przerywać.

– Powiedziałem: dość. Nie groź kobiecie za to, że pokonała cię w walce, bo się ośmieszasz. Miej jaja. – Kręcę nożem zagłębionym w ranie. – Popracuj nad kulturalnym językiem, dopóki ładnie proszę.

– Jasne, dobra...

– Nigdy więcej nie zapuszczaj się w te rejony, Dean – rzucam tylko do chłopaka, który dziś mógł tu zginąć, i przywołuję skinieniem jednego z moich ludzi, by zabrał go i odeskortował poza moje granice.

Pierdolony Adam. Dobrze wiem, po co przysłał tu swojego młodszego brata. Kiedy w końcu po niego pójde, będzie błagał, bym się nad nim zlitował, czy też innymi słowy w moim fachu – zabił.

Odwracam się i idę w stronę domu.

Muszę się uspokoić, bo inaczej spalę, kurwa, wszystkich w zasięgu wzroku na proch.

– Logan, ja... – Chwytam wyciągnięty ku mnie nadgarstek i z łatwością obezwładniam ciało Elizabeth, trzymając je tuż przy sobie.

Chcę nią potrząsnąć. Mam ochotę na nią nawrzeszczyć, a mój mrok każe mi wyegzekwować od niej całkowite posłuszeństwo, by nigdy więcej nie przyszło jej na myśl tak się narażać.

Mógłbym ją teraz upokorzyć i powinienem, ale widzę jej twarz umazaną w błocie, poranioną.

– Nie przerwałem tego, ponieważ świetnie sobie radziłaś, dałaś popis doskonałych umiejętności. Sama zadecydowałaś o pojedynku, a ja nie chciałem ograniczać twoich praw na oczach moich ludzi, jednak... – obwodzę kciukiem zarys jej opuchniętych, zakrwawionych warg i cedzę: – nigdy więcej tego nie rób.

– Przepraszam, ale... – zaczyna, a ja uwalniam ją i odchodzę. – Logan!

– Odejdź, Elizabeth. Nie teraz.

– Proszę, posłuchaj...

– Nie. Teraz. – Wpadam na korytarz, prawie taranując drzwi. – Nie prowokuj mnie, żebym to ja zmusił cię do odejścia. Zejdź mi z oczu – dyszę.

Dzika energia krąży w moich żyłach i sprawia, że mam ochotę coś rozwalić.

– Jak tam? Zdążyłeś wypieprzyć tę seksowną blondynkę, z której cycków spijałeś whisky? – Do środka wtacza się Tom. Jego wredne ślepie błyszczą, a usta rozciągają się w wilczym uśmiechu.

Powiedział to celowo. Żeby zemścić się na Bethany. Żeby zdeptać jej godność, jak ona zdeptała jego kilka minut temu.

Sukinsyn.

Zerkam na nią, a zachodząca w niej zmiana jest ledwie zauważalna. Pewnie bym jej nie wyłapał, gdyby nie to, że nocami przesiaduję w jej sypialni i gapię się, jak śpi.

A jednak widzę ukruszenie, ubytek w ukrytym za obojętnością delikatnym obliczu. Przygarbia się lekko, ale nie odzywa ani słowem.

Powinienem mieć gdzieś, czy rani ją moja ewentualna niewierność, więc zachowuję się dokładnie tak, jakbym miał to gdzieś.

– Kurwa, zabandażuj to, wszędzie leje się krew – warczę do Toma. Jego koszula jest w strępach, a z opuszek jego palców kapie szkarłatna ciecz.

Głos zakorzeniony u podstaw mojego istnienia, głos potwora karmiącego się destrukcją każe mi wydrążyć jeszcze parę takich dziur w jego ciele przez to, co ma czelność odpieprzać.

– Bo jesteś dupkiem, który lubi mnie dźgać nożem – ripostuje, próbując rozruszać uszkodzony bark. – A ty dlaczego jeszcze tu stoisz? Czy nie kazano ci podkulić ogonka i posłusznie zapierdalać do sypialni? – zwraca się do Elizabeth.

Ona spuszcza wzrok, a ja czuję, jak ze złości drży mi szczeka.

– Ja... chciałabym powiedzieć...

– Mamy jednego, jeszcze nie zdechł – odzywa się nagle Mario.

Mój ochroniarz stoi u szczytu schodów. Trzyma obezwładnionego półprzytomnego typu i prawie

wlecze go za sobą po podłodze. Połowa ciała tego skurwiela jest osmolona, pokryta sadzą i gdzieniegdzie zwęglona do kości.

Uśmiecham się.

– Zaprowadźcie go na miejsce. Jestem w nastroju na długie i okrutne przesłuchanie – polecam. Zrzucam marynarkę i rozpinam guziki mankietów, by podwinąć rękawy.

Nie mogę się doczekać, aż spuszczę trochę pary.

– Naprawdę mam cię osobiście odeskortować na górę? – mruczę do Elizabeth odwrócony plecami.

Już dawno powinna była mnie posłuchać i się ulotnić, a teraz poważnie nadwyręża moją cierpliwość.

– Mogę cię wyręczyć.

Thomas wyciąga rękę w kierunku Bethany, a ja reaguję instynktownie.

– Nie. – Odgradzam ją swoim ciałem i odpycham Toma. – Jedna zasada. Tylko ja do niej mówię.

I tylko ja jej dotykam – akcentuję.

– Jak chcesz. – Krzywi się. – Sukinsyny. Nie wiem, jak się przemknęli, ale przynajmniej zapewnili nam rozrywkę na wieczór. Idę. Czekać na ciebie, trochę go rozgrzeję.

I już go nie ma.

– Wiem, że jesteś na mnie wściekły.

Ale ona wciąż jest.

Odwracam się, mój gniew eksploduje. Zaciskam dłoń na jej karku i przyciągam ku sobie.

– Gównu wiesz. Naraziłaś na szwank moją reputację, bez zezwolenia atakując jednego z moich ludzi. Naraziłaś siebie na niebezpieczeństwo – szepczę przy jej zimnym policzku. – A na dodatek, kurwa, dalej tu sterczysz, mimo że kazałem ci odejść.

– Chciałam...

Mój uchwyt się zacieśnia. Zmuszam ją do odchylenia głowy. Ciemne kosmyki mokre od wody i błota łaskoczą moją skórę.

– Przestań. Potrafisz sobie wyobrazić karę, jaką powinnaś dostać za urządzenie takiego przedstawienia?

Wzdryga się i próbuje cofnąć, ale jej nie pozwalam. Popycham ją na ścianę w holu i napieram na nią całym ciałem.

– Proszę, powiedz, co mam zrobić, żebyś mi wybaczył? Zrobię wszystko. Nie odsyłaj mnie nigdzie.

Słyszę, jak dudni jej serce napędzane lękiem, a ona oddycha ciężko, ale nie wykonuje żadnego ruchu, by stawić mi opór, by się wyswobodzić. Przesuwam ustami po jej gardle.

– Odejdź – mówię i odsuwam się.

– Logan... – Jej ręka zawisa w powietrzu, jakby chciała mnie dotknąć, prosiła o pozwolenie, ale jestem zbyt wytracony z równowagi, by sobie zaufać. Odtrącam jej dłoń.

Elizabeth najwyraźniej nie wie, kiedy powinna zacząć uciekać jak najdalej od zagrożenia.

– Należysz do mnie. Zajmij należyte ci miejsce. – Wychodzę w mrok zapadającej nocy i zmierzam do pomieszczenia, w którym zwykle rozlewam krew wrogów, wywlekam z nich flaki i na wiele kreatywnych sposobów w końcu kończę ich życie. Z każdym krokiem staję się coraz bardziej o władnięty przez drżące we mnie zło. Bestia w moim wnętrzu przeciąga się leniwie i szczyrzy kły złakniona, by pochłonąć czyjąś duszę. Im dalej będę od Bethany w tym stanie, tym lepiej dla niej. Lepiej, żeby nigdy nie znalazła się blisko mnie, gdy tkwię w morderczym amoku.

Bo wtedy Logana, którego zna, do którego zdążyła się już przyzwyczaić, już nie ma.

– Co z nim zrobimy? – pyta Tom, gdy tylko wchodzę do piwnicy.

Trzyma w rękach dwa noże. Oba ostrza są czerwone od krwi, a skurwysyn, który godzinę temu próbował mnie rozstrzelać, siedzi przytwierdzony kajdanami do metalowego krzesła i jęczy. Żarówka wisząca nad jego głową oświetla jego zakrwawioną i częściowo spopieloną gębę.

Następuję na coś butem.

Pierdolona gałka oczna.

– Wyłupiłeś mu oko?!  
Tom wyszczerza się i robi zamach ostrzem.  
– Tylko jedno. Drugie zostawiłem tobie.  
Dziś mam ochotę na coś innego.  
Sięgam na półkę po kanister z benzyną.  
– Chcesz wiedzieć, co z nim zrobimy? Spalimy go do końca. – Chluszczę łatwopalną cieczą na  
naszego gościa honorowego i odpalam zapalniczkę.  
Wrzask odbija się echem od ścian.  
Mój raj jest piekłem dla pozostałych...

## Rozdział SZESNASTY

Odwracam się, starając się pozostać skoncentrowanym, ale przez kilka ostatnich nocy nie zmrzyłem prawie oka, bo musiałem rozprawić się z rzeczami, które można załatwić tylko pod osłoną nocy. Na dodatek wciąż czekam na wieści o mojej siostrzyczce i lepiej, żeby moje podejrzenia okazały się nietrafione. Inaczej zgładzę tego fałszywego chuja jak karalucha.

– Bardzo mi zależy, żeby to dopiąć na ostatni guzik – mówię, zasiadając za biurkiem.

Rodrigo, facet z wielkimi możliwościami i powiązaniami politycznymi, którego obecnie testuję jako potencjalnego współnika, zakręca karafkę z ponad osiemdziesięcioletnią whisky.

– Spodziewasz się ataku? – pyta.

Uśmiecham się.

– Liczę na niego.

Zatrzymuję szklankę z alkoholem w drodze do ust.

– Ty naprawdę niczego się nie boisz, Roth, co?

Moja zdolność do odczuwania strachu jest dokładnie tam, gdzie moja nadzieja. Pogrzebana na cmentarzu wraz ze szczątkami ojca.

– To oni wyciągnęli łapy po coś, co należy do mnie. Jeśli chcą wojny, będę kurewsko szczęśliwy, mogąc im ją wypowiedzieć.

– Kiedy? – docieka.

Jego uwagę na sekundę odciąga siedząca nieopodal Kira, która właśnie poprawia się na fotelu i zakłada nogę na nogę. Jej obcisły strój odsłania wystarczająco dużo ciała, by mój nowy znajomy zaczął się pocić. Gdy tak pożera ją wzrokiem i co chwilę zaciska i rozluźnia od nowa węzeł krawata, wiem, że połknął przynętę.

Cóż, Kira to wciąż moja niezawodna broń. Dziewczyna rozgrzewa głupich pojebów lepiej niż tropiki.

– Moi ludzie są w terenie. Sprawdzają ich zwyczaje i typowe dla nich działania bojowe – wyjaśniam zdawkowo.

– Istnieją setki różnych taktyk.

Co ty nie powiesz, protekcyjnalny kutasie? Ktoś tu ma syndrom płątka śniegu i omylnie uważa się za najlepszego.

– Prawda, ale poznając ich nawyki i skłonności, zwiększę prawdopodobieństwo celnego obstawienia ich kolejnych kroków. – Bębnię palcami o drewniany blat. – Dam ci ich najskąpsze punkty na tacy, jeśli zaryzykujesz. – Sięgam po kopertę ze zdjęciami, które niedawno podesłał mi mój zwiadowca. Kira odbiera ją ode mnie i przekazuje, jednocześnie wykorzystując okazję, by otrzeć się piersiami o jego bok.

Rodrigo ogląda fotografie, a gdy patrzy na mnie, nie udaje mu się wystarczająco szybko zamaskować szoku.

Uśmiecham się po raz kolejny.

Mam świetne psy gończe.

– Masz szczęście, że lubię ryzyko – rzuca niby beznamiętnie. – Poza tym widzę, że jesteś imponująco pojebany, a to może mi się przydać w przyszłości. Znam kogoś, kto może ci sprzedać kilka informacji.

Doskonale, chętnie poszerzę zasięg moich wtyczek. A potem wykończę ich jednego po drugim za to, że połaskili się na cudze towary.

– Oboje z Loganem bardzo to doceniamy. – Kira pochyla się nad oparciem fotela Rodriga i przesuwając czerwonym paznokciem po jego torsie. – Jaki jest numer pokoju w hotelu, w którym się zatrzymałeś?

– Sam cię znajdę. Teraz mam coś do załatwienia. – Wstaje i unosi szklankę z alkoholem w geście toastu. – Na zdrowie.



- I na śmierć. – Naśladowuję jego ruch i wypijam ognisty trunek do dna.
- *Estas loco*. Wariat. – Śmieje się, idąc do wyjścia.
- *Gracias* – mruczę, gdy już go nie ma.
- A mi nie podziękujesz? – Kira wskakuje na drewniany blat, strącając przy tym kilka teczek.
- Złaz z biurka, Kira.

Przewraca oczami, czego w chuj nie znoszę.

– Wiem, co lubisz. Sam mnie uczyłeś. – Jest irytująca. – Chcesz mnie przelecieć? – Przesuwa się bliżej.

Nie odważyłaby się mnie dotknąć bez pozwolenia, ale i tak jest chodzącym utrapieniem.

– Włóż bluzkę – warczę.

Burczy coś cicho. Założę się, że wyklina mnie pod niebiosa i już ma się ubrać, gdy rozlega się pukanie do drzwi. Do środka wchodzi Elizabeth. Gdy jej wzrok pada na naszą dwójkę, zamiera.

– Czego? – odzywa się Kira znudzonym tonem.

Bethany milczy.

Wiem, jak to dla niej wygląda. Kira wyciąga się leniwie na moim biurku ubrana wyłącznie w stanik i spódnicę, której równie dobrze mogłoby nie być. Dodatkowo jest wielbicieleką gierki i uwodzenia, więc Elizabeth albo sądzi, że właśnie skończyliśmy się rznąć albo właśnie mieliśmy zamiar zacząć, a ona nam przeszkodziła.

– Twoja siostra prosiła, żeby ci to pilnie przekazać – mówi do mnie, choć wcale na mnie nie patrzy. Jej oczy biegają gorączkowo po pomieszczeniu, byleby tylko mnie ominąć. – Gdybym wiedziała, że nadal jesteście zajęci, tobym nie przeszkodziła, ale poinformowano mnie, że gość już poszedł i... przepraszam. – Potyka się, gdy wchodzi, by wręczyć mi teczkę, i od razu wraca do wyjścia.

– Zara nie sprawia ci problemów? – ciągnie Kira, okręcając na palcu pukiel swoich włosów.

Ponownie wpatruję się w Bethany, zaintrygowany, jak zareaguje. Czy jest zazdrosna na myśl, że mógłbym być z inną kobietą? Ostatnio nic nie dała po sobie poznać, więc...

– Wszystko pod kontrolą, świetnie się bawimy, więc nie musicie... się spieszyć. – Przeciąga sugestywnie ostatnie słowo i odnajduje mnie wzrokiem. A potem trzaska pieprzonymi drzwiami i znika.

I to już wszystko? Dała mi przyzwolenie na dymanie się z inną i wyszła?

Zrywam się z miejsca i wychodzę za nią, zanim do mojego zaślepionego gniewem umysłu dotrze, że zachowuję się zupełnie nierozsądnie.

– Bethany, zaczekaj. Nie musisz wychodzić! – wołam. – A ty się ubierz i idź, skończyliśmy.

– Łapię Kirę za nadgarstek i wywlekam ją na korytarz, nie zwracając uwagi na jej obrażoną minę.

– Wierzę, że gdyby nam nie przerwano, zaszlibyśmy o wiele dalej.

Akurat, tylko sobie ze mną igra. Nasze zabawy łóżkowe skończyły się, na długo zanim pojawiła się Elizabeth.

Wpycham jej kopertę ze zdjęciami, na których uchwycono nasze cele.

– Zajmij się tym – nakazuję i zamykam drzwi, zanim zdoła jeszcze bardziej mnie rozsierdzić.

Kira jest prawdziwą suką pozbawioną skrupułów, a ja nie mam zamiaru tolerować jej humorów.

– Spotkanie biznesowe chyba poszło dobrze, skoro postanowiliście to uczcić?

Odwracam się do Bethany. Jej głos ocieka jadem. I już nie wygląda na spokojną. Przeciwnie. Wygląda, jakby chciała powiesić mnie za jaja.

Powoli zmniejszam dystans między nami.

– Kira kazała ci pilnować swoje dziecko, gdy będzie proponować mi pieprzenie, a ty zaoferowałaś jej dłuższą opiekę nad Zarą?

– Sądziłam, że będziesz zadowolony? – Jest tak zdezorientowana, że gdybym się nie wściekał, byłbym rozbawiony.

– Zadowolony z jakiego powodu? Że kompletnie cię nie obchodzi, że jakaś inna kobieta składa mi propozycje seksualne? Że jak ją zobaczyłaś, to uciekałaś stąd, jakbyś odczuła ulgę, że cię wyręczy w dotykaniu mnie?

– A co miałam zrobić? Pobić ją? Nie muszę chyba mówić, że gdy facet nie jest zainteresowany, to zazwyczaj nie ma problemów ze stawianiem oporu i opanowaniem takiej sytuacji bez cudzej pomocy.

Zaciskam pięści i przysięgam, że słyszę, jak trzeszczą mi kości.

Stoję tak blisko niej, że mogę wyczuć nutę jej słodkich perfum.

Nikt nigdy się tak do mnie nie odzywał. U każdego skończyłoby się to, kurwa, śmiercią albo trwałym kalectwem. Mam ochotę pchnąć ją na blat, związać, a potem zatopić kutasa w jej wnętrzu i brać ją tak długo, aż skruszę cały jej opór, a ona zacznie mnie błagać, bym pozwolił jej dojść.

– A ty? Będziesz zadowolona, jeśli będę się rznął z innymi kobietami? – dociekam.

– Jestem świadoma, że będziesz sypiał z innymi kobietami i byłam na to przygotowana.

Przygotowana?

– Słucham?

– Nie mogę uzurpować sobie prawa do ciebie w żaden sposób – szepcze. – Zachować wierność, ale jej nie oczekiwać. Czy nie taką zasadę wręcz czeni wielu twoich kolegów po fachu? – Śmieje się z goryczą.

Zasady.

Pod fasadą jej chłodu znów dostrzegam przebłyśki smutku. I zmęczenia, wręcz wyczerpania.

Dociera do mnie, że ona nienawidzi swojego życia równie mocno jak ja. Nie ma wyboru. To ja wybieram za nią. Jest marionetką w moich rękach i zawsze tak będzie. Jej wola i pragnienia się nie liczą. Nie może być zwyczajną dziewczyną ze zwyczajnym życiem. I zwyczajnym facetem. Nigdy nie dam jej więcej. Nie ma dla niej niczego ponad reguły rządzące tym światem ani dziś, ani kiedyś.

– Bethany... – zaczynam, a ona odskakuje gwałtownie przed moim dotykiem.

– Logan, ja wielokrotnie widziałam, co robiono kobietom, które w jakikolwiek sposób sprzeciwiły się zachciankom swojego mężczyzny. Nie rozumiem tego. Szukasz powodu, żeby móc mnie ukarać? Jesteś zły, bo ci go nie dają? O to chodzi? – Fiołkowe oczy śledzą mnie z rozpaczą.

Takie bezbronne.

Co właściwie planuję jej powiedzieć? Przecież ma rację. Ktoś wpoił jej zasady podziemia i powinienem się tym cieszyć. Zadowolanie się jedną kobietą jest tak rzadkie, że równie dobrze można by to uznać za anomalię. Wstrętną i godną potępienia. A cała ta irracjonalna furia, którą próbuję poskromić, powinna się pojawić wówczas, gdyby Bethany rościła sobie do mnie prawa, gdyby miała czelność oczekiwać ode mnie wierności. Tymczasem sterczę tu jak pierdolony kretyn oburzony brakiem jej zazdrości i obojętnością na możliwą zdradę.

Co, do chuja, się ze mną dzieje?

– Nie mogę. Ja pierdolę, nie mogę, nie wytrzymam tego! – Odchodzę w kierunku biurka. Jego drewniane krańce wrzynają mi się skórę, gdy walczę ze sobą, by go nie przewrócić.

Co się ze mną dzieje?

– Dlaczego tak się wściekasz? – pyta łagodnie Elizabeth. – Myślałam, że będzie ci się podobało, że nie oponuję, jeśli jej pragniesz.

– Skąd ty się wzięłaś? – Podchodzę do niej, zapędzając ją w róg pokoju, a potem splatam nasze dłonie. – Jesteś niemożliwa.

Potrząsa głową.

– Nie wolno mi...

– Czego?

– Zabronić ci... tego.

Otaczam ją ramieniem w talii.

– A gdyby ci było wolno, zabroniłabyś? – mruczę wprost w jej usta.

– Tak... – Zerka na mnie nieśmiało spod rzęs.

Jej paznokcie wbijają mi się w dłoń, gdy oczekuje, aż uwolnię swój gniew. Tego właśnie się teraz po mnie spodziewa.

Bo tak powinienem zareagować, a zamiast tego przyciągam ją do klatki piersiowej i wpijam się wargami we wrażliwe miejsce tuż pod jej uchem.

– Nie musisz. Wierność nie jest wcale taka trudna, kiedy masz kobietę, która uosabia sobą każdą z twoich pokus. Tylko ciebie pragnę i nigdy cię nie zdradzę. Obiecuję. – Przesuwam usta na jej szyję i gardło.

Pragnę jej, pożądanie rozmywa mi obraz przed oczami i dopiero po chwili orientuję się, co palnąłem. Przynależem jej wierność. Cholerną wierność.

Co mnie, do diabła, opętało? Przecież to godna pożalowania głupota. Bzdura.

A mimo to, odkąd się pojawiła, trzyma mego fiuta w szachu. Miałem okazję zerznąć tę blondynkę, która próbowała mnie ujeżdżać podczas odbierania kontenerów z bronią, a dziś mógłbym uprawiać ostry seks z Kirą, ale nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy, bo najwyraźniej mam nierówno pod sufitem, a Elizabeth Hallwell rzuciła jakieś zaklęcie na moje jaja, sprawiając, że pragnę wyłącznie jej.

– W ogóle mi się to nie podobało. Ty i ona. Ty i ktokolwiek poza mną – mruczy i wygina plecy, nieświadomie szukając kolejnych pieścizot.

Jestem przekonany, że wyczuwa mój wzwód, ale nie odsuwa się, powieki ma opuszczone, więc zacznem manewrować jej ciałem, by raz po raz ocierała się cipką o moją erekcję.

– To już brzmi jak roszczenie sobie praw do mnie. Seksownie. – Wsuwam palce pod materiał jej sukienki. – I sprawia, że chcę cię rozłożyć na moim biurku, posiąść. W wyobraźni zrobiłem to już chyba setki razy.

Otwiera oczy. Zamglone, pełne żaru. Piękne.

– Tak? – W kąci jej ust wkrada się uśmiech.

Znowu zauważam ten rzadki, maleńki dołeczek w jej podbródku i nie mogę się powstrzymać. Całuję go, sprawiając, że jej uśmiech jeszcze się poszerza.

– Przepraszam – udaje mi się wydusić. – Przepraszam, jeśli to, co zobaczyłaś, zraniło twoje uczucia – dodaję. To zapomniane, zakazane słowo w moim słowniku, od wieków nikogo nie prosiłem o wybaczenie, a widząc jej kompletnie pogubioną minę, czuję się jak błazen. – W porządku, płomyczku?

– Jasne.

Brzmi tak, jakby oceniała mój stan psychiczny.

A ja powinienem to natychmiast przerwać i ją odprawić, ale jej pragnę. Tak bardzo, że cała reszta jest nieistotna. Jutro ustawię granice tam, gdzie powinny się znajdować.

– Nie. Nie powinnaś mi tak łatwo wybaczyć.

– Nie? – Jej rysy zachmurzają się.

Nie ma pojęcia, o co mi chodzi. Nic dziwnego. Jest niedoświadczona i nie ma wprawy w rozpoznawaniu seksualnych podtekstów i flirtu.

Wyszczierzam zęby w nieprzyzwoitym uśmiechu.

– Powinnaś zażądać bardziej starannych przeprosin. Dłuższych. Dużo, dużo dłuższych – oznajmiam.

Kiedy do niej dociera, że chcę się pobawić, także się uśmiecha.

– Skoro tak mówisz. – Mija mnie, a jej biodra kołyszą się przy każdym kroku. – Uważam, że powinieneś paść na kolana i błagać, a ja być może rozgoszczę się na twoim fotelu. I na biurku.

– Proszę, zrób to.

Patrzy na mnie, gdy rozsiada się na moim fotelu, odrzucając włosy na plecy. Przywołuje mnie zalotnym skinieniem palca.

– Klęknij. – Gdy już jestem w zasięgu jej ręki, łapie za mój krawat i pociąga mnie w dół. – Bliżej. Opadam na kolana zachwycony jej przemianą w seksownego, zmysłowego chochlika.

– Chyba lubię bycie na twojej łasce – mamrocę.

Bethany odrzuca mój krawat i zabiera się za rozpinanie guzików mojej koszuli. Nieznośnie powoli. Gdy lekko rozchyła uda, zauważam skrawek jej białej, koronkowej bielizny. Znów ma na sobie śnieżnobiałą sukienkę i przywodzi na myśl anioła, który przez przypadek zabłąkał się do bram piekielnych.

Obsypuje pocałunkami mój tors, a ja czuję, jak mój kutas twardnieje coraz bardziej. Cały staję w ogniu.

– Przed iloma kobietami padałeś już na kolana?

– Jesteś pierwsza.

– Jestem ostatnia – poprawia i zaczyna zsuwać koronkowe majtki. – Powiedz to – nakazuje. Figi zawisają na jej kostkach, a sekundę później już trzyma je w palcach tuż przed moją twarzą.

– Jesteś... – Przelykam ciężko ślinę. – Kurwa, jesteś ostatnia. – Czuję lekki aromat jej podniecenia, którym przesiąknięte są figi, i widzę, jaka jest już mokra. Dla mnie.

Tylko dla mnie.

Wyciągam rękę z zamiarem zanurzenia palca w jej ciasnym, śliskim wnętrzu.

– Nie. – Cmoka i odsuwa moją dłoń. – Nie wolno. Tylko patrz. – Rozsuwa mocniej uda, a ja umieram.

– Torturujesz mnie – chrypię. – Chcę cię dotknąć.

– Patrz mi w oczy. Tylko w oczy – zastrzega, a ja i tak zauważam, jak jej ręka mknie między nogi. – Nie spuszcza wzroku. – Wolną dłonią podnosi mój podbródek i obserwując mnie, drugą zaczyna pieścić swoją łechtaczkę.

Dyszę ciężko. Przytłacza mnie wręcz zwierzęca żądza.

– Ja pierdołę.

– Podoba ci się?

– Chcę cię wyręczyć. – Przegrywam i odnajduję spojrzeniem jej cipkę. – Jesteś mokra?

Potakuje, pozwalając mi wpatrywać się, jak jej kciuk zatacza okrężne ruchy na wrażliwym łonie.

– Bardzo. – Masuje się coraz szybciej, a jej biodra zaczynają podrygiwać podrywane falami przyjemności.

W moim gardle rodzi się samczy pomruk. Głodny, szalony, niebezpieczny.

– Chcę to poczuć. Na języku. – Oblizuję wargi. – Poznać twój smak, zanurzyć twarz między tymi pięknymi udami i zostać tam przez godziny. – Pochylam się, ale ona szarpie mnie za włosy i ponownie odtrąca.

– Patrz mi w oczy, bo zabawa się skończy.

Kurwa. Kurwa. Kurwa.

– Jesteś okrutna – skarżę się. – Nie masz pojęcia, co mi robisz.

W jej tęczęwkach tli się blask, który zdradza, że doskonale wie, co mi robi. Jak długo można wytrzymać z sinymi jajami? Bo mój fiut jest boleśnie twardy, a serce obja się o żebra i możliwe, że za moment będę potrzebował defibrylacji.

Nie mam pojęcia, dlaczego jej na to pozwalam. Nigdy nikt nie dzierzył nade mną władzy.

– Logan – jęczy, a ten dźwięk mnie, kurwa, wykańcza.

– Bethany.

– Jest mi tak dobrze. Gorąco. Zaraz dojdę. – Wpycha palec do środka i wysuwa. – Wyobraź sobie, jak zacisnęłabym się na twoim języku. Ja to sobie wyobrażam. – Wygina kręgosłup w łuk.

Całkowicie tracę kontrolę.

– Dość tego. – Łapię ją za kolana i rozszerzam jej uda. Od razu atakuję jej cipkę, przywierając do niej ustami. Przesuwam po niej językiem, zdecydowanie, mocno, szorstko.

Wbijają mi paznokcie w czaszkę.

– O Boże. – Mocniej przywiera cipką do moich ust i zaczyna falować talią w rytm, w jaki mój język liże jej łechtaczkę i mokre wejście.

– Taka pyszna i moja. – Spoglądam na nią w górę. – Zrób to, chcę, żebyś miała orgazm, kiedy pieszczę cię ustami. Kiedy cię zjadam. – Zarzucam sobie jej nogi na barki, by mój język mógł zakopać się głębiej w jej wnętrzu i pieprzyć ją nim tak długo, aż nie wstrząsa nią spazm orgazmu.

– Tak, tak, tak! – krzyczy targana rozkoszą, a potem opada bezwładnie na fotel.

Patrzę na nią zafascynowany.

Elizabeth Hallwell stała się moją obsesją.

## Rozdział SIEDEMNASTY

To, co podejrzewałem, okazało się jak najbardziej trafione. Moi ludzie przeprowadzili dla mnie szczegółowy wywiad, a sam wiem najlepiej, jacy potrafią być skuteczni. A wiadomości, które mi dostarczono, wprawiają mnie w morderczy nastrój, choć właściwie mam taki od wczoraj i świadczy o nim gęsto ścielący się trup. Za moment dołączy do niego kolejny, o ile nie wyspiewa mi grzecznie za życia wszystkich informacji na temat tego spierdalonego planu Collinsa.

– O co chodzi z kawałkami ciała Jonasa, które walają się po całym naszym terytorium?  
– zagaduje Tom, krążąc powolnym krokiem po piwnicy.

Sam dźwięk nazwiska tego chuja, sprawia, że burzy mi się krew.

– Wczoraj wieczorem próbowałem zmusić Elizabeth do seksu, więc wymierzyłem mu sprawiedliwy wyrok – wyjaśniam. Wciąż odwrócony do niego plecami, skupiam się na polerowaniu ostrza mojego największego sztyletu, którym kilkanaście godzin temu dźgałem ciało tego ścierwa.

Wracają myśli i obrazy, pod wpływem których robię się wściekły i trochę niezrównoważony.

– *Zgrywasz niedostępna, tak?*

– *Puść mnie. Zostaw.*

Panika w jej głosie. Echo bezradności wywabiało na powierzchnię moje najokrutniejsze oblicze. Kata. Sadysty. Zabójcy.

– *Jeśli jeszcze się nie zorientowałaś, jesteś tutaj tylko w roli zabawki.*

Skurwiel. Trochę żałuję, że już jest martwy, bo wspominając jego atak, pragnę go ponownie zaszlachtować. Byłem tak ogarnięty furją, że zarzynałem go w jakimś mrocznym transie. Urwane obrazy przeskakują mi pod powiekami. Jak go kroilem nożami. Ciąłem skalpelami. Zdzierałem z niego skórę, odsłaniając kości i miażdżyłem je w imadle. Jak zamocowałem na jego szyi widełki heretyków, które wbijały się coraz głębiej i głębiej w jego tors i gardło przy każdym ruchu. Przy każdym zaczerpniętym oddechu. Pamiętam, jak zalewał się krwią i wrzeszczał, a ja wciąż nie miałem dość. Chciałem więcej i więcej. Pragnąłem, by krew zalała ziemię całego mojego terytorium i wtarła się w moją skórę, bym już zawsze mógł sycić się tym, jak go zajebałem.

– Zauważyłem. Dosłownie go, kurwa, posiekałeś. Nie można zrobić kroku, żeby w coś nie wdepnąć.

Spoglądam na Thomasa opartego w rozkroku o chropowatą, odrapaną ścianę. Wszędzie są czarne zacieki od zaschniętej krwi i ślady paznokci osób, które w tracie naszych jakże miłych przesłuchań, próbowali wydrapać tynk, byleby tylko wydostać się na zewnątrz.

Chyba trzeba odnowić tę salę.

– To ostrzeżenie – mruczę i wbijam nóż w drewniany blat nieopodal jego ręki. – A teraz skupmy się na priorytetach. Wprowadźcie go.

Tom tylko się uśmiecha i kręci głową, idąc do ciężkich, pancernych drzwi. Zadawał się z Jonaszem, ale wiem, że gdybym kazał mu go zabić, nawet by się nie zawahał.

Kiedy drzwi zostają otwarte, do środka wchodzi dwóch moich ludzi, trzymających obezwładnionego faceta z workiem na łbie.

To jedna z kluczowych zasad. Obcy na naszym terenie nie mogą poznać tajnych przejść. Poza tym takie nagłe odcięcie kogoś od zmysłu wzroku tylko potęguje strach. Dwa w jednym.

– Puszczajcie mnie, kurwa. – Dupek szamocze się, gdy Mario i Edgar sadzają go na krześle.  
– Czego ode mnie chcecie?

Podchodzę do niego i zrywam mu nakrycie z głowy.

– Dwie opcje. Pogadać. – Zatrząskuję mu kajdany na nadgarstkach. – Albo zorganizować ci darmowy pogrzeb.

Tom zapina mu pasy wokół kostek. Klamry dzwonią od siły nacisku, a nasz gość odrobinę się krzywi.

– Wybieraj – odzywa się mój zastępca. – Ja skłaniam się do tej drugiej. – Uśmiecha się,

wyciągając zza paska karambit i nóż motylkowy. Obraca je w palcach w swoim popisowym, budzącym trwogę stylu.

Nasz gość jednak wcale tego nie zauważa, jego wytrzeszczone oczy wwiercają się we mnie.

– Znam cię. Jesteś...

– Zanim się rozplączesz i staniesz na tyle bezużyteczny, że odstrzelenie cię będzie jedyną możliwością, powiedz mi, co wiesz na temat Adama Collinsa – wtrącam.

– Nie znam nikogo o tym nazwisku.

– To nie zadziała. Obserwowaliśmy cię, wiemy, że jesteś jednym z trzech skurwieli, których do czegoś wynajął. Opowiesz mi o tym dobrowolnie przy szklaneczce whisky. – Sięgam do barku po dwie szklanki i butelkę bursztynowego trunku. – Czy chcesz zapoznać się bliżej z salą tortur? – Trącam kciukiem swój sztylet, wciąż sterzczący w sztorc w wiśniowym blacie, zanim zaczynam rozlewać alkohol.

– Ponownie byłbym kurewsko szczęśliwy, gdybyś wybrał opcję numer dwa – dorzuca Tom, maszerując wokół niego. Osacza go, zonglując bronią. Czyli idealnie odgrywa swoją rolę małego psychola.

Nasz gość grzechocze łańcuchami spinającymi jego ręce.

– Słuchaj, nie mam pojęcia, w co Adam się wpakował, ale nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie jestem kretynem, wiem, coś za jeden i żadna kasa nie jest warta znalezienia się na twojej czarnej liście.

Uśmiecham się. Czasami reputacja pojeba się przydaje.

– Powiedz mi, co wiesz, a ja wypuszczę cię stąd z wielką walizką pieniędzy. – Mario stojący w rogu pomieszczenia wyciąga z sejfów czarne nesesery wypchane paczkami banknotów. – Albo kulą w skroni, jeśli coś zataisz, a uwierz mi, będę o tym wiedział szybciej, niż zdążysz zaczerpnąć kolejny kłamliwy oddech – kontynuuję.

– Powiem, co chcecie. Nie szukam kłopotów i nie chcę wylądować poćwiartowany i martwy na jakimś odludziu.

– Czego chciał od ciebie Collins?

– Chciał, żebyśmy porwali jakąś laskę. To wszystko.

Zaciskam palce na szklance z alkoholem, pragnąc ją pokruszyć.

– Kogo?

Facet przetyka ślinę. Jego grdyka wibruje nerwowo pod skórą, gdy strzela spojrzeniem na boki.

– Nie wiem. Chyba jego dziewczynę. – Marszczy czoło. – Ja i dwóch moich kumpli mieliśmy ją gdzieś zamknąć.

– Kto jeszcze miał brać w tym udział?

– Nie chcę kablować.

Podchodzę do niego z whisky, a Tom chwyta go za gardło i odchyła mu głowę do tyłu.

– I tak się dowiem. Teraz to tak nie wygląda, ale fakt, że tu siedzisz i rozmawiamy, może pomóc ci przeżyć. – Wlewam mu trunek do ust, nie zważając na jego bulgoczący sprzeciw. – Twoi kumple już są trupami. Chcesz dołączyć do tej krwawej imprezki? – Upuszczam puste szkło, a ono roztrzaskuje się u moich stóp, towarzyszy temu odgłos krztuszenia się naszego gościa.

– Nie wiem, jak się nazywają. Używają dziwnych ksywek – sapie.

Stawiam krok w jego stronę. Kryształowe opiłki chrzęszczą mi pod butami.

– Zapisz mi je. – Rozluźniam prawą obręcz w kajdanach i podaję mu pióro. – I opowiedz, co mieliście zrobić po porwaniu tej kobiety? Kazał wam ją skrzywdzić?

Głupi sukinsyn najwyraźniej ma zwanie w swoim małym mózgu, bo wbija wzrok w długopis, jakby rozważał, czy może użyć go jako broni. Ostatecznie jednak, gdy Tom podsuwa mu swój przegub w zastępie kartki, ten zapisuje rozdygotaną dłonią dwa pseudonimy na jego skórze.

– Nie. Tylko postraszyć. Chciał, żebyśmy ją przetrzymali kilka dni i zadbali o to, żeby była przerażona, ale bez żadnych pojebanych akcji – wyjaśnia. – Ta dupa podobno jest ślepa, więc założyliśmy, że to łatwa robota. Nie musieliśmy się martwić, że nas rozpozna.

Zalewa mnie fala wkurwienia. Przygłup nie ma pojęcia, że obraża moją siostrę i stąpa po bardzo cienkim lodzie. Mam ochotę sięgnąć po siekierę i porąbać nią jego czaszkę.

– Co Collins chciał zrobić z nią później? – pytam wypranym z emocji tonem.  
– Nie wiem, słyszałem, jak gadał z kimś przez telefon, że będzie dla niego jakąś przepustką.  
– Wyjaśnij.  
Idiota wierci się na swoim fotelu. Wygląda, jakby walczył z potrzebą zesrania się w gacie.  
– Chyba chodziło o jej brata. Chciał mu się przypodobać, chuj wie. Dlaczego jego nie zapytasz?  
– spluwa.  
– Zapytam. Uwierz mi. – Wychylam alkohol z drugiej szklanki jednym haustem i nie spuszczam z niego wzroku. – Tylko nie wiem, czy kiedy w końcu będę w nastroju na pogawędkę, Collins będzie jeszcze w stanie mówić.  
Facet zielenieje na twarzy.  
– Czego ty chcesz? Dlaczego tak cię to interesuje? – wyje.  
Wsuwam rękę do kieszeni marynarki, by wyciągnąć dwa shurikeny.  
– Adam wspominał przy tobie o szczegółach tego porwania? Kiedy macie to zrobić? Co się stanie z dziewczyną, kiedy on ją zabierze? – Rzucam jedną ośmioramienną gwiazdą tak, by ta wbiła się tuż przy jego szyi.  
Facet podskakuje przerażony.  
– Nie podałeś jeszcze terminu. Miał podesłać go nam w... w ostatniej chwili – jąka się. – Nie znam konkretów, wiem tylko...  
– Co?  
– Gość chciał odegrać bohatera. Mieliśmy upozorować walkę, kiedy przyjdzie po tę sukę, i udawać, że ją ocalił, ryzykując dla niej własne życie – ciągnie. – Chciał uchodzić za wybawcę przed nią i jego bratem. To chyba jakiś wielki skurwiel rządzący w podziemiu, skoro tak bardzo mu zależy.  
Thomas zaczyna głośno rechotać.  
– Tak sądzisz? – Uśmiecham się, podrzucając drugi shuriken w dłoń.  
Kiwa skwapliwie spoconym łbem.  
– To chora akcja, kto zleca porwanie własnej laski? Chyba że to jakiś pokręcony rodzaj gry wstępnej i ich to jara... Zaraz... – Urywa.  
– Co jest?  
– To ty jesteś bratem tej... kobiety?  
Teraz już cała trójka towarzyszących mi kretynów zanosi się śmiechem. Tom wygląda, jakby miał ochotę tarzać się po podłodze z rozbawienia.  
– Bystrzak. – Biję mu brawo.  
Nasz więzień najpierw mruga oszołomiony, a potem wpada w histerię. Znowu próbuje wyswobodzić się z więzów. Na jego twarzy maluje się desperacja.  
– Nie wiedziałem. Przysięgam. Gdybym wiedział, że chodzi o twoją siostrę, nigdy bym...  
– Wierzę ci – wtrącam, zanim koleś dostanie torsji i zarzyga mi buty za cztery tysiące dolarów.  
– I byłbym zobowiązany, gdybyś nie nazywał więcej mojej siostry suką. To sprawia, że mam ochotę poderżnąć ci gardło. – Drugi shuriken leci i wrzyna się naprzeciw pierwszego, przez co szyja naszego gościa znajduje się w potrzasku.  
– Przepraszam – wzdycha. – Przepraszam.  
Tom się zatrzymuje. Znużony chowa oba swoje noże do pokrowców przypiętych pod ubraniem.  
– Nuda – szepcze.  
Wiem, marzył, by facet dał mu pretekst do wyprucia mu flaków, ale nici z krwawej makabry, na którą tak się napalił.  
– A mnie się to całkiem podoba. Lubię oglądać przerażenie na ich twarzach – odzywa się z kąta Mario.  
– Ale temu jeszcze nic nie zrobiliśmy, a już się wypowiadał – narzeka mój zastępca. – Jestem rozczarowany. – Podchodzi do mojego ochroniarza i częstuje go miętowym dropsem.  
Gangster uzależniony od węglowodanów. No, kurwa, świetnie.  
– Zamknijcie się – uciszam ich. – To walizka po brzegi wypełniona forszą. Jest twoja, jeśli odpowiesz na moje ostatnie pytanie. – Mario kładzie neseser na kolanach związanego dupka.

– Jakie?

Przyglądam mu się w milczeniu. Jego nikczemne ślepie jarzą się chciwością. Gdybym teraz kazał mu skowyczeć do księżycy za odpowiednią zapłatę, bez wątpienia by to zrobił. Jest ubrany w wytarte, usmolone jakimś gównem spodnie i za ciasny podkoszulek opinający jego obrośnięty sadłem brzuch. Na dodatek śmierdzi tanim piwem na kilometr. To zwykły tchórz.

Mała rybka osaczona przez rekiny.

– Gdzie mogę znaleźć twoich kumpli? – dociekam.

– Lubią przesiadywać w barze na obrzeżach miasta. Przy tym hotelu z migającym szyldem z pelikanem czy chuj wie czym.

Tom pstryka palcami w powietrzu.

– To flaming. Wiem, gdzie to jest – chwali się.

W takim razie załatwione.

– Zanim zostaniesz wywieziony z mojego terytorium, dam ci małą radę. Nie kontaktuj się z kumplami ani z Collinsem. – Sięgam po sztylet i przesuwam nim od jego krtani aż do podbrzusza. – Jeśli uznam, że próbujesz mnie zdradzić albo wykiwać... – Nóż wędruje jeszcze niżej. Przekaz staje się jasny. Wykastuję go.

– Nie zrobię tego – przysięga zapatrzony w czubek ostrza przy swoim kroczu.

– Adam Collins nie jest facetem zasługującym na czyjąkolwiek lojalność – mówię. – Masz trzy wyjścia z tej sytuacji. Zabiłby was po wykonaniu dla niego brudnej roboty. To raz. Dwa, oddałby was nam, żebyśmy to my was wykończyli po zakończeniu zadania. Trzy. Zapłaciłby wam zgodnie z umową, ale na to bym nie liczył, bo bylibyście dla niego stałym ryzykiem mogącym go szantażować ujawnieniem prawdy. Kto chciałby mieć taki słaby punkt?

– Naprawdę mnie wypuścisz czy tylko mnie nabieracie i zamierzacie zabić? – charczy. Gałki oczne prawie wywracają mu się w tył czaszki.

Jeszcze kilka minut i sam zejdzie.

– Wiesz, co miałem w sejfie obok walizki z pieniędzmi? – Po moich słowach Edgar prezentuje niewielką buteleczkę. – To skrajnie łatwopalna ciecz. Kilka kropel i gdybyś nie był przydatny, płonąłbyś teraz na naszych oczach jak pochodnia – mruczę.

– Nie. Nie, nie. Powiedziałem ci wszystko... – Przyglup prawie zaczyna płakać.

– Spokojnie. Przeżyjesz. Jak długo? – Pauza. – To zależy tylko od ciebie. Zabierzcie go. – Cofam się.

Worek znów ląduje na jego łbie.

– Robi się. – Tom rozpina go i podrywa z krzesła. – Chodź, nasz nowy kolego. Zaprzyjaźnimy się.

Obstawiam, że typ wolałby już zaprzyjaźnić się ze stadem wygłodzonych aligatorów.

– Obserwujcie go. Jeden zły ruch i wiesz, co robić – dodaję przed wyjściem. – I daj znać reszcie, żeby pilnowali Cleo. Będzie chciała wymknąć się na spotkanie z tym skurwielem, a jest dobra w ucieczkach.

Nie mogę się doczekać, aż dorwę to żalosne ścierwo i pokażę mu, jak smakuje porażka w świecie, którym panuje prawo dżungli...



## Rozdział OSIEMNASTY

Stało się. Dopadłem go, a szalejąca w moich żyłach złość każe mi wydłużać jego męki w nieskończoność. W chwilach takich jak ta jestem tylko czystym złem. W chwilach takich jak ta mógłbym stanąć w szeregu między demonami, a nikt i tak nie wytknąłby żadnej różnicy.

Mam przed sobą Collinsa, ale widzę tylko ból mojej siostry i moją Bethany narażoną przez niego na śmierć. Krwawiącą, dźgniętą.

Nadszedł czas zapłaty, a ja z przyjemnością ją odbiorę. Nawet jeśli oznacza to, że dla Cleo już zawsze będę zabójcą jej ukochanego.

– Naprawdę wierzyłeś, że możesz mnie przechytrzyć? – pytam, przechadzając się po celi.  
– Okłamać i wmanewrować w swoje gierki?

Adam uśmiecha się zakrwawionymi zębami. Jego ciało przypięte jest łańcuchami zwisającymi z haków w suficie. Tytanowe obręcze oplatają jego nadgarstki, kostki i szyję. Przypomina bezwładną marionetkę przyczepioną do sznurków, za które mogę w każdej chwili szarpnąć.

– Niewiele brakowało – syczy.

– Nie jestem tu, gdzie jestem, bez powodu – zaczynam oziębłe. – Osiągam każdy swój cel, nawet jeśli muszę zostawić za sobą setki mogił. – Obracam w palcach zapalniczkę, zastanawiając się, czy warto rozpalic tu dla niego stos, na którym będą skwierczeć i się smażyć jego wnętrzności.

– Próbujesz mi zaimponować czy mnie zastraszyć, bo nie jestem pewien?

Zatrzymuję się tuż przy nim.

– A ja wiem, co robisz. Prowokujesz mnie, bym szybciej cię zabił. – Odpalam płomień milimetry pod jego brodą. – Wiesz, że nikt cię nie ocali, więc szybka śmierć jest dla ciebie wybawieniem, ale nic z tego. Planuję...

– Pierdol się – słuwa.

– Zabrać cię prosto do mojego małego piekła – ciągnę niezrażony. – Spodoba ci się tam. Obiecuję.

– Nie słyszałeś, co mówiłem? Pierdol się. Pierdol się. Pierdol się.

Zanoszę się śmiechem. Marnie pozuje na twardziela. Na dzień jego oczu dostrzegam czyste, niczym niezmażone przerażenie. Wie, że dziś zafunduję mu prawdziwy horror.

– Pozwolę ci zdecydować. – Płomień zapalniczki smaga jego skórę. – Powiedz, jak chcesz umrzeć? Mam ci połamać wszystkie kości? Raz za razem? Pozwolić ci się wykrwawić z tysiąca ran, które w tobie wydrążę? A może...

– Nie możesz znieść tego, że pierdoliłem się z twoją siostrą! Że ją miałem!!! – drze się na całe gardło, by odreagować przeszywający jego nerwy gorący ból. – Że była gotowa cię porzucić i wybrać życie ze mną.

Cleo. Nie powinien był o niej wspominać. Wściekłość, którą starałem się powściągnąć, wybucha teraz w moim wnętrzu jak cyklon. Miesza się z adrenaliną, testosteronem i prymitywną żądzą mordy.

Wszystko we mnie lodowacieje od środka, pokrywa się szronem, znieczula mnie i odcina od wszelkich emocji. Wyłącza reakcję na bodźce zewnętrzne. Teraz nie ma we mnie ani krztyny człowieczeństwa. Tylko mrok.

– Masz rację. Nie wolno mi zapomnieć, żeby gdzieś po drodze cię wykastrować. – Ze stolika wyłożonego moimi ulubionymi zabawkami chwytam nóż i wbijam go na wysokości barku mężczyzny, rozrywając skórę aż do łokcia. To samo robię po drugiej stronie. Kolejnym szarpnięciem drę jego koszulę. Guziki odskakują od materiału, a ten natychmiast nasiąka krwią.

Adam wrzeszczy i wije się bezradnie na łańcuchach, a ja dalej tnę jego ciało.

– Wszyscy chętnie zobaczymy, jak skamlesz, gdy obcinają ci jaja – odzywa się Tom, który tym razem tylko opiera się o ścianę ze skrzyżowanymi rękami. Pełni rolę psa stróżującego i cieszy swoją chorą naturę makabrycznymi widokami.

Niespodziewanie chwytam jego rękę i wyginam, dopóki nie usłyszę rozkosznego trzasku kości.

Napędza mnie bezlitosna i nienasycona żądza. Mój umysł spowija ciemna mgła, a gdzieś w jej głębi coś bez wyraźnego kształtu szepcze w kółko jedno słowo.

Zabij. Zabij. Zabij.

– Wiesz, co jest moim ulubionym narzędziem tortur? – pytam cicho. – Ogień.

– Ty...

– Będziesz płonął, skurwielu. Długo. – Chwytam niewielki palnik i jednym ruchem wskrzeszam ogień. Żółć, pomarańcz, czerwień i odrobina błękitu łączą się ze sobą, stanowiąc najbardziej hipnotyzującą i morderczą mieszankę. Przesuwam dłoń przez mieniący się płomień, a gorąco, które atakuje moje zakończenia nerwowe, sprawia, że robię się jeszcze bardziej niecierpliwy i nabuzowany.

W końcu przysuwam palnik do żeber tego zakłamanego skurwiela.

– Nie!

Przez szum w moich uszach przedziera się znajomy, kobiecy krzyk, a gdy się odwracam, widzę ją stojącą w progu.

– Elizabeth – szepczę.

Ma na sobie długą, czerwoną koszulę nocną, która ciągnie się po ziemi niczym szkarłatny welon i nie pasuje zupełnie swym pięknem do tym śmierzących, ociekających krwią lochów.

– Ty... Jesteś psychopatą i potworem. Ty... – Cofa się o krok i prawie potyka. Jej oczy są spłoszone, trochę nieobecne.

Pełną minutę zajmuje mi uświadomienie sobie, że nie jest zjawą wyłaniającą się z otaczającej mnie nocy. Jest prawdziwa, drżąca i boi się.

Boi się mnie.

Patrzę na nią, nie do końca rozumiejąc, co się, do kurwy nędzy, dzieje. Ledwie ją widzę, bo jestem zbyt daleko. Nie ciałem, ale wszystkim innym już tak. Wydaje mi się taka rozmyta i nieosiągalna, że mam ochotę ją pochwycić i zatrzymać. Tutaj. W piekle. Ze mną. Na przekór całemu światu.

– Czyżby dopiero teraz dostrzegła twoje prawdziwe oblicze? – odzywa się Tom gdzieś z boku.

Koncentrując na niej rozbiegane spojrzenie, ponownie uruchamiam palnik i przypalam rozcięcie na ramieniu Adama.

Krzyczy. Oboje krzyczą.

– O mój Boże – szepcze i choć tylko widzę jej poruszające się wargi, bez problemu rozpoznaję słowa.

– Podejdź tu, Elizabeth – nakazuję.

Zamiast tego cofa się o kolejny krok. Jej ciemne loki poruszają się na wietrze, który wpada do celi przez kraty w oknach.

– Nie – zaprzecza.

Przekrzywiam głowę. Czuję, jak poskładana z bezdennej ciemności bestia żyjąca w moim wnętrzu jeży się niezadowolona z nieposłuszeństwa. A potem raduje, bo ta strona mnie uwielbia wymierzać kary. I chce jednej też dla niej.

– Podejdź tu. Nie lubię powtarzać swoich prośb – warczę.

– To nie prośba, to rozkaz.

– Chciałaś zobaczyć, jak zły mogę być. – Rozciągam usta w uśmiechu. – Więc patrz. – Wbijam sztylet pod żebra Adama, a potem płomień z palnika wypala krwawiące miejsce, aż poszarpane krawędzie jego skóry robią się zwęglone.

– Kurwa, nie! Nie, nie... Dość!!! – wyje ten zniewolony śmieć, nadwyrężając sobie struny głosowe.

Bethany ucieka spojrzeniem w bok. Jej palce są zwinięte w pięści, które dygoczą, jakbym to ją chłostał ogniem. No, do chuja...

– Patrz. Nie odwracaj wzroku – nakazuję.

– Dlaczego mi to robisz?

– Okłamałaś mnie. Publicznie mnie znieważylaś. Sprzeciwiłaś mi się.

Odrywa wzrok od ściany i wwierca go we mnie, ale tylko na sekundę. Jakby nie mogła znieść mojego widoku.

Dyszę ciężko, trawi mnie coraz większy gniew. Jej zachowanie. Jej lęk. Ta pierdolona postawa poranionej gazeli zdanej na łaskę lwa. Nienawidzę tego. Gardzę tym. Muszę to z niej wypławić. Powinienem.

– Myślałam...

– Że możesz oswoić bestię?

Trzęsącą się dłonią zagarnia kosmyk za ucho.

– Że coś dla ciebie znaczę. Cokolwiek. – W jej miękkim tonie pobrzmiwa nadzieja, a mnie trafia szlag.

Nie chcę od niej nadziei. Nie chcę, żeby żywiła ją dla mnie. Za mnie.

– Nigdy nie będę potulną maskotką w cudzych rękach. Nigdy nie będziesz miała nade mną żadnej władzy. Zapamiętaj.

Zagryza dolną wargę, tarmosząc rąbek swojej piżamy.

– Żałuję, że ja nie mam takiego wyboru – chrypi.

Zbliżam się do niej, łapię za nadgarstek i przyciągam do swojego torsu. Słyszę, jak zasysa powietrze, ale nie próbuje się wyrwać.

– Nie masz, więc baw się miło – mówię.

Znów się wzdryga.

– To dla ciebie tylko zabawa?

– A co innego? – Śmieję się, gładząc kciukiem jej policzek. – Weź do ręki sztylet i miotacz.

– Po co?

Sam zaciskam jej palce na wspomnianych przedmiotach i nie puszczam, dopóki nie mam pewności, że je utrzyma.

– Bierz – powtarzam.

Fiołkowe oczy patrzą na mnie z wyrazem bezsilności, jak gdyby mnie nie poznawały.

I słusznie. Bo tamtego Logana tutaj nie ma. Jest tylko potwór skażony przez zło pełzające w jego duszy, które teraz chce opleść się wokół niej. Zniszczyć ją.

– Nie każ mi tego robić, proszę.

Ale jej błagania są tylko pożywką dla mojego mroku. Smakołykiem.

– Rozetnij skórę pod jego żebrami, a potem rozgrzej ją płomieniami – polecam beznamiętnie.

– Nie.

Bez ostrzeżenia szarpię nią tak, że jej plecy odbijają się od mojej klatki piersiowej. Ponownie biorę jej dłoń w swoją i nie pozwalając jej uwolnić sztyletu z uścisku, nacinam skórę więźnia.

– Pomogę ci – nucę do jej ucha, gdy szamocze się w moich objęciach. – Nie bój się.

– Logan. Nie.

Nie słucham jej. Jestem za daleko, by wrócić. I się zatrzymać.

– A teraz palnik. – Używam jej drugiej ręki do wskrzeszenia ognia i przesuwam płomieniem po wrażliwym nacięciu. Czuję urywany, ciepły oddech na gardle, gdy Bethany chowa twarz w zagięciu mojej szyi, by nie widzieć tego, co się dzieje.

– Nie mogę. Już nie mogę. – Szczęka zębami.

Gdy zatracam się w skomleniach i jękach Adama, w zadawaniu mu cierpienia, mam wrażenie podobne do tego, gdy jest się na haju. Wdycham zapach jego bólu niczym narkotyk, pozwalam mu się odurzyć.

– Nie chcesz popatrzeć? – odzywam się do Elizabeth, gdy mój więzień w końcu nie wytrzymuje nadmiaru doznań i traci przytomność.

Wielka szkoda.

– Zrobiłeś sobie krzywdę. – Dociera do mnie jej głos, przedzierając się przez osaczające mnie odmęty czerni.

Zerkam na swoją poparzoną dłoń. Jest zaczerwieniona, pokryta bąblami, a spalona skóra przypomina pomarszczoną skorupę. Prawie nic nie czuję.

A właściwie czuję wiele. Czystą euforię. Zimną, brudną ekstazę. Spełnienie.

– Jestem uodporniony na ból – mamroczę.

– Ja też. Pokazać ci?

Mgnienie oka później widzę coś, co powinno być halucynacją. Bethany rozcina sobie skórę w poprzek nadgarstka, a potem wrywa mi palnik i przysuwa do rany.

Kierowany jakimś dziwnym instynktem, do którego nie mam prawa, gdy głos ma moje owładnięte złem alter ego, odbieram jej miotacz, nim zdąży się poparzyć.

– Ty też jesteś wariatką, Elizabeth Hallwell. – Pocieram opuszką krwawiące draśnięcie. – Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo jestem teraz nakręcony – dodaję.

Bethany odpycha mnie, a przynajmniej próbuje.

– Przestań.

Owijam rękę wokół jej talii. Ładnie pachnie. Wanilią i czymś pikantnym.

– Nie chcesz się pieprzyć? – Przywieram ustami do jej szczęki. Przygryzam płatek ucha.

– Nie, kiedy jesteś taki.

Jest taka zabawna. I moja. Cała moja. Mam prawo ją wziąć. Mieć. Posiąść. Mam prawo ją oznaczyć, by nikt nigdy nie miał wątpliwości, do kogo należy.

Łapię ją za kark i łączę nasze usta w pocałunku mimo jej protestów. Gdy próbuje się wyswobodzić, kąsam jej dolną wargę, a potem wdzieram się językiem do jej słodkiego wnętrza. Mój fiut nabrzmiwa w spodniach, on również pragnie zostać solidnie wylizany.

– Nigdy nie byłem inny. Po prostu opracowałem odpowiednią strategię, żeby cię dostać. Żebyś sama do mnie przyszła – szepczę i liżę jej skaleczoną od uszczyknięcia zębów wargę. Czuję na podniebieniu smak jej krwi. – A teraz wracaj do łóżka. Ja muszę odciąć i usmażyć mu kutasa. Chyba że chcesz zostać na widowisku?

Bethany wyciera usta rękawem.

– Masz rację – syczy. – Wcale cię nie znam. – I wybiega z lochów.

Odwracam się do Adama, który już zdążył się ocknąć. Przynajmniej w jakimś stopniu.

Przykucam z nożem w ręku. Powinienem wypruć z niego trzewia.

Dla mojej siostry już zawsze będę zabójcą jej ukochanego, a dla Bethany...

Coś we mnie, ciche, ledwie słyszalne, każe mi za nią biec. Naprawić to.

Jednak to byłoby kłamstwo, bo w tej celi zobaczyła wszystko, czym jestem. Najgorsze, wstrętne, niegodne jej i nikogo innego.

Daję znak Tomowi, a on bez słowa wręcza mi kanister. Wylewam benzynę na Adama do ostatniej kropli, a potem odpalam zapalniczkę i przyglądam się płomieniom, które pożerają jego ciało, tłumią jego wrzaski tak długo, aż zwęglony zastyga w pośmiertnej pozie.

Znika wszystko, nawet fragmenty dręczących mnie wspomnień sprzed kilku godzin. Adam już nie istnieje, wymazałem jego życie.

Skończyłem.

## Rozdział DZIEWIĘTNASTY

*Kilka godzin wcześniej.*

– Czego chcesz? – pytam, zauważając tego zakłamanego sukinsyna na moim terytorium.

Bethany rzuca mi pełne niepokoju spojrzenie, jakby wyczuwała narastającą we mnie agresję wywołaną jego pojawieniem się.

– Przekazać ci zbiega, który napadł na twoją siostrę i twoją... – Adam pstryka lekceważąco palcami, rzucając okiem na Elizabeth. – Kimkolwiek ona jest – dodaje, sprawiając, że mam ochotę wyrwać mu grdykę własnymi rękami.

\* \* \*

Patrzę na Bethany, próbując okiełznać wściekłość krążącą w moich żyłach. Zaciskam dłonie na jej biodrach w niemym ostrzeżeniu.

– Wiedziałam – szepcze nagle. – O nich. – Wskazuje na moją siostrę i Adama.

Każdy mięsień w moim ciele sztywnieje w poczuciu zdrady.

– Powtórz – żądam.

Fiołkowe otchłanie jej oczu są w tej chwili zobojętniałe i cyniczne.

– Wybacz mi. – Skłania się niczym niewolnica przed panem, ale każdy jej gest emanuje drwiną.

Robi ze mnie głupca. Upokarza w otoczeniu moich żołnierzy, którzy teraz obserwują mnie niczym sępy. Czekają, aż wygzekwuję od niej to, co mi się należy.

Aż udowodnię jej i im wszystkim, kto dzierży władzę i zasługuje na miano dziedzica krwawej fortuny.

– Wiedziałaś i kłamałaś? – syczę.

Elizabeth potrząsa głową. Na jej usta wpływa uśmiech pełen pobłażania.

– Nie rozumiesz. Nie zrozumiesz, bo nigdy nikogo nie kochałaś – mówi.

Jej słowa przetaczają się przeze mnie niczym uderzenie pioruna. Gdzieś w oddali płacze moja siostra, ale ledwie to rejestruję, bo ciemnieje mi przed oczami.

Dotykam przelotnie pięknych, oszukańczych warg Bethany. Czuję gniew mrowiący mnie aż w opuszkach palców, każący mi zadać jej ból.

– Wiesz, co takiego właśnie zrobiłaś?

– Przyznałam się do zdrady, której dopuściłam się z premedytacją. Przed wszystkimi. Przed całą twoją gangsterską szajką – oznajmia.

Elizabeth Hallwell też ma w swoim wnętrzu podłą, bezlitosną sukę. I nie daje mi wyboru.

Nie możesz nadepnąć potworowi na ogon i oczekiwać, że ten nie zatopi w tobie kłów w odwecie.

– A wiesz, co cię za to czeka? – mruczę blisko jej ucha, pragnąc pocałować ją aż do krwi.

Skoro tego właśnie sobie życzy, już wkrótce ją złamię.

\* \* \*

– Nie odejdę z tobą. Jesteś niewidoma. Nie będę sam się tobą zajmował. Nawet gdybym chciał i tak nie zdołałbym tego sam udźwignąć – odzywa się Adam, oddalając się w kierunku głównej bramy. – A nie jestem pewien, czy chcę.

Odszukuję wzrokiem swoją siostrę. Cleo blednie i wygląda, jakby w każdym momencie mogła zemdleć.

– O czym... ty mówisz? – łka. Wstrząsa nią spazm, który prawie zwała ją z nóg.

– Bez protekcji nie pójde dla ciebie na śmierć – dorzuca to ścierwo. – Chciałem zostać przejęty pod skrzydła Logana. – Wzrusza ramionami. Bijąca od niego pogarda sprawia, że mam ochotę skrócić mu kark. Tu i teraz. Od razu.

Jednak to byłaby dla niego nagroda w porównaniu z tym, co go czeka za igranie z uczuciami mojej siostry.

Cleo wygląda, jakby powoli uchodziło z niej życie.

Jego życie za jej to uczciwa transakcja.

\* \* \*

– W porwaniu mojej siostry, które w wielkim stylu pokrzyżowała Bethany, mieli wziąć udział trzech mężczyźni, racja? – zagaduję go zubożającym tonem.

Adam zamiera. Chyba nawet wstrzymuje oddech.

Nie rób tego. Oddychaj, póki możesz. Dziś zdechniesz.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Wciąż sili się na arogancję, ale i tak wyczuwam jego strach. Widziałem już zbyt wiele przerażenia, teraz bez problemu wywieszę go w powietrzu. To w końcu taki specyficzny, wabiący aromat.

Wpatruję się w niego z przekrzywioną głową.

– Spróbuj jeszcze raz. – Stawiam krok ku niemu, podwijając rękaw koszuli. – Kolejne kłamstwo to wyrok śmierci w męczarniach.

Proszę, skłam. Chcę władować twoje rozplątane na milion części zwłoki do plastikowego worka.

Źrenice niedoszłego trupa się powiększają.

– Nie wolno ci – odpowiada.

Uśmiecham się.

– Więc czemu jesteś taki zaniepokojony?

– Nie miałem pojęcia, że nas nabierasz. Zrezygnowałem dla jej dobra. Przy tobie byłaby bezpieczniejsza niż przy mnie.

Prawie słyszę łomotanie jego serca między powiewami wiatru.

– Ludzkie ciało to nic innego jak fascynujący mechanizm, ale w sytuacjach kryzysowych często dochodzi do awarii. Strach to zaś niezawodne serum prawdy. Dlatego nie potrzebuję wariografu, żeby wiedzieć, kiedy ktoś próbuje mnie oszukać.

Adam cofa się, aż wpada na ogrodzenie. Spogląda płochliwie za plecy, spodziewając się pewnie, że spadł w szpony jakiejś mrocznej istoty stojącej na straży mojej posiadłości.

– Wywołasz wojnę, jeśli mnie zabijesz.

Wbija palce w siatkę, nie mając pojęcia, że ma ona ciekawą funkcję. Mianowicie razi prądem z taką siłą, że może usmażyć mu fiuta w kilka sekund.

– Niczego nie wywołam. Oni także są poinformowani o twojej nielojalności i jak na pewno już wiesz, nie słyną z okazywania litości. – Spoglądam na ciemne niebo. – Zostawili mi wolną rękę w kwestii twojej kary. – Wilgotny, mroźny podmuch nadyma moją marynarkę. Znosi się na deszcz.

Pogoda mi sprzyja. Nie znoszę zmywać krwi.

– Od początku wiedziałeś, że się spotykamy? – Dotyka swojej szyi i wydaje dławiący odgłos.

Zbliżam się do niego. Wszystko we mnie staje się czujne, spragnione jego śmierci. Przeszywa mnie przyjemność, gdy zauważam, jak zaczyna się pocić.

Raczę się z rozkoszą każdym kąskiem jego paniki.

– Mniej więcej. – Zatrzymuję się. – Jakiś czas temu wysłałem Seda, żeby cię sprawdził. Ten trzeci facet, który miał ci pomagać, ale nagle zniknął, wystawił cię. Dzięki odpowiedniej kasie i właściwie dobranej metodzie zastraszenia doszliśmy do porozumienia.

Szok odbija się w jego nędznych rysach.

– Doniósł ci? – pyta.

W moim gardle wzbiera śmiech pełen satysfakcji.

– Właśnie. Wiem, że ukartowałeś to porwanie, żeby ją uprowadzić, a potem wyjść na bohatera, który ocalił Cleo. – Mając świadomość, że moja ofiara obserwuje uważnie każdy mój ruch, postanawiam trochę się z nim podroczyć. Sięgam dłonią do krawędzi paska, gdzie ukryty mam jeden z pistoletów.

Adam zaciska powieki. Ma w tej chwili taki zajebiste tępy grymas wyryty na gębie. Przebiję go chyba tylko ten po stężeniu pośmiertnym.

\* \* \*

– Dlaczego posunąłeś się do tak podłej intrygi? – Słyszę wzburzony głos Elizabeth.

Nawet nie spoglądam w jej stronę. Każde przypomnienie o jej obecności, sprawia, że wszystkie włoski na moim ciele się stroszą. Wciąż jestem na nią tak wściekły, że balansuję teraz na granicy czystego szaleństwa.

– Tak to tutaj działa. Żadna kobieta nie jest na tyle głupia, by oczekiwać wielkiej miłości – odpowiada jej Adam. Ma nawet czelność zaśmiać się szyderczo.

Zaraz go, kurwa, rozszarpie. Stanowczo zbyt dawno temu wyrywałem komuś kręgosłup. Przydałoby mi się odświeżenie tej umiejętności.

Elizabeth wygląda gorzej, niż gdyby ją spoliczkował, a potem rusza w niego stronę. W kolejnej sekundzie już wyciąga jeden z tych swoich seksownych sztyletów sai i wbija go w dłoń Adama.

Unoszę brew, nie rozumiejąc kielkującego we mnie podziwu.

– Za miłość – szepcze i obraca nóż w ranie. – Za głupotę, jak zwał tak zwał, prawda?

Och, kurwa. Jestem naprawdę porąbanym skurwielem, bo gdy na nią teraz patrzę, na moją niewzruszoną boginię wojny, czuję napływające podniecenie.

I zaborczość. Zaborczość, która prawie mnie dusi. Mógłbym ją teraz zerznąć. Robiłbym to, dopóki nie spuściłbym całego gniewu, który we mnie wyzwoliła.

Adam sapie coś niewyraźnie, kiedy krew sączy się z jego rany.

– Ty pieprzona... – Milknie pod wpływem kolejnego impulsu bólu, gdy Bethany wyrywa sztylet z jego ręki i chowa na miejsce.

Przyszły trup chwyta się za dziurę w łapie i zaczyna podskakiwać jak jakaś jebana małpa w cyrku.

Daję Tomowi znak, by zajął się tym chujem.

Nikt nie ma prawa obrażać mojej kobiety.

Thomas zaciska palce na szyi tego przygłupa.

– Trochę szacunku – syczy. – Mamy tu takie specjalne narzędzie przeznaczone do obcinania języków. – Obezwładnia go, mimo prób szamotania i prowadzi do przygotowanej specjalnie na jego pobyt podziemnej celi.

Pławię się w uczuciu ekscytacji, już za kilka minut...

– Twoja kolej – przemawia cicho Bethany, przystając naprzeciwko mnie.

Wciąż omijam ją wzrokiem, gdy pytam:

– Na co?

– Na ukaranie mnie. Zdradziłam, skłamałam. Zakwestionowałam twoje słowo. Czyń więc honory. – Usiłuje wcisnąć mi swój drugi nóż sai w rękę. – Kiedyś za każde przewinienie robiono kobietom nacięcia, głębokość i wielkość uzależnione były od winy, a blizna zawsze miała przypominać, by nie popełniać już tego samego błędu – tłumaczy, zwieszając ulegle głowę. Następnie lekko rozdygotaną dłonią zaciśniętą na rękojeści, przysuwa ostrze do skóry i robi długie na kilka centymetrów nacięcie wzdłuż obojczyka.

Wyrywam jej sai z palców.

Pieprzona, kurwa, wariatka.

– Przestań! – nakazuję. – Idź natychmiast do domu.

Ale ona sterczy tam i krwawi. Smutna, zrezygnowana. Poddana.

– Żałuję – mruczy jeszcze, gdy wyciągam ją na korytarz.

Targa mną obłąkańcza furia, gdy wpatruję się w skaleczenie na jej skórze, po którym bez wątpienia zostanie szpetna blizna.

– Co ty, do kurwy nędzy, wyprawiasz? Potrzebujesz psychiatry? Bo masz wyraźnie skłonności do popieprzonych zachowań – warczę.

Elizabeth zanosí się śmiechem. Jej oczy są niepokojąco nieprzytomne.

– A ty? Czemu mnie nie ukarzesz? Wiem, że chcesz. – Zaczyna okładać pięściami mój tors. – No, ukarż mnie, sukinsynu. Po co udajesz kogoś, kim nie jesteś? – Unieruchamiam ją, łapiąc w garści jej

nadgarstki.

Czy to właśnie przy niej robię? Udaję?

Odpycham ją od siebie, zanim zrobię coś, czego będę żałować, i zmierzam do sali tortur, by dać upust pożerającej mnie destrukcji.

Najwyższa pora kogoś zająć.



## Rozdział DWUDZIESTY

*Teraz*

Nie mam najmniejszej ochoty odbywać tego spotkania. Zwłaszcza z tym facetem, a ponieważ żaden z nas nie słynie z kurtuazji i owijania w bawełnę, od razu przechodzę do rzeczy.

– Chodzą słuchy, że eksperymentujesz z nowym rodzajem narkotyku – mówię, wrzucając do szklanki z whisky trzy kostki lodu.

Zaraz po dźwięku grzechoczącego o szkło lodu rozlega się śmiech Ryana.

– Nie wiedziałem, że wielki Logan Roth słucha plotek – odpowiada.

– Masz coś do ukrycia? Zatajasz skarb, którym zamierzasz podbić kontynent przed przyjacielem?

Torano zapatruje się na ogień trzaskający w kominku. Obraca w palcach zawieszony na rzemieniu wisior, który przypomina kiel jakiegoś prehistorycznego rekina. Najpewniej megalodona. Arogancja mężczyzny tak bardzo pochłaniała tę pozostałą mu, niewielką liczbę szarych komórek, że uważa się za drapieżcę wszech czasów. Takiego na samym szczycie łańcucha pokarmowego.

A może to kompleks Boga...

Musiałem tytułować się jego przyjacielem, żeby przejrzyć jego plany, choć tak naprawdę czyhałem tylko na okazję, by wypruć mu serce z piersi.

– Nie kontynent, a świat. Cały świat – rzuca, celując we mnie czubkiem rekiniego zęba.

– Co takiego robi ten cudowny środek, że mianujesz się królem wszechświata?

– Sam się przekonasz, kiedy już będę gotowy.

Zwykle chuj mnie obchodzą takie czcze pogroźki. Na świecie jest chyba więcej osób, które przynajmniej raz próbowały mnie zamordować, niż liczą sobie wszystkie kolonie mrówek, ale coś w wyrazie twarzy tego faceta każe mi traktować jego słowa poważnie. Torano zaprzedałby duszę diabłu, żeby się mnie pozbyć, bo przy mnie budził tyle respektu i strachu co kociak przy tygrysie.

– A oto i Elizabeth Hallwell – oznajmiam, gdy zauważam przyglądającą się nam z progą kobietę.

– Poznaj, proszę, Ryana Torano. Mojego przyjaciela i długoletniego współnika w interesach.

I kolejnego skurwiela do odstrzału na mojej czarnej liście.

Elizabeth staje u mojego boku z wahaniem i rozgląda się po salonie, jakby spodziewała się ujrzeć zatajone gdzieś w kącie zatrwająjące demoniczne postaci.

– Aktualna zdobycz Logana. Jestem pod wrażeniem, zwłaszcza że krąży już wiele plotek na twój temat. – Ryan wciąż trzyma w uścisku jej dłoń i zdecydowanie zbyt intensywnie wgapia się ślepiami w jej dekolt. – Może usiądziesz z nami i rozwiejesz moje wątpliwości? – dodaje.

Kiedy przyglądam się Bethany i zauważam, co ma na sobie, zaborczy instynkt nakazuje mi odesłać ją jak najdalej od śliniącego się na widok jej nadmiernie odsłoniętych cycków Torano.

Co ona sobie, kurwa, myślała, wkładając tę kieckę, która przylega do jej ciała niczym druga skóra i zwiodłaby na pokuszenie nawet stuletniego, ledwie żyjącego mnicha impotentą?

Jeśli to jakiś test mojej cierpliwości, to niebawem ten wieczór skończy się katastrofą.

Wbrew sobie pozwalam Bethany zasiąść obok mnie i podaję jej lampkę wina.

– Chętnie, dziękuję. Co więc wymaga wyjaśnienia?

– Jedni mówią, że jesteś tylko kolejnym pionkiem w rękach mojego przyjaciela, a inni – Torano rozciąga usta we wstrętnym uśmiechu – powiadają, że to ty trzymasz króla w szachu.

Od razu rozpoznaję ukryte w jego głowie wyzwanie, ale nie daję się na to nabrać. Jego aprobata jest mi potrzebna mniej więcej tak jak gówno pod podeszwą buta.

Bethany zerka na mnie spod rzęs.

– Prędeż podporządkowałabym sobie piekło niż akurat tego króla, ale to już chyba wiesz.

Biorę kolejny łyk alkoholu, by zamaskować uśmiech. Jej pełen uznania ton napawa mnie dziwnym poczuciem zwycięstwa.

– Wielka szkoda, bo chciałbym namówić Logana, żeby spróbował czegoś nowego, poszerzył

swoją działalność i zaoferował mi wsparcie w pewnej kwestii. Miałem nadzieję, że pomożesz mi go nakłonić do zmiany zdania.

– Jego nie da się nakłonić do zmiany zdania, zawsze robi to, co znajdzie uzasadnienie w jego lodowatej logice – mruczy cicho. – A jeśli mu się sprzeciwiasz...

Przerywa jej bulgoczący rechot Ryana.

– Wścieka się – wtrąca niezwykle podekscytowany tą opcją.

Zachowuje się jak mały, słaby robaczek, który szuka swojej siły w agresji, bo nic innego nie ma.

Bethany wierci się przy moim boku, wyglądzając sukienkę wolną dłonią. Drugą zaciska na stopce kieliszka. Nie czuje się tutaj swobodnie i trudno jej się dziwić. Kobiety rzadko zostają dopuszczone do spotkań, na których mężczyźni omawiają interesy. Stanowią raczej ozdobę męskiego wizerunku na publicznych wystąpieniach, balach, a poza tym dbają o dom i spełniają życzenia mężczyzny.

Nie pomaga jej zapewne wzmagające się nieustannie w ostatnich dniach między nami napięcie. Odkąd kilka dni temu nierozważnie zabłądziła w lochach i nakryła mnie na... wypełnianiu moich krwawych obowiązków wznosił się między nami niewidzialny mur. Elizabeth co prawda udaje, że nic się nie wydarzyło, ale poznałem ją już zbyt dobrze, by nie rozpoznać oznak jej lęku. Bała się mnie wtedy.

I boi się nadal. Boi się, że tamto zło, którego była świadkiem, znów wygrzebie się ze mnie na wierzch, a po zrzuceniu kagańca następnym razem to ją weźmie na cel.

– Nie – zaprzecza. – Wściekłość to emocja wywołana bezradnością, a Logan nie jest bezradny.

– Lubię ją – mruczy pożądliwie. – A jeśli zaoferuję ci pięćdziesiąt procent udziałów?

– Rozważnie kieruje rozmowę na inne tory.

Jaka szkoda. Byłem o półtora sekundy od nadziania jego fiuta na szpikulec od lodów.

Nie wolno mu dotykać tego, co moje. Nawet w wyobraźni, a wiem, że to właśnie robi.

– Gdybym chciał, już dawno bym się w coś takiego zaangażował z większymi zyskami – tłumaczę.

– Ale ja jestem dodatkową gwarancją zmniejszającą ryzyko.

– Nie tym razem.

– Udostępnij mi kilka swoich lokali. Na próbę – Wbijają palce w czarne obicie kanapy. – Każdy z nich stanowiłby doskonałą przykrywkę do pozyskiwania znacznie większych dochodów. A ty jesteś zabezpieczony z każdej możliwej strony. Nikt nie będzie węszył – zapewnia.

Jak gdyby gliny mogły stanowić dla mnie jakiś wielki problem. W tej chwili nawet użeranie się z nimi wydaje się bardziej pociągające od tłumaczenia temu tępakowi, że nie zamierzam babrać się w szambie związanym z handlem kobietami i zmuszaniem ich do prostytucji. To jest, kurwa, zabawa dla ścierw najniższego szczebla i gnid, które najchętniej sam bym wykastrował. W sumie robię to od czasu do czasu, gdy się na jakiegoś natknę.

– Kilka lokali, kilka kobiet – syczę, czując pulsowanie w szczęce. – Czy ty w ogóle widzisz jakąś różnicę?

Bethany sztywnieje obok mnie i zapada się głębiej w miękki szezlong. Zachowuje idealnie pokerową minę, ale widzę, że domyśla się sedna naszej rozmowy. Zagryza dolną wargę, a jej zwykle zmysłowe czerwone usta robią się lekko sine, jakby walczyła z mdłościami.

Mam ochotę ją pocieszyć, już prawie to robię, niemal łapiąc ją za dłoń jak jakiś zaślepiony uwielbieniem szczeniak, ale na szczęście otrzeźwia mnie głos Ryana.

– Masz się za lepszego? Wielki Logan nie zniży się do babrania w takim szambie? – pyta i trzaska kieliszkiem z trunkiem o blat stolika.

– Mniej więcej.

Ryan podrywa się nieco z siedzenia i wskazuje na mnie palcem.

– Uważaj, żebyś nie popełnił jednego błędu za dużo, bo...

– Doceniam twoją radę – przerywam, nie próbując walczyć z rozbawieniem, które jeszcze bardziej sprowokuje jego złość. – Wiedz jednak, że to nie skrupuły ani sumienie mnie powstrzymują, ja po prostu pozostaję wierny temu, w co wierzę. Nie możesz kupić moich zasad ani naginać moich reguł, gdy to nagle staje się korzystne. Nie tak to działa. – Wpółświadomie oplatam ramieniem talię Elizabeth i przysuwam ją bliżej. Kiedy na mnie spogląda, jej oczy są uroczo zdumione i niepewne. Stukam szkłem

z whisky o jej kieliszek na znak tajemniczego toastu.

Nie ma pojęcia, co wyprawiam. Ja do końca też nie wiem, ale jedno pozostaje pewne. Jestem zachłannym, porąbanym skurwielem, który pragnie tylko ją oznaczyć. By nie było wątpliwości, że ja to jej mężczyzna. Że tylko ja mam prawo ją pieścić, zadowalać i zachwycać się tym, jak niedorzecznie apetycznie wygląda w tej wieczorowej kreacji.

Moja mała rozpusta.

– Gangsterski kodeks? – Ryan zaśmiewa się szyderczo.

Przekrzywiam głowę i pochylam się lekko do przodu.

– Dzięki niemu nikt nie śmie utożsamiać mnie z małymi, bezwolnymi zbirami, którzy mają się za panów świata, gdy trzymają w ręku pistolecik. Jednak gdy przyjdzie im się zmierzyć z kimś większym, skamlą z przerażenia – mówię niespiesznie. – Może masz za sobą więcej ludzi niż oni, ale to nie ich liczba powinna określać to, do czego jesteś zdolny. – Unoszę brew i czekam.

Tacy jak on są cholernie przewidywalni. Dużo szczerzą, ale wycofują się do budy, gdy nadchodzi moment prawdziwego polowania.

Torano prawie dostaje pieprzonej apopleksji. Trzęsie się od furii, nieświadomy, jak wielką sprawia mi radość swoim błazeńskim zachowaniem. Moje znużenie działa na niego jak płachta na byka, choć sam jest, jak widać, nieporadnym cielęciem.

– Niech będzie, zostawmy to na razie – rzuca takim tonem, jak gdyby to on okazywał mi łaskę.

– Chciałbym się rozerwać.

– Nie krępuj się, korzystaj ze wszystkiego, co moje – Ogarniam gestem salon i resztę domu.

– Cieszę się, że to mówisz. – Zjada kilka winogron. – Chcę jej. – Kieruje roziskrzony wzrok na Elizabeth i oblizuje się teatralnie.

Bethany wciąga gwałtownie powietrze. A może to ja.

– Mnie? – jąka się ledwie słyszalnie.

Nie mogę usłyszeć, jak teraz bije jej serce, ale jestem przekonany, że to rytm równie szaleńczy jak mój. Widzę, jak kuli się delikatnie i przywiera mocniej do mojego ciała, jak gdyby oczekiwała, że ją ochronię. Uratuję.

A potem nasze spojrzenia się spotykają i w jej tęczęwkach trafiam na tylko jedną emocję. Nieufność.

Nie czuje się przy mnie bezpieczna. Wcale. Jest przerażona tym, że mógłbym ją sprzedać temu skurwielowi, żeby tylko załagodzić nasz konflikt. Wymienić ją dla własnych korzyści. Spodziewa się tego po mnie i z jakiegoś powodu odbieram to jako osobistą porażkę.

Coś dziwnego dzieje się w moim wnętrzu, jakby ktoś przekuwał mi trzewia cierniami i zaplatał je w supły. I nagle tracę całe swoje cenne opanowanie, z którego tak słynę.

– Żartujesz? – Podrywam się z kanapy.

Torano szarpie za poły ciemnej marynarki, a później przygląda jej kołnierz.

– Ty też na tym skorzystasz. Mówię naturalnie o wymianie partnerek. Nie jestem samolubny i mam pewność, że nie będą protestowały, prawda? – zwraca się do Bethany, a ja z trudem się powstrzymuję, by nie wyłupać mu oczu za patrzywanie na nią i nie obciąć języka za mówienie do niej.

Nie jest tego godny i prędzej bym spłonął, niż pozwolił mu jej choćby tknąć.

– Nie... – przemawia Elizabeth, zanim sam mam szansę kazać mu się odpiardzić.

– Co „nie”? Nie będziesz protestowała? – Znów obraca w palcach rekiniego kła. – Czy „nie”: nie zgadzasz się na moją ofertę?

– Wystarczy, Ryan – warczę.

– Dlaczego? Jestem pewien, że skoro jest twoja, musi być diabelnie wytresowana. Inaczej byś jej nie wybrał.

Nie powinien tego mówić. Naprawdę nie powinien. Są pewne słowa, które stają się gwoździem do własnej trumny i gwarantują śmierć w tak wielkich katuszach, że modlisz się do samego diabła, by jak najszybciej zabrał cię do piekielnych czeluści.

Staję za oparciem kanapy dokładnie za plecami Elizabeth i wsuwam palce pod jej upięte włosy. Głaszczę chłodną skórę jej karku. Przechodzi ją dreszcz, ale nie przerywam.

Kojenie czyichś obaw to coś, czego nie próbowałem od dawna, więc nawet nie wiem, czy robię to właściwie.

– Odrzucam twoją ofertę. Elizabeth należy do mnie i to – pochylam się, żeby pocałować ją w szyję – nie podlega negocjacji.

Na czole Torano pojawia się zmarszczka.

– Myślałem, że wiesz, że mi się nie odmawia, Logan.

– Myślałem, że wiesz, że mi się nie grozi – ripostuję.

Ryan wstaje z kanapy, uważnie mnie obserwując.

– Czy... rozpętałbyś wojnę z powodu kobiety?

Jego pytanie zagnieżdża się gdzieś głęboko we mnie i rozbrzmiewa tam raz po raz.

Czybym to zrobił?

Kątem oka zauważam, że Tom kręci się niespokojnie w rogu pokoju. Masuje skronie jak przy ataku migreny i potrząsa głową.

Nie warto. Nie warto. Nie warto.

Racjonalnie nie warto. Bez wątpienia. Ale samo rozważanie tego, że miałbym mu ją oddać, oddać ją komukolwiek, sprawia, że robię się odrobinę niepoczytalny. Należy do mnie i dziś, teraz, przewartościowuję dla niej wszystkie swoje priorytety.

Najważniejsze jest jej bezpieczeństwo i to, by wiedziała, że ja mimo całego swojego pojebania, mimo że nie mogę dać jej niczego więcej, zawsze ją ochronię.

Leniwym ruchem sięgam po broń.

– Z największą przyjemnością. – Muskam lufę pistoletu, niemal ją pieszcząc.

– Naprawdę? – Torano uśmiecha się podstępnie. Jest przekonany, że właśnie zdobył nade mną przewagę.

Wściekłość kipi w moich żyłach.

– Odprowadź pana Torano do bramy – nakazuję jednemu z moich ludzi. – Chcę, żebyście od teraz mieli oko na Bethany – zwracam się do Thomasa i Edgara, którzy właśnie do nas dołączają. Obaj mają ponure miny.

– Jasne – odpierają równocześnie, ale za dobrze znam Toma, żeby się łudzić. Za kilka minut zaczniesz się ze mną wyklócać. Jako jedyny jest na tyle odważny i z tendencjami samobójczymi, by mi się sprzeciwiać.

Elizabeth zbliża się do mnie, wciąż lekko dygocząc.

– To nie jest konieczne. Nic takiego się nie stało.

Tom parska, jakby chciał powiedzieć: proszę bardzo, idioto, masz, czego chciałeś.

– Cisza – ostrzegam. – Będę zaraz w gabinecie. Przeanalizujemy możliwe scenariusze, zanim...

– Logan... – Bethany nie daje za wygraną, a we mnie zrywa się jakaś struna.

Zrobiłem to dla niej. Złamałem najważniejszą z zasad. Pokazałem, że jest dla mnie cenna, a ona teraz bagatelizuje to, jakby nie była w stanie pojąć, że równie dobrze mógłbym pozwolić jej spuścić mi na głowę gilotynę.

– Raz. Jeden raz po prostu mnie, kurwa, posłuchaj. – Łapię ją za podbródek. – Uporasz się z tym?

– Daj spokój, nie jesteś jedynym, który odmówił wymiany partnerek. Żadna ze mnie ignorantka w tej kwestii, wiem, że bardzo często się praktykuje tę – macha chaotycznie rękoma, wprawiając w ruch liczne bransoletki – rozrywkę, ale znam też wielu zaborczych mężczyzn, a ty słyniesz z tego, że jesteś terytorialny.

Kurwa mać.

Thomas i Edgar znikają w holu, a ja łapię Bethany za nadgarstki i przyciągam do swojej piersi.

– Bez dyskusji. Nie masz pojęcia, co właśnie rozpętałem.

Elizabeth rozpromienia się.

– Wiem, przyznałeś, że ci zależy – mamrocze.

Zaciskam zęby, ciężko dysząc. Zalewa mnie nadmiar nieznanymi emocjami, których wcale w sobie nie chcę.

– I że mam słaby punkt – szepczę i odwracam się, by odejść.

Potrzebuję dystansu i trzeźwego umysłu, by przygotować się na to, co może nadejść.

Martwię się. Martwię się, że mi ją odbiorą. I nie mogę tego, kurwa, wytrzymać. Tak musi smakować obłąd.

Pragnę jedynie rozładować złą energię, zanim dojdzie do niekontrolowanej eksplozji.

– Zaczekaj. Możemy przez chwilę porozmawiać? Proszę. – Wchodzi do gabinetu zaraz za mną.

Nawet się nie odwracam. Nie mogę jej teraz widzieć. Elizabeth Hallwell to mój pieprzony detonator.

– O czym?

O torturach, których byłaś świadkiem? O tym, że kiedy się upiłaś, miałem ochotę przełożyć cię przez kolano, a jednak zamiast tego pocieszałem cię jak jakiś kretyn? O zbliżającej się prawdopodobnie wojnie?

O tym, że coś mi się jebie w głowie, odkąd spojrzałaś na mnie na tamtym balu?

– Mam wrażenie, że mnie unikasz, odkąd...

– Nie zaczynaj.

– Wiem, dlaczego to robisz.

To świetnie, bo ja nie mam pojęcia, dlaczego narażam się dobrowolnie na egzekucję z jej powodu.

– Zapraszam. Opowiedz mi o swoich urojeniach, jeśli musisz. – Podchodzę do okna, udając, że oglądam zachodzące słońce.

– Tamtej nocy kochałeś się ze mną, a potem...

Natychmiast kieruję na nią wzrok, czując, że moje mroczne ja obija się o ściany klatki, wyczekując okazji, by zamienić coś w zgliszcza.

Lub kogoś.

– Ja co robiłem?!

Co ona, do cholery, bredzi? Postradała rozum?

– Kochałeś się ze mną. Celowo użyłam tych słów. Wiesz, że tak było. To dlatego potem nakryłam cię w tej celi całego we krwi – nie ustępuje. – Użyłeś Adama, żeby wyładować wściekłość, ale nie na niego byłeś wściekły, tylko na siebie i na uczucia, nad którymi straciłeś kontrolę. – Dźga mnie paznokciem w tors.

– Skończyłaś? Bo nie mam teraz czasu na to chujostwo.

Ona tylko łapie za klapy mojej marynarki i wczepia się w nie z całych sił.

– Nie chowaj się za obojętnością, Logan. Porozmawiaj ze mną o tym. – Gładzi mnie palcami przez ubranie, jakbym, kurwa, był jakimś małym, słabym, zastraszonej stworzeniem, potrzebującym jej czułości.

Mroźny chłód przeszywa mnie na wylot. Dość tego.

Wrywam się jej i odsuwam, zanim stracę opanowanie do reszty i sam ją dopadnę. Bo wtedy nie pogruhoczę jej kości. Zmiażdżę ją znacznie głębiej. Nieodwracalnie.

– Niesamowite. Kobiety naprawdę potrafią przekształcać rzeczywistość tak, żeby wmówić sobie to, w co chcą wierzyć, nawet jeśli to kłamstwo. – Zdejmuję z palca sygnet ojca i ściskam go w garści. – Miałem cię za kogoś lepszego. Mądrzejszego, ale ty rzucasz się na mnie jak typowa naiwna desperatka.

Elizabeth cofa się zraniona, ale ja już nie myślę jasno, chwytam ją za przegub i wyrzucam za drzwi.

To się nie uda. Muszę wrócić na swoje miejsce. Znieczulone. Puste. Nieosiągalne dla nikogo, dopóki sam go tam nie wpuszczę, i to tylko po to, by go zabić.

## Rozdział DWUDZIESTY PIERWSZY

– Brawo. Poradziłeś sobie, kurwa, po mistrzowsku – wytyka Tom, łażąc wzdłuż mojego gabinetu jak rozjuszony byk na korridorze. – Pozwolisz, żebym zafundował ci owacje na stojąco? – Zaczyna teatralnie klaskać dłońmi.

Masuję skronie oparty o biurko, które tak naprawdę mam ochotę rozwalić.

– Odpierdol się, dupku. Co miałem zrobić? Nie ingerować? Pozwolić mu ją zgwałcić? – odbijam.

– Dobrze wiesz, że się podłożyłeś. Mogliśmy ją ochronić i uniknąć wypowiedzania wojny, gdybyś tylko rozegrał to na chłodno. Sam mówiłeś, że obojętność zawsze jest kluczem w takich akcjach. Udawaj, że masz wszystko w dupie, bo cokolwiek się nie stanie i tak ty zgarniasz wygraną do kieszeni. – Zatrzymuje się. – Więc co się tam, do chuja, stało? Czemu zachowałeś się jak żółtodziób?

Jego oskarżenia sprawiają, że targa mną coraz większa złość, która i tak jeszcze do końca nie wygasła po kłótni z Elizabeth.

– Popełniłem błąd. Kiedyś musiał być ten pierwszy raz – przyznaję zrezygnowanym tonem.

Tom uśmiecha się podstępnie i wrzuca do ust garść miętowych dropsów.

– A fakt, że akurat przez nią popełniłeś ten błąd, to przypadek? – mruczy.

Nie przez nią. Dla niej. I to jest w tym wszystkim najbardziej pojebane.

Wstaję tak gwałtownie, że niemal przewracam fotel. Staję krok przed moim zastępcą.

– Zapominasz, z kim masz do czynienia? Potrzebujesz dowodu, że przestałem być bezwzględny? W postaci kolejnej dziury w swoim ciele? – Zaciskam palce na jego jeszcze nie do końca wygojonym ramieniu. – Żadnych kazań, a jeśli cokolwiek ci nie odpowiada i masz ochotę zmienić szefa, to twoje ostatnie dwie sekundy, żeby stąd wypierdalać. Pamiętaj tylko, że jeśli dołączysz do przeciwnej drużyny, wypatroszę cię przy pierwszej okazji za zdradę.

Tom wzdycha.

– Potrzebujesz spuścić komuś wpierdol? Poderżnąć kilka gardeł, wyrwać parę serc, żeby pozbyć się z siebie tego... – Połyka kolejnego miętusa. – Czymkolwiek to jest?

– Chętnie spuściłbym wpierdol tobie, skoro już pytasz.

Tom tylko się uśmiecha. Uderzając ciężkimi butami o marmur, maszeruje do długiej czarnej kanapy ustawionej w rogu pomieszczenia i pada na nią z rękami skrzyżowanymi za głową. Gapi się w sufit.

– A więc czeka nas krwawe starcie – zaczyna znudzony. – Powiedz, że tam, w salonie tylko się z nim bawiłeś, chciałeś, żeby chwycił przynętę, że to był od początku twój wielki, nikczemny plan, żeby dać mu pretekst do wypowiedzenia nam wojny.

Śmieję się bez wesołości.

– Uwierzysz w to?

– Będę się starał. – Sięga do pudełka cygar leżącego na stoliku. – Ale mam wrażenie, że ty dużo bardziej potrzebujesz tego kłamstwa niż ja.

Zaciskam pięści i wbijam wzrok w okno. Ciemność zwykle ma na mnie kojący wpływ. Może dlatego, że stanowi doskonałą kryjówkę dla potworów. Mrok maskuje wszelkie skazy nawet moje, ale teraz na nic się to zdaje. Patrzą w okrągłe ślepiea pstrokatej sowy siedzącej na gałęzi. I nawet ona zdaje się ze mnie szydzić.

Słowa Toma mnie drażnią. Podjudzają wściekłość. Bo ma rację.

– Musimy przygotować się na atak. Zajmij się tym, powiadom wszystkich. Każdy ma być czujny i wyposażony w każdy istniejący rodzaj broni – nakazuję, zmieniając temat. – Niech mają je przy sobie wszędzie. Pod poduszką, w kiblu, w odbycie. Wszędzie.

Tom wypuszcza kłąb dymu pomiędzy warg.

– Tak jest. – Salutuje rozbawiony.

– Jesteś jednym z moich najlepszych taktyków wojennych, opracuj najbardziej prawdopodobnie scenariusze ataku.

– Z przyjemnością.  
– Przykułem do niej zbyt dużo uwagi. Nie odpuszczą, dopóki jej nie dostaną.  
– Nie odpuszczą – potwierdza, chociaż wolałbym usłyszeć zaprzeczenie.  
To moja wina. Spieprzyłem to i teraz muszę naprawić. Bez względu na cenę.

– Co mam zrobić, żeby ją ochronić?

Wzrusza ramionami odzianymi skórzaną kurtką.

– Chyba wiesz.

Wiem. Wiedziałem od pierwszej chwili.

Odwracam się ku Thomasowi.

– Uczyniłem z niej swój słaby punkt. Skierowałem lufy setek pistoletów w jej czaszkę. Teraz każdy, kto chce mnie dopaść, zechce zapolować na nią, bo wierzą, że dla niej sam wejść w ich sidła.

– A wejdiesz? – Strzepuje popiół z papierosa do kryształowej popielniczki. Przewierca mnie swoimi gadzimi oczami.

Czy bym dla niej zginął?

Przechodzę na drugą stronę gabinetu do ściany obwieszanej obrazami. Kiedyś chciałem je wszystkie spalić, bo zachwycały mego ojca, a we mnie budziły wstręt. Dziś, gdy patrzę na rozmaite demoniczne postaci uwiecznione na płótnie, pozujące triumfalnie nad szczątkami swoich ofiar, już nie umiem ich spopielić.

Bo w każdym z nich widzę siebie.

– Muszę im pokazać, że jej życie nie ma dla mnie żadnej wartości. Że z łatwością zastąpiłbym ją inną, a potem jeszcze następną.

Tom się ożywia. Przysiada, opierając buciory na szklanym blacie.

– A więc robimy to?

A jaki mam wybór?

– Tylko w ten sposób znowu stanie się dla nich bezużyteczna – odpowiadam beznamiętnie.

– Stanie się dla nich zbędna w tej bitwie, jeśli to kupią – zgadza się. – Ale muszą być przekonani, że choćby chcieli zrobić jej najgorszą rzecz, ty nie kiwniesz na to palcem. Nie spojrzysz w jej kierunku. Nie poświęcisz dla niej nawet pierdolonego włosa ze swojego głupiego łba.

Czuję, jak moje wargi unoszą się w niechętnym uśmiechu.

– Dziękuję.

Tom podrywa się z miejsca.

– Och, kurwa – szepcze do siebie jak czubek, którym właściwie jest.

– Co?

– Nigdy mi za nic nie podziękowałeś, a znam cię od dziecka. Naprawdę źle z tobą. – Przeczesa jej włosy palcami. – Pozbądź się jej w cholerę jak najszybciej.

– Jak każdej poprzedniej zabaweczki. – Przymykam na moment powieki. – A jeśli to nie zadziała?

– Uraziłeś jego dumę i pokazałeś, że ona jest cenniejsza niż biznes. Udowodnij, że chodziło o zwykłą zaborczość samca, który nie dzieli się zabaweczkami.

W jego ustach słowo zabaweczka brzmi tak plugawo, że mam ochotę obciąć mu jęzor, a na dokładkę dać w mordę.

Co się ze mną dzieje? To nie ja.

– I która obecnie mi się znudziła – ciągnę, ignorując zamęt w myślach. – Odeślę ją do ojca i zakończę to raz na zawsze. Nigdy nie powinienem był brać ją za swoją. Jest... – Urywam niezdolny dokończyć na głos.

Jest... dla mnie niczym.

Jest... nie moja.

Jest... we mnie prawie zakochana, a to niedozwolone. Miłość to jeden pierdolony burdel. Gardzę zakochanymi, choć nie da się zaprzeczyć temu, że miłość ogłupia ich na tyle, że o wiele łatwiej ich wykończyć.

Prawda jest taka, że w podziemnym świecie ta zaraza zwana na zewnątrz miłością odebrała

więcej żyć niż jakiegokolwiek inne przewinienie. Dlatego tak surowo się ją tępi.

– Za dobra dla potwora? – sugeruje Tom niespodziewanie. – Przy żadnej innej ci to nie przeszkadzało. Kolekcjonowałeś je jak swoje noże, a nawet im poświęcałeś więcej uwagi. – Bębni butem o kant stolika i zaciąga się cygarem.

– O co ci chodzi, do kurwy nędzy?

– Dlaczego ta jest inna?

– Nie jest.

Jeden kącik jego ust drga w uśmiechu, który znam aż za dobrze.

– To dlaczego ty jesteś inny przy niej?

Ależ by mi dobrze zrobiło, gdybym przetrącił mu szczękę.

– To nie ma nic wspólnego z nią – syczę na granicy cierpliwości.

– Logan...

Trzask. Rama z lakierowanego drewna dębowego, która miała oprawiać najnowszy z moich obrazów, właśnie łamie mi się w rękach, choć nawet nie pamiętam, kiedy ją chwyciłem.

– Naprawdę. To tylko jakiś pierdolony przypadek, że trafiło na nią. Nie jest wyjątkowa. Nie jest inna ani niepowtarzalna. Jest taka sama. Kolejna na liście – wyliczam. – Dobrze wiem, że to prawda.

Nic jej nie wyróżnia. Czysty, zimny rozsądek mówi mi, że mam rację. Jedna z wielu. Ani pierwsza, ani ostatnia. Przecież nie rzuciła żadnej klątwy na mnie i moje jaja.

– Czyli to koniec. Po prostu ją skreślamy, jakby nigdy jej nie było, a ty staniesz się dawnym sobą. – Wychwytyuję nutę zwątpienia w jego głosie, ale mam to w dupie.

Część mnie nie może się tego doczekać. Mam dość tego czegoś, co ona ze mną robi, czymkolwiek to jest, jak powiedział Tom. Nie chadzam na smyczy, tylko prowadzam na niej innych. Dałem Elizabeth zbyt dużo swobody. I sobie samemu również. Zasady nie są tylko dla niej. Są przede wszystkim dla mnie, żebym nie skończył trzy metry pod ziemią z powodu osłabionej emocjami czujności.

– Krew, seks i jeszcze trochę krwi. – Zwilżam językiem usta, patrząc na dębową drzazgę tkwiącą pod moją skórą. I napawam się bólem. – Tego właśnie mi potrzeba. Mam dość jej i całego wiążącego się z nią gówna. Przy niej...

– Co?

Czułem się, jakby odbierała mi władzę. Czasami chciałem jej ją oddać i nienawidzę tego. Bo to dowodzi mojej słabości.

Weszła za głęboko.

– Nic – szepczę. – Jak szybko możemy być gotowi na natarcie Torano?

Najchętniej ruszyłbym na tego sukinsyna już dzisiaj, ale rozważniej będzie przyjąć atak na swoim, znajomym terenie.

Tom wstaje i przeciąga się jak po drzemce.

– Będziemy gotowi. Wiesz, że tego nie zawalę – zapewniam. – Masz szczęście, bo spora część żołnierzy jest podekscytowana takim rozwojem spraw. Nudzili się ostatnio.

Parskam śmiechem. Jedyłą osobą, która cierpi na stały nadmiar destrukcyjnej energii, jest Thomas. Czasami mam wrażenie, że ma w sobie za dużo osobowości, żeby je wszystkie pomieścić. Ciągłe jest nakręcony, a pozostanie w zupełnym bezruchu przez dłuższy czas to dla niego wielkie wyzwanie. Może ma niezdiagnozowaną osobowość borderline albo zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi i jeszcze kilka innych dolegliwości.

– Oni się nudzili? Urządzałeś sobie tutaj bójki na noże co wieczór. Pokroiłeś mi połowę ludzi i sam jesteś zajebiście pokiereszowany.

Gdybym tylko mu pozwolił, Tom przekształciłby ten gabinet i każde pomieszczenie w domu na siłownię z ringiem wyznaczonym do walk. W rękach tego faceta wszystko stałoby się śmiertelną bronią. Porąbałby moje biurko, by wystrugać z niego łuk i strzały, splótł garoty z firan, a dywanem przykrył kadzie z wrzącą lawą.

– Wiesz, że lubimy się z bólem. – Mruga porozumiewawczo.

Jego słowa ożywiają wspomnienie tego, jak Bethany zacięła się swoim sai przekonana, że na to zasługuje, i coś przychodzi mi do głowy.



– Lubisz ból, bo pomaga ci wymierzyć sobie karę?

– Co?

– Musiałeś stać się takim psycholem z jakiegoś powodu.

Teraz tego nie widać, ale pod jego ubraniem ciągną się całe metry blizn. Nigdy sam nie wyciął sobie żadnej szramy, ale jego zapal do szukania okazji, by ktoś zafundował mu kolejną, zawsze wydawał mi się podejrzany. Jeśli to jego sposób na rozliczenie się z sumieniem za grzechy, to... raczej kiepsko.

– Dawno nie mierzyłem się z tobą – odzywa się i staje w prowokującej pozie. Boksuje w powietrzu i przywołuje mnie bliżej.

Woli przemoc zamiast rozmowy.

– Nie radzę. – Sekundę później łapię lecący w kierunku mojego gardła nóż.

Tom się wyszczerza.

– Przyjmujesz wyzwanie?

Zaciskam palce na rękojeści. Opuszki swędzą mnie od potrzeby odrzucenia ostrza. Od potrzeby wyrzucenia z siebie emocji. Dopóki nie zostanie już ani jedna iskra, którą mój Płomyczek mógłby użyć przeciw mnie i na nowo rozniecić ten dziwny pożar głęboko w środku.

– Na zewnątrz – polecam.

Tom popycha mnie do drzwi.

– Proszę przodem, wodzu.

Wymijając go, zginam łokieć i wbijam mu go pod żebra, aż się kuli.

– Spierdalaj.

Nie powinien mnie dziś kusić walką. Pragnę zatrząść światem w posadach.

I taki mam zamiar. Jeszcze zanim znokautuję mojego zastępcę.

## Rozdział DWUDZIESTY DRUGI

Sparing z Tomem dobrze mi zrobił. Teraz mogłem zająć się ważnymi sprawami i wyglądało na to, że właśnie patrzę na pierwszą z nich.

Mario: *W czasie warty znalazłem coś, co miało robić za krew na naszej zachodniej granicy.*

Marszczę brwi, wpatrując się w wiadomość na ekranie mojej komórki. Za cholerę nie mogę rozgryźć jej sensu.

Logan: *Coś jak krew, ale nie krew?*

Mario: *To sztuczna krew rozlana celowo niedaleko naszego terenu. Po chuj ktoś maluje nam granicę jakąś czerwoną farbą?*

Uśmiecham się, wystukując odpowiedź na klawiaturze.

Logan: *Strzelam, że to zaszyfrowany przekaz. Równie dobrze mogliby powiedzieć: Już wkrótce to wasza własna krew użyźni tę ziemię.*

Gdy tylko mam minąć próg jadalni, zostaję niespodziewanie wciągnięty do środka.

Elizabeth.

Mój pierwotny instykt prawie odbiera jej nagły ruch jako atak. Mało brakowało, a złamałbym jej w kilku miejscach rękę.

– Jesteś, proszę, usiądź – odzywa się i uśmiecha promiennie ustami w kolorze szkarłatu. – Jak się miewa Cleo? – Puszcza mnie dopiero, gdy opadam na krzesło.

Zduszam w sobie chęć skarcenia jej za skradanie się w tym mroku. Nie należy znieczeka naruszać przestrzeni osobistej wilka, bo może cię rozszarpać.

Nie mam najmniejszej ochoty na dyskusję o siostrze, która pograża się w rozpacz, ani na czyjekolwiek towarzystwo, a już zwłaszcza towarzystwo Bethany.

– Nie najlepiej. Zastanawiam się, czy nie powinna gdzieś wyjechać, zmienić otoczenie, żeby... – Spoglądam na wibrujący telefon. *Mało makabryczne, ja postarałbym się o bardziej efektowne intro*, odpowiada Mario. Chowam telefon do kieszeni. – Co to wszystko znaczy? – pytam.

Bethany odrzuca na bok biały fartuszek, który osłaniał jej sukienkę.

Rozglądam się po pokoju jadalnym i potrząsam głową, licząc, że to wyrwie mnie z tej absurdalnej romantycznej halucynacji i przywróci do rzeczywistości.

Świece, kwiaty, idiotyczne kokardki ozdabiające serwetki przy zastawie. Są wszędzie. Dosłownie, kurwa, wszędzie widzę coś, co ma za zadanie przywołać na myśl schadzki stęsknionych kochanków.

– To niespodzianka. Chciałam ci podziękować za to, co zrobiłeś. Nie musiałeś mnie chronić, a w tamtym momencie byłam przerażona, że się zgodzisz. Że mu mnie... podarujesz. – Przysuwa drugie krzesło do mojego. Pochyla się i jej usta przywierają do moich. Czuję, jak jej ręce suną po moim torsie, by zapleść się na karku, ale szybko wyswobadzam się z uścisku.

Co to za pierdolony cyrk?

– Po co te świece? Kwiaty? Cała ta romantyczna aranżacja? – Sięgam po jeden z prawdopodobnie miliona rozłożonych tu kwiatów i odrzucam go, prawie przewracając przy tym lichtarz.

Cóż, pożar stanowiłby doskonałą wymówkę dla końca tej szopki.

Bethany milknie, a jej mina na widok zdewastowanej róży jest tak przygnębiona, że rozpiera mnie coraz większy gniew.

– Właściwie nigdzie nie wychodziliśmy razem, a moglibyśmy spędzić trochę czasu tylko we dwoje, z dala od tego... wszystkiego. Zwłaszcza po ostatnich wydarzeniach – mówi, wykręcając nerwowo palce.

– Nie mówmy o tym. – Ucinam.

– Ale... – Kładzie dłoń na mojej, a ja oddycham coraz ciężiej. Zaciskam pięść, opierając się chęci zabrania ręki z dala od jej dotyku.

Nawet nie wiem, co tak bardzo wytrąca mnie z równowagi, ale ostatnie dni to jeden wielki

pieprzony bajzel. Przygotowywania do natarcia wroga, planowanie, jak zdjąć Elizabeth z celownika. Zaledwie kilka godzin temu oswoiłem się z myślą, że między nami koniec, a teraz ona przygotowuje dla mnie romantyczną kolację, jakby była zakochana. Do diabła! Ten pomysł jest jak wyciągnięcie zawleczonego z granatu. Natychmiast muszę zrujnować te jej śmieszne mrzonki.

– Wiesz, co się wczoraj stało? Dałem się podejść, zmanipulować jak nowicjusz. – Trącam kieliszek napełniony winem, choć mam ochotę go zgnieść. – To była prowokacja. Jak łamigłówka, której rozwiązanie nieopatrznie wręczasz przeciwnikowi.

Podnoszę się i idę w stronę barku z mocniejszymi alkoholami. Gorzki smak whisky pali moje podniebienie w przyjemny sposób, ale ani trochę nie wycisza mojej wściekłości. Nie pomaga ani druga, ani też trzecia porcja.

– Wydaje mi się, że troszeczkę przesadzasz – mruczy ze swojego miejsca. Jej kolorowy paznokieć błądzi po porcelanowym talerzu.

– Bo jesteś ekspertem w tych sprawach, prawda?

– Miałam nadzieję, że może zjemy razem kolację i porozmawiamy. Chciałam ci zrobić przyjemność, podziękować, ale widzę, że nic z tego. – Wzrusza ramionami. – Jak zwykle.

– Jak zwykle?

– Ilekroć próbuję się do ciebie zbliżyć, reagujesz wręcz agresywnie. Wielki, zły, łaknący krwi, władczy samiec alfa wciąż na horyzoncie.

Wypijam chyba pół karafki whisky w ciągu kilku minut, ale wciąż nie czuję się ani odrobinę zamroczonego.

Próbuje się do mnie zbliżyć. Bethany stara się wyjść poza narzucone przez nasz świat ramy, w których powinien mieścić się nasz związek. Właśnie to przyznała, choć takie próby niosą za sobą wielkie ryzyko. Tylu mężczyzn na moim miejscu odebrałoby to jako zbrodnię przeciwko ich woli. Próbę przechrztaenia ich i owinięcia sobie wokół palca, by zamienić się rolami w związku. A kiedy jeden z nas ma takie podejrzenia, to nigdy nie kończy się dobrze dla kobiety. Czy ona tego nie wie?

Mam gdzieś jej motywy, ale fakt, że miała odwagę, by czegoś takiego ze mną spróbować, sprawia, że robię się niebezpiecznie wkurwiony. Najwyraźniej moje łagodne traktowanie dało jej złudzenie, że może sobie ze mną pogrywać. Chce mnie skuć łańcuchem miłości, a potem rzucać mi jakieś ochłapy, gdy grzecznie spełnię jej życzenie? Zbyt dobrze znam ten schemat. Mój ojciec bawił się tak z matką, ale ja nie jestem nią.

I nigdy nie podzielę jej losu.

Ponownie opadam na krzesło u boku mojej małej, podstępnej intrygantki i łapię jej dłoń, by móc obsypać ją pocałunkami.

– Jasne, zjedzmy więc coś wykwintnego, wznieśmy toast, poopowiadajmy sobie błyskotliwe anegdoty. To na pewno sprawi, że bagno, w które się wpakowałem przez... – Urywam. Tłumię brutalne słowa resztkami kontroli.

Tym razem to Bethany wyrywa rękę z mojego uścisku.

– Przeze mnie? – chrypi, wbijając oczy w płomień jednej ze świec. – Skoro tak rozjusza cię samo przyznanie się przed innymi, że ci na kimś zależy, to nie trzeba było tego robić. Nie musiałbyś się teraz skręcać z żalu. Nie prosiłam cię o to!

Łapię oparcie jej siedzenia i gwałtownym ruchem przyciągam ją ku sobie.

– Nie prosiłaś? Jeśli chciałaś być dziwką, którą mężczyźni dzielą między sobą, to mogłaś wcześniej o tym wspomnieć, nie fatygowałbym się, aby toczyć za ciebie bitwy! – krzyczę.

Bethany zachłystuje się oddechem i odwraca ode mnie pobladłą twarz. Przez moment udaje jej się zachować nieprzeniknione oblicze, ale zaraz przebija się na nie rozpacz. Lampka z winem wymyka się jej z palców i rozbija u moich stóp. Nim zdążę zareagować, sztywno pada na kolana i zbiera odłamki szkła. – Zostaw to. Pokaleczysz się.

Nic z tego. Ignoruje mnie i dalej zbiera te przeklęte opiłki. Kilka pasem włosów wymyka jej się z upięcia i opada luźno na kark i odsłonięte przez wycięcie w czerwonej sukni plecy.

Chcę jej dotknąć, ale od razu opieram się temu pragnieniu.

– Chyba jednak straciłam apetyt, smacznego. – Podnosi się z gracją, a potem maszeruje do

wyjścia.

– Dokąd się wybierasz? Myślałem, że chcesz porozmawiać.

– Dlaczego ty mi to robisz? – Jej głos się łamie.

Czuję ucisk w klatce piersiowej. Brakuje mi tchu, więc rozluźniam krawat i zrzucam z siebie marynarkę.

– Doszedłem do wniosku, że muszę od nowa zaznaczyć nieprzekraczalne granice. To tutaj to nie jest randka, a my nie jesteśmy parą zakochanych. Dlatego powtarzam po raz setny: nie wyobrażaj sobie za dużo, do kurwy nędzy! – Walę pięścią w ten tęczowo przyozdobiony stół. Brakuje jeszcze tylko konfetti z serduszek rozsypanych w korytarzu i pary łabędzi dyndającej na żyrandolu pod sufitem.

Elizabeth prostuje dumnie plecy.

– Jak sobie życzysz. – Zdmuchuje świece jedną za drugą.

– I to już wszystko?

Fiołkowe tęczówki nabierają beznamiętnego wyrazu.

– A czego byś chciał? – Pieści kciukiem mój policzek. – Łez? Błagań? Krzyku? Histerii? No, czego?

Uśmiecham się. Gierek ciągnie dalszy. Obraziła się i oczekuje moich przeprosin. Błagań o wybaczenie.

– Po prostu nie wciągaj mnie więcej w te miłosne fanaberie – oznajmiam i czuję, jak jej małe szpony wbijają mi się w skórę w przyływie złości.

– Sądzisz, że... – Znosi się śmiechem. – Ty myślisz, że ja to robię wiedziona uczuciem? Bo się w tobie zakochuję albo żyję złudzeniem, że ty zakochasz się we mnie? – Potrząsa głową, burząc swój misterny kok i uwalniając kilka niesfornych kosmyków.

Przyglądam jej się. Zniszczona fryzura i szykowna kreacja to znacznie mniej niż prawdziwe szkody, które chowa w swoim wnętrzu.

– A nie?

– Wiesz coś o miłości? Cokolwiek? Choćby z dziecięcych bajek?

Marszczę czoło w zaskoczeniu.

Poważnie mnie o to pyta? Kiedy inni rodzice czytali swoim kilkuletnim dzieciom bajki o zaklętym królestwie, mój ojciec kroił mnie na kawałki i uczył, że gdziekolwiek bym nie poszedł, taka rzeczywistość i tak mnie odnajdzie.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

Elizabeth opuszcza dłonie na mój kark i poprawia kołnierz mojej koszuli.

– Gdybyś miał jakiegokolwiek pojęcie na temat miłości... choćby znikomą namiastkę, to nie wątpiłbyś, że się w tobie nie zakochuję.

– Dlaczego?

Przysuwa się bliżej. Nasze usta dzieli mniej niż milimetr odległości.

– Ponieważ ja cię nienawidzę, Logan.

Czuję ciepło jej warg przy każdym wypowiedzanym słowie, choć jej ton jest skuty lodem.

*Ponieważ ja cię nienawidzę, Logan.*

Niewidzialne imadło zaciska się na moich płucach.

– Co powiedziałeś?

Oddała się o kilka kroków tylko po to, by okrążyć stół i zniszczyć ułożone na nim ozdoby, które przed momentem tak starannie układała. Widzę, jak rwie na strzępy kwiat za kwiatem, strąca na podłogę kokardy i serwetki. Kryształowy dzban chwieje się na rogu blatu, ale ona chyba nawet tego nie zauważa pogrążona w szale.

Potem uspokaja się w sekundę i odwraca do mnie.

– Dziękuję ci i przepraszam za... – Ogarnia gestem pomieszczenie i krzywi się z żalem.

– Obiecuję, że nie będę wysuwać żadnych oczekiwań względem rozwoju naszej relacji i doceniam to, co dla mnie zrobiłeś.

Znowu przyjmuje tę swoją idealnie uległą, wyuczoną postawę, a mnie dopada dziwne poczucie klęski.

– Bethany... – Blokuję jej wyjście, zanim choćby zdąży sobie sprawę z tego, co robię.  
– Mam również nadzieję, że nie wpakuje cię to w kłopoty większe, niż byłabym tego warta.  
– Uśmiecha się zimno. – Dobranoc. – Wymija mnie i odchodzi. Słyszę stukanie jej obcasów na schodach, kiedy wbiega na piętro.

Zaciskam palce na framudze, mając ochotę ją złamać.

– Kurwa. Kurwa. Kurwa!!! – wrzeszczę opętany furiją. – Pierdolić to. Pierdolić wszystko.  
– Rozdziera mnie tak potężna potrzeba niszczenia, że nie umiem już jej zatrzymać. Rzucam się w kierunku stołu i rozpieprzam wszystko, co jeszcze zostało nietknięte. Doszczętnie. Szarpię za szkarłatny obrus i zrywam go ze stołu, sprawiając, że cała zastawa pęka pokruszona w drobny mak.

Nic mnie nie obchodzi, że zraniłem jej uczucia. Pierdolić jej ból. Nigdy nie zadałem jej prawdziwego. Nigdy nie zrobiłem jej krzywdy. Dałem jej więcej, niż dostałaby od większości facetów rządzących podziemiem, ale ona tego nie docenia. Chce więcej i nie spocznie, dopóki nie będę jej marionetką.

Walę pięścią w ścianę. Raz za razem.

Żadnej miłości.

– Sądząc po tym, że jadalnia wygląda, jakby przeszedł przez nią sztorm, chyba kazałeś jej odejść  
– słyszę gdzieś za plecami głos Toma. – To jak?

– Sprawilem, że sama ode mnie odejdzie.

I dobrze. Bo taki był plan. Bethany nie może tu zostać. Musi zniknąć, zanim zrobi się groźnie, a jednak...

Nigdy nie czułem się większym potworem niż teraz.

Wchodzę na piętro, zostawiając za sobą wołanie Toma, i przystaję przy drzwiach jej sypialni.

Nie mogę tego naprawić. Nie mogę jej dać tego, czego ona chce. Nie tylko dlatego, że od dawna nie jestem już zdolny do kochania.

Nie chcę miłości. Nie tutaj. Nie w tym świecie. Zważywszy na to, kim jestem, wolałbym umrzeć niż otworzyć serce.

A jednak nie mogę się zmusić, by odejść od jej pieprzonych drzwi. Bo już nigdy nie będę bliżej niej, niż jestem w tej ostatniej chwili.

## Rozdział DWUDZIESTY TRZECI

### *Rozstanie i dalsze losy*

Żaden pieprzony trening nie jest w stanie przywrócić równowagi w mojej psychice, ale to właściwie nic dziwnego, skoro jestem takim pokręconym pojebem. Mam wrażenie, że w moim ciele ścierają się dwie skrajnie różne, ale równie porąbane istoty. Rozrzucone hantle, walające się wzdłuż sali materace, dziury w ścianach po nabojach i moich pięściach najlepiej oddają, jak kurewsko znakomicie dają sobie radę z tą sytuacją.

Wcześniej świadomość zbliżającej się wojny napawałaby mnie mroczną radością. Tylko ten, kto brał udział w choć jednej z nich, może pojąć, jak niezwykle łatwo się od nich uzależnić. Chcesz tam wracać mimo świadomości, że możesz zginąć. Fascynuje cię to, zwywa, prawie hipnotyzuje.

A jednak to było wcześniej. Przed... nią.

– Co ona tu jeszcze robi? Dawno powinno jej tu nie być. – Marudny głos Toma dobiega mnie, gdy tylko wchodzi na salę.

Wciąż walę pięściami w worek treningowy, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

Nie zamierzam się przed nikim spowiadać, ale wiem, że będzie mnie tropił godzinami, jeśli nic mu nie odpowiem.

– Pocieszałem ją. Bała się ojca.

Tom przechodzi powolnym krokiem na drugą stronę worka i uderza go w rytmie identycznym do mojego. Zdwojona siła ciosów sprawia, że łańcuchy utrzymujące worek w powietrzu zaczynają groźnie skrzypieć.

– Od początku wiedzieliśmy, że jest skurwielem podobnym do nas, a ty miałeś trzymać się planu i pozbyć stąd Elizabeth – mówi, jednocześnie wyprowadzając kopnięcie.

Worek szybuje na mnie niczym przyczajony w trawie tygrys, więc obracam się i blokuję impet natarcia kolanem.

Zaprosiłem jej ojca, sądząc, że Bethany przynajmniej trochę ucieszy się z perspektywy powrotu do domu. Miałem zamiar oddać ją Jackowi po tej cholernej kolacji, tymczasem on potraktował ją jak śmieć, a ona... tak się bała.

– Nie widziałeś jej. Była przerażona. Musiał robić jej krzywdę i jeśli ją do niego odeślę, znów może ją skrzywdzić.

– A jeśli pozwolisz jej tu zostać, może umrzeć – wytyka. – Co wybierasz?

Zauważam jego ironiczny uśmiezek, który sprawia, że wściekłość miesza się w moim krwiobiegu z adrenaliną. Boksuje dwukrotnie, używając prawego i lewego sierpowego.

Worek podskakuje i szybuje w bok, dzielając Thomasa prosto w jego wkurwiającą gębę.

– Pozbędę się jej. Nic się nie zmieniło. Potrzebuję tylko właściwej okazji. Okoliczności, które ją odepchną. Kilka pojebanych akcji i sama zechce mnie zostawić – odzywam się i odchodzę do ławki w kącie sali, na której zostawiłem butelkę wody. Biorę kilka łyków, a potem oblewam się resztą, mocząc sobie włosy i tors.

– Może, ale wiesz, że musisz to przyspieszyć. Nie możemy zwlekać w nieskończoność.

– Pomysły?

– Zdrada. Na jej oczach.

Odgarniam mokre kosmyki z czoła. Mięśnie mnie pieką, a ja upajam się tym wrażeniem. Mimo kilku godzin treningu prawie nie czuję się zmęczony. Jestem zbyt pobudzony. Złość i setka innych pochrzanionych emocji krążą mi w żyłach.

– To ją zniszczy.

I nie jestem pewien, czy wystarczy. Jakiś czas temu Elizabeth była gotowa pogodzić się z moją niewiernością.

– W takim razie wyświadczyć jej przysługę i sam ją zabij. – Trąca mnie barkiem w ramię, kiedy

zmierza do wyjścia. – To będzie lepsze niż śmierć z łap Torano – dodaje.

Kurwa mać!

Zaciskam palce w pięści, naciągając skaleczenia i otarcia na kostkach. Boksowanie w rękawicach nie przynosiło efektów, więc pozbyłem się ich w trakcie. Ból zwykle zapewniał mi rozproszenie, ale teraz żadna fizyczna rana nie jest w stanie stłumić...

Tego czegoś.

– Załatw mi jakąś dziwkę – nakazuję. – Mam plan.

Tom przekrzywia głowę. Oczy mu świecą.

– Już załatwiłem. Czeka w twojej sypialni. – Wyszczera się. – Baw się ostro.

Cwany sukinsyn. I może ma rację, może solidne rżnięcie jest tym, czego mi trzeba. Jeszcze nie tak dawno każdej nocy pieprzyłem się z inną i uważałem się za największego szczęściarza w cholernym kosmosie. Piękne kobiety spełniające każde moje życzenie, miliony dolarów na kontach i trwoga na twarzy każdego, kto przypadkiem mijał mnie w ciemnym zaułku.

Oto czym jestem. Oto czego chcę.

– Przyślij tam Bethany za kilka minut. – Wbiegam na schody i kieruję się do swojej sypialni. Trzask drzwi sprawia, że rozłożona na moim łóżku prostytutka natychmiast podrywa się z materaca i staje na baczność.

– Panie Roth, co mogę dla pana...?

– Rozbieraj się – przerywam jej, a sam zrywam z siebie wilgotny, przyklejony do ciała podkoszulek.

Kiedy koncentruję wzrok na striptizerce, od razu ją rozpoznaję. Ruda laska z niebywałym talentem do obciążania. Jedna z moich ulubionych. Zielone oczy, ogniste loki, opalona cera i trochę zmysłowej koronki. Wszystko, co kiedyś mnie przyciągało.

– Z przyjemnością. – Unosi swoje obsypane brokatem wargi w uśmiechu.

Podchodzę do barku i rozlewam alkohol do dwóch szklanek.

– Zdejmij wszystko – żądam. – Bierz. – Podaję jej szkło z brandy.

– Wyśmienita. – Robiąc z tego erotyczny pokaz, zwilża usta językiem. – Chcesz trochę? – pyta i wylewa kilka kropel trunku na swoje cycy.

– Tańcz i wykonuj moje polecenia. – Podchodzę do łóżka i przysiadam na brzegu. – Za chwilę ktoś do nas dołączy. Powinnaś wtedy sprawiać wrażenie napalonej i gotowej na ostre rżnięcie. – Wychylam swoją porcję w dwóch łykach.

Ruda dziwka zbliża się, kołyszając biodrami.

– Jestem napalona i gotowa na ostre rżnięcie. – Dotyka swoich obnażonych sutków, w których tkwią kolczyki z niewielkimi diamentami. Lub raczej podróbkami. – Możesz sprawdzić, jeśli chcesz.

Podróbka. Kopia. Falsyfikat.

Tym właśnie jest dla mnie ta dupa. Marnym zastępstwem oryginału.

– Podejź tu – nakazuję. – Wejź na łóżko i zacznij mnie rozbierać. Powoli. Nie przerywaj tańca. – Opadam na plecy i pozwalam jej się dotknąć.

– Wedle życzenia. – Neonowymi paznokciami drapie moją klatkę piersiową. Jej brokatowe wargi przyciskają się do mięśni na moim brzuchu, a palce dosięgają sprzączki paska.

Właśnie wtedy słyszę echo odbijających się o marmurową podłogę szpilek.

Bethany.

– Mmm – mrużę ochryple, wplątując palce w rude włosy i popycham jej głowę niżej. – Jesteś mokra?

Drzwi otwierają się gwałtownie, dając mi gwarancję, że moje ostatnie słowa dotarły do Elizabeth.

– Logan, co...? – Zamiera w progu.

Zmuszam się do uśmiechu. Takiego, którym częstuję wrogów na sekundę przed poderżnięciem im gardła.

– Elizabeth. Wejź – zachęcam.

Nie rusza się. Jej długie rzęsy trzepoczą bardzo szybko. Minę ma zdezorientowaną, gdy wpatruje się siedzącą na mnie okrakiem nagą kobietę.

– Co się dzieje? Co ty... robisz? – jąka się.

– Dołącz do nas – powtarzam. – Dopiero zaczęliśmy zabawę i pomyślałem, że może chciałabyś wziąć w niej udział. Co ty na to? – Z rozmysłem pilnuję, by brzmieć na podekscytowanego tym sprośnym pomysłem. Poklepuję satynową pościel.

Ruda, jak przystało na profesjonalną dziwkę, nie przerywa swojego zadania. Rozpina mi klamrę i rozporek, a potem zaczyna się o mnie ocierać i jęczeć niczym kotka w rui.

Bethany cofa się tak gwałtownie, że aż uderza plecami o ścianę. Przez chwilę wydaje się zamroczona.

– Zamierzasz... – Przełyka ciężko ślinę. – Zamierzasz uprawiać z nią seks?

– Z wami obiema, jeśli chcesz. – Zaciskam palce na żebrach striptizerki, nie spuszczać spojrzenia z Elizabeth. – Fantazjowałeś kiedyś o trójkacie? – dociekam.

– Dlaczego...? – Zatyka dłonią usta, jak gdyby powstrzymywała się od wymiotów. – Nie rozumiem.

Tym lepiej dla ciebie, kochanie.

Chwytam prostytutkę za kark i zmuszam ją szarpnięciem do uniesienia się. Potem napieram na jej plecy, aż jej brodawki znajdują się tuż przy mojej twarzy. Wysuwam język i obwodzę je w leniwym tempie, a potem zaczynam ssać, wiedząc, że Elizabeth nie będzie w stanie opuścić powiek, by odciąć się od tego pojebanego obrazu.

– Staram się urozmaicić nasze łóżkowe życie. Nie lubię rutyny.

Ruda wygina się w łuk, dociskając się do mnie cycami i ponownie zaczyna się poruszać. Jej łechtaczka osuwa się o mojego fiuta przez materiał bokserek. W górę i w dół. Wzdycha zachwycona i odrzuca włosy na łopatki.

Bethany w końcu wbija wzrok w swoje buty.

– Ale mówiłeś...

Że będziesz mi wierny. Przysięgałem jej to.

Dostrzegam, jak bardzo drży jej podbródek, gdy stoi tam, miętoląc materiał swojej bluzki. Nie ma pojęcia, co zrobić. Jak się zachować.

I właśnie w tym momencie ruda obejmuje palcami mojego penisa. W pierwszej chwili mam ochotę się wyrwać i ją odtrącić, ale pozostaję niewzruszony.

– Wierność? Nie muszę wkładać w nią kutasa, jeśli nie chcesz. – Mrugam zawadiacko w stronę Bethany. – Nie zrobię tego, jeśli ty mi obciągniesz. Przy niej – oznajmiam.

– Czyli... mam wybierać? Dochowasz mi wierności, jeśli pozwolę się poniżyć, albo mnie zdradzisz i...

– Wybieraj.

Fiołkowe tęczówki ciskają błyskawice.

– Proszę bardzo. Pieprz się z nią do woli. – Odwraca się i łapie za klamkę. – Nic mnie to nie obchodzi.

– Nie wychodź. – Przybieram władczy ton.

– Słucham? – Jest kompletnie zagubiona. Jej bezbronność wobec tej sytuacji uzmysławia mi, że nie spodziewała się, że mogę ją skrzywdzić w ten sposób. Zaufała mi.

Kurwa. Zrób to. Musisz odrzec ją z godności, żeby ją uratować.

– Nie masz prawa stąd wychodzić. Nakazuję ci zostać – przemawiam. – Wyjdź, a odeślę cię do ojca.

Bethany zachłystuje się. Pojedyncza łza wymyka jej się i spływa po policzku. Cały jej ból wyłania się na powierzchnię mimo tego lodu, którym zwykle tak perfekcyjnie się osłania.

– Za co mnie tak karzesz? Co zrobiłam? Nie wiem... – Łka. – Kilka dni temu przecież... broniłeś mnie przed ojcem, zwierzyłam ci się, zaufałam, a teraz grozisz mi, że...

– Jeśli nie chcesz mnie zadowolić, ona cię wyręczy, ale ty będziesz patrzeć – wtrącam, zanim całkiem się rozplacze, a ja zacznę pełznąć za nią na kolanach i błagać o wybaczenie.

– Mam patrzeć, jak ona... i ty...

– W porządku. Sam zdecyduję. – Wymierzam tancerce klapsa w pośladek, na co ta zanosi się



chichotem. A potem wreszcie zrzucam ją z siebie i wstaję. – Masz rację. Tak bardzo chciałaś wierności. Zależało ci na niej, a ja ci ją obiecałem. Klękaj.

Bethany garbi się lekko.

– Co? – Spazm wstrząsa jej ciałem.

Przyciągam ją do siebie, a potem wpijam się w jej opuchnięte od nerwowego przygryzania wargi. I całuję. Bezwzględnie. Bez uczuć. Władczo. Tak jakbym odbierał zdobyte trofeum, które mi się należy. Zawłaszczając swój nowy łup.

– Klękaj. Już – szepczę, oblizując kontur jej ust. – Chcę cię na kolanach. Zaraz sprawię, że będziesz dla mnie bardzo, bardzo wilgotna. – Jedno ramię zahaczam wokół jej talii, a drugim wiodę w dół. Wsuwam palce pod skraj jej spódnicy i wyżej. Kiedy sięgam do jej bielizny, cała się spina.

A potem opuszcza powieki, a gdy ponownie je uchyla, wydaje się odległa. I obca.

Złamana.

– W porządku. Zrób to – mówi.

Nie...

– Nie chcesz tego. – Wbijam palce w jej skórę. – Odmów mi.

Odmów i odejź. Zostaw mnie, tak jak na to zasługuję.

Zamiast tego Elizabeth osuwa się na kolana.

– Pieprz moje usta. – Jej dłoń pieści delikatnie mojego fiuta. – Nie przeszkadza mi publika. – Zerka w stronę leżącej w prowokującej pozie dziwki i uśmiecha się.

– Nie...

Nim zdążę dokończyć, zamyka wargi na koronie mojego kutasa i zaczyna ją ssać. Mocno, bezlitośnie. Jak gdyby wyładowywała na mnie swój gniew. Karała mnie.

– Dla kogo ci stanął? Dla niej czy dla mnie?

– Kurwa, przestań.

Nie słucha. Przesuwa czubkiem języka wzdłuż całej długości trzonu i z powrotem. Doprowadza mnie do pierdolonego szaleństwa w zaledwie kilkanaście sekund. Zalewa mnie fala gorąca i prymitywnego pragnienia.

– Mam przestać? – cmoka. – Jeszcze nie skończyłam, a chcę, żebyś na koniec powiedział mi, czy jestem lepsza, czy gorsza od tej dziwki.

Mam wrażenie, jak gdyby moja pierś tonęła w jakimś żrącym kwasie, gdy na nią patrzę.

– Elizabeth...

Wsuwa mnie głębiej w usta i porusza głową w górę i w dół. Raz za razem. Jej język owija się wokół mojego wzvodu, gdy wsuwa mnie sobie niemal do gardła.

– Dobrze ci? – Odsuwa się znienacka, sprawiając, że doznaję uczucia podobnego do porażenia prądem. W chuj nieprzyjemnego. – Lubisz moje usta? Mój język na swoim fiucie? – mruczy.

– Uwielbiam. – Wsuwam rękę w jej włosy z zamiarem powstrzymania jej, jednak nie robię tego, gdy po raz kolejny zaczyna ssać mojego fiuta. – Nie mogę... Ja pierdolę, jestem takim skurwielem, Bethany.

– Wiem.

Nie, płomyczku, nie masz pojęcia.

Wypycham biodra, napierając na jej wargi, a potem narzucam jej ostry, gwałtowny rytm, zatracając się w rozkoszy, jaką mi oferuje.

– Najgorszym. Zasługuję, żeby płonąć w piekle – warczę. – Dla ciebie mógłbym. Kurwa, kurwa, kurwa.

Nie powinienem jej tego robić. Nie powinienem upokarzać jej w ten sposób. Cieszyć się jej ciepłem, ale dociera do mnie, że to ostatni raz, kiedy mogę nazwać ją moją i już nie potrafię się zatrzymać. Wbijam się w nią, dając upust targającej mną wściekłości, a potem dochodzę.

Przez moment nic do mnie nie dociera. Prawie zwala mnie z nóg, a wtedy ona wstaje.

– Skończyłam. Koniec. – Poprawia spódnicę, odwraca się i wybiega z mojej sypialni.

– Musimy porozmawiać! – wołam za nią, a potem zwracam się do striptizerki. – Znikaj. – Pospiesznie wkładam na siebie jakieś spodnie i koszulę, a potem schodzę do salonu, gdzie Bethany

stoi sztywno niczym piękny posąg i wpatruje się w ogień płonący w kominku.

Nie powinienem tu za nią przychodzić. Udało mi się ją odepchnąć, ale... Nawet nie wiem, jak mógłbym za nią nie pójść.

– Odezdziesz się do mnie wreszcie? – podnosi głos. – Zdajesz sobie sprawę, że zachowujesz się jak ktoś nie do końca poczytalny?

Tak też się czuję. Zwariowałem dla kobiety, której nie wolno mi mieć.

– Nie możemy być razem. Nie możemy tego ciągnąć. – Zachłannie błędę po niej wzrokiem, zanim stracę ją z oczu na wieki. – Nie – powtarzam bardziej po to, żeby przekonać samego siebie.

Nie.

Pozostaje nam tylko pożegnanie.

## Rozdział DWUDZIESTY CZWARTY

Zgniatam list w dłoni, nie mogąc znaleźć w sobie siły, żeby go ostatecznie spalić. Zniszczyć. Powiniennem o nim zapomnieć, a czytałem go już tak wiele razy, że mógłbym go cytować z pamięci.

*Przepraszam, że nie umiałam być taka, jaką byś mnie chciał – napisała.*

Ja pierdołę. Poważnie?

*Naprawdę chciałam być tym, czego ci potrzeba, ale widać, nie potrafię. Chciałam też mieć nadzieję, że kiedyś, za kilka lat, przynajmniej na chwilę przypomnisz sobie o mnie. Od czasu do czasu. Wiem, że nie powinnam pisać tych wszystkich głupich rzeczy, ale już nigdy się nie zobaczymy, więc nie potrafię się powstrzymać, a ci, którzy chcieliby mnie pamiętać, już nie żyją.*

Przestań, kurwa. Przestań, pieprzyć to gówno.

– Chuj mnie obchodzi, że nie możecie się tam dostać. Znajdź sposób, żeby tam wejść albo zrobię to za ciebie – warczę wkurwiony do telefonu, chociaż dociera do mnie tylko co trzecie słowo rozmówcy.

– Ale lepiej, żebyś nie okazał się dla mnie bezużytecznym.

– Załatwię to – odpowiada Mario. Zanim się rozłącza, dociera do mnie jeszcze wiązanka przekleństw w różnych językach.

Trzaskam komórką o biurko akurat w momencie, gdy drzwi od gabinetu się otwierają, a do środka wparowuje Thomas.

– Widzę, że humor ci dopisuje.

Opadam z powrotem na fotel i przeciągam palcami po włosach.

Banda nieudaczników. Niczego nie potrafią załatwić. Więcej porządku miałbym chyba z tresowanymi gołębiami. Przynajmniej mógłby osrać moich wrogów na komendę.

– Nie mam czasu na twoje głupie docinki – wzdycham. – Co tu robisz? Miałaś jej pilnować. Dwadzieścia cztery na dobę.

Zaraz po tym, jak Bethany opuściła mój dom, zleciłem Thomasowi, by miał na nią oko. Muszę mieć kogoś, kto będzie strzegł jej nawet za cenę własnego życia, zwłaszcza że nie sądzę, by Torano ot tak o niej zapomniał, a jej ojciec jest kolejnym pojebem na mojej liście. A teraz ten dupek Tom, któremu zaufałem, sterczy tutaj, zamiast być przy niej. W każdej sekundzie.

Dokładnie tak jak ja sam chciałbym być.

– Prehistoryczny T-rex był bardziej przyjazny od ciebie. Odkąd ta mała odeszła, nieźle ci odpieprza. – Thomas rozsiada się po drugiej stronie biurka i podwija rękawy swojej czarnej katany.

– Czego chcesz? – pytam.

Nie zamierzam wchodzić z nim w potyczki słowne. Zwłaszcza że ma rację, bo ja najwyraźniej powoli tracę rozum.

– Jestem tu, bo mam dla ciebie informacje. Powinieneś o tym wiedzieć, ale wołałbym, żebyś odłożył garotę, zanim ci o tym powiem. – Zerka na moją broń stworzoną do wyciskania z ofiar ostatniego tchnienia, którą bawiłem się jeszcze kilka minut temu. – Chodzi o nią – dodaje.

Sztywnieję.

– O nią? Co się stało? Jest bezpieczna?

– Jej ojciec godzinę temu spotkał się z Ryanem Torano – zaczyna niepewnie. – Podłożyłem im podsłuch i... – Milknie. Przez jego twarz przemyka tajemniczy grymas.

Krew zaczyna parzyć mnie w żyłach.

– I co? Mów, do kurwy nędzy.

– Torano dobił z nim targu. Chce twojej małej dla siebie – wyjaśnia. – I dostanie ją. Jack się zgodził oddać mu córkę, by teraz to on ją sobie przywłaszczył.

Podrywam się z siedzenia owładnięty gniewem.

– Skurwieli – syczę, strącając z drewnianego blatu sterty papieru. – Zabiję go.

Zabiję. Zatłukę. Oskalpuję. Rozerwę go, kurwa, na strzępy. I to z radością.

Nim odzyskuję panowanie nad sobą, moje biuro wygląda, jakby przeszło przez nie tsunami

stulecia. Białe kartki fruwały w powietrzu jak śnieg i opadały na podłogę, wahadło Newtona leży rozwalone u moich stóp, długopisy i pióra turlają się po kamiennych kafelkach, a niedopita butelka burbona leży roztrzaskana na tysiące połyskujących opiłków.

– Ta transakcja...

– Się nie odbędzie. Prędzej skręcę im obu karki, niż pozwolę Toranowi tknąć Elizabeth – wtrącam. Podchodzę do okien, nie mogąc pozostać w bezruchu. Pięści same mi się zaciskają, skóra mrowi mnie od potrzeby rozładowania nagromadzonej agresji.

– Powinienem był przewidzieć, że Torano może odpiardolić coś takiego. To ja sugerowałem ci, żebyś się jej pozbył, żeby odsunąć od niej tego pojeba – mówi Tom.

– Sam włożyłem mu ją w jego brudne łapy.

Sukinsyny. Jak już ich dorwę, będą błagać, bym odesłał ich z powrotem do piekła.

– Nie twoja wina.

Kręcę głową. A potem wpadam w kolejny napad szału. Nie myślę. Mój umysł jest spowity mgłą furii, która tęskni za smakiem i aromatem świeżej krwi.

Zrywam ze ściany jeden obraz za drugim. Potem walę w metalową półkę przytwierdzoną nieopodal. Kiedy wreszcie szafka zaczyna się osuwać, cały stojący na niej alkohol wylewa się na ziemię.

– Moja. Od tamtego spotkania było oczywiste, że jej pragnie i nie cofnie się przed niczym, żeby ją mieć – dyszę, szarpiąc za supeł krawata. – A kiedy pokazałem mu, że jest dla mnie ważna, tylko podsyciłem jego chore pragnienie.

Nie mogę. Nie mogę tego znieść. To ja... Wszystko przeze mnie.

– Zdobycie jej traktuje jak podbicie twojego terytorium – stwierdza Tom, wstając. – Więc... on nie wypowie nam już wojny. Ma to, czego chce.

– W takim razie to my mu ją wypowiemy.

– Bałem się, że to powiesz.

Uśmiecham się, czując metaliczny posmak na języku.

Pragnę zemsty. Chcę zrujnować cały świat, obrócić w zgliszcza. Tylko po to, żeby do niej dotrzeć. Żeby ją odzyskać.

Jest moja.

– Torano jest już martwy – chrypię, wyciągając nóż z pokrowca przypiętego pod marynarką. Obserwuję, jak srebrne ostrze mieni się w gasnącym świetle dnia. Niebo zachmurza się coraz mocniej. Ciemnieje, jak gdyby wiedziało.

Wyczuwało nadchodzące niebezpieczeństwo.

– Świetna wiadomość. – Tom wpycha ręce do kieszeni jeansów. – Powiem chłopakom, żeby zaczęli wymyślać epitafium, które wyryję mu na grobie.

Wbijam czubek sztyletu w parapet i obracam, wydrążając dziurę w gładkiej powierzchni. Tak samo, jak będę już niedługo wycinał rany w ciele Ryana Torano.

– Nie mogę uwierzyć, że poszedł do jej ojca.

– To od początku była ryzykowna sytuacja, musieliśmy coś zrobić, żeby ją chronić. – Tom obraca się wokół jak nadpobudliwy czterolatek. – Torano po prostu nas przechytrzył. – W jego spojrzeniu tli się iskra.

Taka sama, jaka w tej chwili skwierczy w moim wnętrzu.

– I zdechnie za to. – Uderzam palcami o szybę, z trudem powstrzymując się przed jej stłuczeniem.

– Co robimy?

– Idę po nią.

Teraz.

Gdy tylko te słowa opuszczają moje usta, uruchamia się we mnie tryb łowcy. Okrutnego, zachłannego. Podekscytowanego.

Elizabeth wróci tu, gdzie jej miejsce. I zostanie. Na zawsze. Sprawię, że będzie mogła deptać po szczątkach Torano. I każdego, kto kiedykolwiek ośmieli się ją skrzywdzić.

Tom staje mi na drodze i popycha do tyłu.

– Zaczekaj. Nie działaj pochopnie. Daj mi obmyślić jakiś plan.

– Kiedy ma ją zabrać?

Krzywi się.

– Nie jestem pewien.

No to postanowione. Nie zamierzam zwlekać ani minuty dłużej. Coś pierwotnego głęboko we mnie, co w niewytłumaczalny sposób dostrajało się zawsze do Bethany, pilnowało jej oddechów, łowiło jej uśmiechy, łaknęło jej bliskości, teraz każe mi po nią iść.

– Idę – powtarzam i wymijam go.

– Ale...

– Wiesz, co jej zrobi, jeśli ją dostanie. Nienawidzi mnie i wyładuje tę nienawiść na niej – szepczę, a w mój głos wkrada się aż nazbyt wiele rozpaczy. – Jeśli tylko będzie miał okazję... zrobi jej krzywdę.

Ostre szpony przesuwiają się po moim gardle i odcinają na moment dopływ tlenu. Przez moją głowę przemykają wizje. Straszne, wstrętne wizje.

Tortury, gwałty, krzyki. Lista popapranych, chorych kaprysów, które ten pojeb może zechcieć zrobić Bethany, jest długa.

– Rozumiem. – Tom ponuro kiwa głową.

Mój nakręcony, naszpikowany makabrycznymi doświadczeniami umysł nie daje mi odetchnąć.

Patrzę przed siebie i prawie to widzę. Wszystko.

– Nie będzie mogła mu odmówić. Niczego. On ją... – Urywam.

Do mojego umysłu znów napływają wspomnienia naszego ostatniego spotkania. Rozstania.

– *Wkrótce trafisz pod pieczę kogoś innego, bardziej odpowiedniego* – powiedziałem jej wtedy.

Obiecałem.

– *Kiedyś mi za to podziękujesz.*

– *Za to, że bez wahania mnie porzucasz? Że ze mnie rezygnujesz? Że mnie wymieniasz na kogoś, kto będzie bardziej pasował do twojego obrazka? Jak każdy przedtem.*

I jej piękna twarz taka smutna. Zawiedziona.

Miałem się nią opiekować. Troszczyć się o nią, ale zawiodłem i teraz członek jej własnej rodziny sprzedawał ją jak jakiś tani eksponat na licytacji, nie dbając wcale o jej uczucia i godność.

– Chodźmy. – Głos Thomasa przywołuje mnie do rzeczywistości. – Nie protestuj, bo mam to w dupie. Idę z tobą. Nie mam jeszcze ochoty na to, żebyś rozpętał koniec świata – dodaje i wmaszerowuje obok mnie na korytarz.

Chcę tam pójść sam. To moja rola i moja kobieta, ale prawda jest taka, że nie jestem w tej chwili zdolny do żadnych rozsądnych odruchów. Działam jak prymitywna, zbyt długo głodzona bestia...

\* \* \*

– Gdzie ona jest? – pytam, wdzierając się do salonu w domu Jacka Hallwella.

Jego goryle natychmiast stają w czujnej pozycji gotowej do ataku, a ja prawie się modlę, żeby okazali się na tyle głupi i mnie sprowokowali.

– Powinieneś zapowiedzieć swoją wizytę – mówi Jack tytułem wstępu. Powoli podnosi się z wielkiego fotela ustawionego obok kominka. – Ciesz się, że mam cię za przyjaciela i nie potraktowałem tego jak wrogiego wtargnięcia. – Odkłada gazetę, którą czytał jeszcze przed momentem.

Przechylam lekko głowę.

– A ty ciesz się, że nie rozplątałem ci gardła na pół na powitanie. – Posyłam mu złowrogi uśmiech. – Powtarzam pytanie. Gdzie jest Elizabeth?

– Na górze. Odpoczywa po treningu – odpowiada.

Na słowo trening wszystkie moje zmysły zaczynają się niemal iskrzyć. Elizabeth tyle razy wspominała o jego sekretnych treningach, że to nie może oznaczać nic dobrego.

– Treningu? Co ty jej zrobiłeś? Bo po reakcji Bethany na to słowo wnioskuje, że kryje coś pojebanego.

Jack wzrusza ramionami. Przechadza się wzdłuż długiego stołu, sunąc palcami po ozłoconym blacie.

– To moja córka – przybiera zuchwały ton. – A ty jesteś w moim domu. Żądam szacunku.

Nie wytrzymuję. Chwytam go za kłapy marynarki.

– Jak śmiałeś ją sprzedać, śmieciu? – syczę.

W tej samej sekundzie rozlegają się dźwięki odbezpieczanych broni. Jeden za drugim. Zauważam, że dwaj goryle Jacka mierzą do mnie z pistoletów, a stojący za moimi plecami Tom utrzymuje lufy obu swoich zabaweczek dokładnie naprzeciw ich pistoletów. Przygotowany do strzału.

Atmosfera gęstnieje. Roznosi charakterystyczny swąd wsiąkający w ściany eleganckiego salonu. Tyle tu drogocennych rzeźb, antycznych waz. Miło byłoby je wszystkie rozpiardolić.

– Odesłałeś ją. Stała się zatem towarem do wzięcia – odzywa się Jack.

Wbijam w niego wzrok.

– Zabieram ją z powrotem.

– W zamian za co? – docieka, kiedy stoję na pierwszym stopniu schodów prowadzących na piętro do jej sypialni. Oglądam się na niego. Facet najwyraźniej chce umrzeć.

– W zamian za to, że pozwolę ci oddychać – warczę.

Nogi same niosą mnie do jej pokoju. Kiedy łapię za klamkę i popycham drzwi, ogarnia mnie zabawna mieszanka zniecierpliwienia i obaw.

Zaraz ją zobaczę.

– Bethany? – wołam ją, rozglądając się po wnętrzu. – Betha... Nie. – Przerażony szept zamiera mi na ustach, kiedy w końcu ją zauważam.

Nie. Nie. Nie.

Padam na kolana i biorę jej zupełnie bezwładne ciało w ramiona. Bethany... Ona... Jest cała we krwi. Szkarłatna kałuża moczy mi ubrania i dłonie. Mam wrażenie, że wsiąka mi w skórę. Dokładnie tak jak kiedyś.

– Co jest? – Do środka wchodzi Tom, ale ledwo go widzę. Obraz przed moimi oczami robi się zamazany. – Żyje?

Zauważam długie cięcia na jej nadgarstkach, z których wciąż wypływa krew. Całe strumienie krwi.

– Elizabeth? Otwórz oczy. Słyszysz? – Potrząsam nią. – Otwieraj, kurwa. – Głos mi się załamuje.

– Logan... – Jej powieki drgają, a potem podnosi je z trudem i spogląda na mnie nieprzytomnymi, fiołkowymi oczami.

Przeszywa mnie dreszcz. Już kiedyś widziałem takie spojrzenie. U mojej matki tuż przed tym, zanim skołała.

Nie. Proszę. Kurwa, nie. To się nie może dziać.

– Jestem tu, kochanie – szepczę, zgarniając jej włosy z białych policzków. – Naprawię to. Naprawię wszystko, nie bój się. – Całuję jej sine wargi, a potem próbuję jakoś zatamować upływ krwi.

– Proszę, pozwól mi umrzeć – chrypi ledwie słyszalnie. – Zakochałam się w tobie, a to oznacza, że jeśli przeżyję i tak będziesz mnie powoli zabijał do końca moich dni. – Jej powieki ponownie opadają, a ja nie mogę znaleźć jej pulsu. Nie mogę. Błądzą desperacko opuszkami po jej szyi, ale nie wyczuwam ani jednego uderzenia.

Nic.

– Nie. Nie. Nie! – krzyczę, ujmując w zakrwawione dłonie jej twarz. – Nie umieraj. Oddychaj. Błagam, oddychaj.

Mam wrażenie... Moje czarne, martwe serce właśnie rozpada się na kawałki. Czuję ból. Wszędzie. Obezwładniający. Ogłuszający.

Nie mogę cię stracić. Nie ciebie...

Bo cię kocham.

## Rozdział DWUDZIESTY PIĄTY

Mijały dni, Bethany powoli wracała do zdrowia, a ja stopniowo odzyskiwałem jej zaufanie. Ostatni tydzień spędziłem na zadowalaniu jej. Zaspokajałem każdą jej potrzebę. Nie tylko tę seksualną, choć te najchętniej. Wszyscy patrzyli na mnie jak na wariata, co wcale mnie nie dziwi, bo często się tak zachowywałem. Na przykład teraz.

Bawię się w pierdoloną gosposię, choć z moimi umiejętnościami kulinarnymi mógłbym pewnie nawet przypalić wodę na herbatę.

Kto by pomyślał, że robienie kanapek jest takie skomplikowane.

– Przyszło zaproszenie na bal u Torano – mówi Tom, wchodząc do salonu akurat wtedy, kiedy próbuję ułożyć śniadanie na tacy. – Realizujemy na nim nasz plan?

Rozkojarzony jego pojawieniem się, kłuję się wykałaczką w palec i odrzucam to zdradzieckie narzędzie na blat.

Ma dupek wycucie czasu. Niech to szlag. Chciałem tylko zaserwować Bethany śniadanie do łóżka, jak to bywa w zwykłych związkach, a teraz kiedy Thomas mnie nakrył nie da mi żyć. Będzie wiecznie stroił żarty z tego, jak to kobieta wzrostu ogrodowego krasnala ujarzmiła faceta z temperamentem niedźwiedzia grizzly.

– Dawaj – mówię.

Tom rzuca mi białą kopertę, a ja łapię ją w locie i zaglądam do środka.

– Odzyskasz na dwie minuty swoje jaja i odrobinę koncentracji? – Wskazuje ruchem podbródka na tacę z posiłkiem i niewielką czerwoną różą ułożoną na jednym z talerzyków.

– Odpierdol się. – Wgryzam się w jeden z naleśników, jednocześnie pozdrawiając kumpla środkowym palcem.

– Jesteś pewien, że chcesz ją tam zabrać?

Nie chcę. Gdybym kierował się wyłącznie emocjami, jakie budzi we mnie Elizabeth, najchętniej wysłałbym ją w pierdolone galaktyczne przestworza, byleby mieć pewność, że Torano jej nie tknie, ale logicznie rzecz biorąc...

– Najlepszą metodą na rozdrażnienie szczeniaka jest pomachanie mu upragnioną kością przed nosem – odpowiadam. – Nie będę czekać na atak na jego zasadach. Muszę go wytrącić z równowagi.

Słyszę trzask drzwi na piętrze, a kilka sekund potem...

– Planujesz zakup szczeniaka? – Bethany zbiega po schodach ubrana tylko w białą, nieco przezroczystą koszulę nocną i dopasowany do tego jedwabny szlafrok, który osłania ją zaledwie do połowy uda.

Mrugam, usiłując zrozumieć jej słowa.

– Co?

– Słyszałam, jak mówiłeś o szczeniaczkach – powtarza. – Kupimy sobie jakiegoś? – Rozpływa się w słodkim uśmiechu.

– Chcesz mieć psa?

Tom parska śmiechem na to nieporozumienie, a następnie wyciąga łapę i kradnie z tacy kolejny naleśnik.

– Według wielu badań posiadanie zwierzęcia podnosi poziom endorfin we krwi i pomaga rozładować nagromadzony stres – wylicza. – Choćby ze względu na to przydałaby ci się cała wataha szceniąt. – Podchodzi do mnie, a gdy zauważa, po co właściwie tak rano wymknąłem się z sypialni, na jej twarzy maluje się zachwyt. Zupełnie jakby te głupie nieporadnie przygotowane naleśniki i mały kwiat były spełnieniem jej marzeń.

– I jeden mały, podstępny szkodnik – mamroczę, obejmując ją ramieniem. – Mamy zaproszenie na przyjęcie.

Thomas wygląda jak ktoś z poważną niestrawnością. Wbijam w niego groźne spojrzenie i każę się wynosić. Jego obecność i tak działa mi na nerwy, a kiedy Bethany paraduje przed nim w tym

seksownym stroju, moja złość tylko się nasila.

I zazdrość. Nikt poza mną nie ma prawa jej takiej oglądać.

– Bal maskowy? – czyta na głos zaproszenie. – Na podobnym się poznaliśmy. Pamiętasz?

– Niewiele. Rozproszyła mnie dokuczliwa erekcja wywołana oglądaniem cię w tej seksownej sukni.

Zaplata mi palce na karku i przeczesuje nimi włosy.

– A potem wprowadziłeś mnie prosto w czeluści swojego mrocznego podziemia jak Hades Persefonę – droczy się. – Widzisz. Dowód numer dwa. Brakuje nam Cerbera, żebyśmy mogli w pełni uchościć za tych mitycznych kochanków.

Nabieram odrobinę konfitury na palec i brudzę nią czubek jej nosa.

– Nigdy nie byłeś do końca normalna, prawda?

Marszczy się.

– Nie wspomniałeś, kto organizuje ten bal. – Sztywnieje w moim uścisku, sprawiając, że mroczna bestia w moim wnętrzu nagle staje się czujna i troskliwa.

– Obiecuję, że nic ci się nie stanie.

– Logan, nie możesz go tam zabić.

– Nie zamierzam. – Zlizuję słodką kroplę z jej nosa.

– Jakoś mnie to nie pociesza. – Chichocze i odpycha mnie. – Wiem, że coś knujesz. Wyjaśnij.

– Krzyżuje ręce na piersi, sprawiając, że jej sutki ściągają moje spojrzenie. Stercząc, przebijają się przed cienki materiał, a mnie nachodzi ochota, by ponownie je polizać i ugryźć. Skosztować ich w małych kęsach jeszcze przed śniadaniem.

Albo po, bo byłyby doskonałym deserem.

Nim zdąży zrobić kolejny wdech, podrywam ją z podłogi i sadzam na blacie obok tacy.

– Pocałuj mnie – żądam, wpychając się między jej nogi.

Jej rzęsy opadają, kiedy to usiłuje zgrywać nadąsaną, a nie nakręconą.

Nabieram kolejną odrobinę dżemu na kciuk i rozsmarowuję go wokół jej ust. Potem powoli, nieznośnie powoli obsypuję jej twarz krótkimi pocałunkami, czekając, aż sama straci kontrolę.

– Nie znoszę, kiedy tak... – zaczyna, ale tłumię jej protest, znów wpijając się w jej wargi.

– Logan. – Jej głos przechodzi w szept.

No dalej, maleńka.

Liżę jej usta raz po raz, a potem wdzieram się do środka i pieszczę jej język swoim tak długo, aż Bethany nie jest już w stanie powstrzymać jęku. Jej paznokcie wbijają mi się w barki. Drapie moje plecy, zarazem otaczając mnie udami w pasie i napierając na moją erekcję.

Tak jest, kurwa.

– Uwolnijmy trochę endorfin. – Ocieram się o jej cipkę przez spodnie. – Pragnę cię.

– Jesteś...

Przygryzam płatek jej ucha.

– Twój – dokańczam.

Jej fiołkowe tęczęwki rozbłyskują. Wsuwa dłonie pod materiał mojej rozpiętej koszuli i zrzucą ją na podłogę.

Zdaje się, że czułe słówka są kluczem do rozpalenia jej libido.

– To nie fair, specjalnie wyciągasz najcięższą artylerię przeciwko mnie, żebym tylko ci uległa – narzeka.

– Nie wiem, o czym mówisz. On... wciąż jest w spodniach.

Z jej gardła wyrывa się zduszony śmiech. Przemyka rękoma w dół na mój brzuch i niżej do rozporka, ale go nie rozpina, zamiast tego marszczy brwi.

– Ratlerek – oznajmia.

Zamieram.

– Jaki, kurwa, ratlerek?

Rozciąga lepkie od słodczy usta w uśmiechu.

– Ratlerek byłby twoim idealnym Cerberem.



Nie do wiary. Moje jaja prawie zmieniły się w granaty, które mogą w każdej chwili eksplodować, fiut mi zaraz odpadnie, a ona wciąż rozmyśla o jakimś psie.

Chyba jednak robię coś bardzo nie tak.

– Boże, kobieto. – Chwytam ją za kostki i wyplątuje się spomiędzy jej nóg. – Próbuję zbudować nastrój, a ty...

Układa wargi w dzióbek i potrząsa głową.

– Nie złość się. – Łapie za sprzączkę mojego paska i przyciąga mnie z powrotem.

Wzdycham, kiedy ponownie napiera na mnie biodrami. Kołysze się w przód i w tył doskonale świadoma, że przezywam katusze.

Mała, piękna wiedźma.

– Gadasz o jakimś szczekającym szczurze.

– Już naprawiam nastrój. – Jej ręka obejmuje mojego penisa, a on aż drga pod jej dotykiem.

– Widzisz, wszystko działa – mamrocze triumfalnym tonem.

Coś trzaska w tle. Po chwili orientuję się, że strąciłem solniczkę. Słone kryształki rozsypują się na kamiennych płytkach, układając się w zagadkowe zygzaki. Część soli spada na naleśniki i miesza się z czekoladową polewą.

Śniadanie do kitu.

Ujmuję Bethany za policzki i zmuszam ją, by zerknęła na bałagan, który jest winą jej psotnych paluszków.

– Powinienem cię ukarać – oznajmiam cicho.

Elizabeth kokieteryjnym ruchem rozplątuje supeł szlafroka i pozwala mu opaść na blat.

– Nie mogę się doczekać. – Sięga po ramiączko koszuli nocnej i sekundę później siedzi już tuż obok mnie zupełnie naga.

– Jesteś piękna – chrypię, nie mogąc się powstrzymać. – Szaleję dla ciebie, wiesz? Mam obsesję na twoim punkcie. – Pieszczę opuszkami jej gładką skórę.

– Tak, proszę.

Ogarnia mnie potrzeba, by ją posmakować. Palcami leniwie okrążam jej różowe brodawki, a następnie pochylam się i szczypię je ustami.

– I kiedy takie słowa padają z twoich ust, mam ochotę natychmiast zagrzebać się głęboko w tobie i brać cię całymi godzinami.

Wygina kręgosłup w łuk i wpycha mi piersi głębiej między wargi.

– Chcę tego – dyszy. Potem łapie mnie za dłoń i delikatnie pcha ją sobie między uda.

Zachłystuję się oddechem, gdy wyczuwam, jaka jest dla mnie mokra. Gotowa, by mnie przyjąć.

– Kocham twój zapach, kiedy robisz się podniecona – dyszę, pocierając jej łechtaczkę.

– Pachniesz wtedy tak, że nie mogę wybrać, czy chcę, żebyś doszła na moim języku, czy na moim fiucie. Jej źrenice powiększają się pod wpływem doznawanej rozkoszy, a ona opada plecami na blat.

– To nie wybieraj. – Szarpie mnie za włosy i unosi biodra tak, że jej cipka znajduje się teraz centymetry od mojej twarzy.

– A najbardziej uwielbiam to, jak szybko topnieje twój opór, kiedy cię dotykam. – Wyszczierzam zęby w uśmiechu. – Wiesz, że mógłbym zrobić ci wszystko, a ty byś mnie nie powstrzymała? – Całuję wnętrze jej ud, sprawiając, że wije się pode mną. Kiedy przesuwam nieogolonym policzkiem po jej delikatniejszej skórze, wydaje dźwięk przypominający rozpaczliwe kwilenie.

– Logan.

Dmucham zimnym oddechem na jej wilgotną łechtaczkę, sprawiając, że przeszywa ją spazm. Ogarnia mnie czysto samcze pragnienie. Jej paznokcie szorują po wyspie kuchennej, a ona miota się bezradnie zdana na moją łaskę.

Przygryzam i zasysam skórę na jej udzie, chcąc ją oznaczyć. Serce wali mi jak szalone. Ta kobieta... Ona nie może się nigdy dowiedzieć, jak wiele mógłbym dla niej zrobić.

Że wolałbym umrzeć niż zacerpnąć bez niej choćby jeden oddech.

– Powiedz, że mnie kochasz – domagam się.

– Kocham cię.

W nagrodę opadam ustami na jej cipkę i zaczynam ją lizać. Mocno, bezlitośnie. Długimi, szybkimi pociągnięciami języka, które sprawiają, że za każdym razem, kiedy tylko jej dotykam, jej biodra podrygują. Zaciskam palce na jej żebrach, by ją unieruchomić i kontynuuję karmienie się jej odurzającym podnieceniem. Ssę ją wręcz prymitywnie, chcąc zawłaszczyć dla siebie każdą kroplę jej rozkoszy.

– A ja ciebie – warczę, odrywając się od niej, a potem naprowadzam penisa na jej wejście i zanurzam się w jej ciasnym, ciepłym łonie jednym pchnięciem. Poruszam się równie szybko i ostro, jak chwilę temu ją lizałem. Nie mogę zwolnić, nie potrafię. Przy niej staję się pieprzonym zwierzęciem. Głodnym. Tak bardzo głodnym.

I szalonym.

– Jestem tak blisko – jęczy, wychodząc naprzeciw moim pchnięciom w równie zapalczym rytmie. Nasze ciała uderzają o siebie, kiedy raz po raz wbijam się w jej cipkę. Znowu coś trzaska i się rozbija, ale nie zwracam na to uwagi. Widzę tylko ją.

Jej potargane włosy, lśniące oczy i ciało zroszone potem.

– Czuję. Zaciskasz się na mnie tak zachłannie – syczę. – Poproś, żebym cię pieprzył.

– Pieprz mnie.

Opadam na nią i przygniatam ją do blatu.

– Nie poprosisz o to nikogo innego. Już nigdy – mówię do jej ucha.

– Tylko ciebie. Należę do ciebie. – Owija wokół mnie ramiona i nogi. – Nie zostawiaj mnie.

Czując, że nasze orgazmy zbliżają się jednocześnie, jeszcze bardziej przyspieszam penetrowanie jej wejścia. Czuję, jak zaciska się na mnie, jak pulsuje rozgrzana, niemal ociekająca sokami.

– To jest, kurwa, wspaniałe. – Przygryzam skórę na jej szyi, sprawiając, że krzyczy. Potem przywieram do jej warg swoimi i pieprzę ją, wdzierając się kutasem w jej wnętrze tak długo, aż jej małe szpony zatapiają się w moich barkach i kaleczą skórę do krwi, a ona dochodzi z moim imieniem na ustach.

– Ty i te czułe słówka – mruczy.

Wygląda na cudownie zaspokojoną i szczęśliwą.

– Pitbul – odzywam się w końcu. – Wyłącznie pitbull pasowałby do kogoś takiego jak ja – wyjaśniam, gdy robi zdeorientowaną minę.

Sekundę później w pomieszczeniu rozbrzmiewa jej radosny śmiech.

## Rozdział DWUDZIESTY SZÓSTY

Takie przyjęcia to nic innego jak zbieranina popaprańców. A biorąc pod uwagę, że gdzieś wśród nich włóczy się Tom, trochę się o nich martwię.

Jeszcze bardziej martwię się o Bethany, której wcale nie podoba się uczestniczenie w tym balu i w moim planie.

Rozglądam się po sali, którą rozświetlają dwukolorowe światła. Białe i błękitne snopy światła spadają na parkiet. Bukiety kwiatów niemal wyskakują na mnie z każdego kąta pomieszczenia niczym zjawy w horrorach. Z boku sali siedzi skrzypek, który gra smętną melodię.

– Pięknie dziś wyglądasz. Wspomniałem już o tym? – odzywam się i po raz setny tego wieczora lustruję ją wzrokiem. – Jesteś zjawiskowa.

Bethany założyła na przyjęcie długą ciągnącą się do ziemi suknię w kolorze głębokiej purpury. Jej loki przyozdabiają pasujące do niej kolorem niewielkie kwiaty przypominające lilie.

Każdy facet w tym pomieszczeniu dosłownie pieprzy ją spojrzeniem, a ja marzę, by upuścić im krwi i powykręcać karki. Może to jednak nie Tom jest głównym zagrożeniem.

Zapowiada się, kurwa, wyborna zabawa.

– Skąd o tym wiesz? To bez sensu, możesz się przecież mylić – mruczy. Jest niespokojna i od godziny nie trajkocze o niczym innym niż o moim tajnym planie na dzisiejszą noc.

– W kwestii tego, że jesteś zjawiskowa?

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Nie drocz się ze mną. – Ciemne oczy zwężają się w szparki. – Nie podoba mi się to wszystko. – Porywa z tacy niesionej przez kelnera dwa kieliszki szampana. Odruchowo wyciągam rękę po jeden, ale ona ją odtrąca i upija po łyku alkoholu z każdej lampki.

Z trudem zachowuję neutralny wyraz twarzy. Obserwuje mnie zbyt wielu wrogów.

– Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało – szepczę, wiodąc kciukiem wzdłuż jej kręgosłupa. Strategiczne wycięcie w sukience pozwala mi do woli pieścić jej nagie plecy.

– Martwię się o ciebie, a nie o siebie.

– Więc jesteś szalona – zaczynam. – Ale wciąż zachwycająca.

– Skup się. – Trąca swoją szpilką mój but. – To co chcesz dziś zrobić, jest śmiertelnie niebezpieczne i głupie. Może nawet niepotrzebne, bo...

– Naprawdę łudzisz się, że ktoś taki jak Torano zagrałby z nami uczciwie?

– Przecież nie da ci go za darmo. Odkupisz próbkę.

Kręcę głową. Chyba sama nie wierzy, że to byłoby takie proste. Rozglądam się, szukając Torano w tłumie wirujących na parkiecie par. Tańczy teraz z żoną jakiegoś podstarzałego polityka. Walc to na pewno nie jedyna relacja, jaka ich łączy.

Bethany pociąga kolejny łyk szampana.

– Albo wciśnię mi pierwsze lepsze gówno i zabierze w chuj forsy – mamroczę. – Jeśli jakimś cudem masz rację i on rzeczywiście da mi fiolkę z nowym narkotykiem, stanę się szczęśliwym posiadaczem dwóch takich zamiast jednej. Świetny biznes.

To jej nie przekonuje. Stoi wyprostowana jak struna i nieruchoma, ale wiem, że najchętniej by się powierciła. Nauczyłem się jej reakcji na stres i lęk na pamięć. Kiedy się boi, podryguje co najmniej tak, jakby oblaży ją robaki. Mimo to trzyma się dzielnie schowana za swoją lodową powłoką, której pęknięć nie dostrzega nikt poza mną.

– Bo drugą ukradniesz, narażając się na zdemaskowanie i to, że jakiś strażnik strzeli ci w serce – burczy.

Sięgam po tartinkę nadzianą na wykałaczkę i podsuwam jej do ust.

– Jeśli myślisz, że to taka pierwsza moja akcja, to się mylisz. Wiem, co robić. Zaufaj mi.

Na widok małej przekąski unosi tylko brew. Wiem, że chętnie wydlubałaby wszystkie wykałaczki z jedzenia, a potem użyła ich do dźgania mnie. Mimo to posłusznie częstuje się tartinką.

Jeśli ma zamiar pić, żeby zagłuszyć stres, musi też jeść. Inaczej się upije, a to ostatnia rzecz,

jakiej mi dziś trzeba. Stado sępów krążących po tym domu wyznaje zasadę, według której kobiety karze się za takie wysoki, gdyż są hańbą na ich honorze i pokazują, że mężczyzna nie radzi sobie z utrzymaniem kobiety w ryzach.

– Nie rozumiem, po co ci w ogóle ten narkotyk. Dlaczego chcesz go mieć?

– Muszę wiedzieć, co to takiego, jeśli ktoś taki jak Torano ma to stosować niemal jak nową amunicję – tłumaczę, siląc się na cierpliwość. – Przekonałaś się sama, że to skurwiel, jakich mało. Bez zasad, skrupułów, sumienia i honoru. Jeśli ma w łapach coś naprawdę groźnego, nie mogę zostawić tego przypadkowi. Nie ma mowy o błędach.

– Powstrzymasz go i zniszczysz tę substancję? – Patrzy na mnie spod rzęs.

Jest wcieleniem niewinności, a mimo to wygląda, jak gdyby właśnie opuściła piekielne czeluści. Moja mała pokusa, której nie mogłem się oprzeć już od pierwszego dnia. Teraz spogląda na mnie tak, jak patrzy się na swojego bohatera. Tylko że ja nie jestem bohaterem i nie stanę się nim nawet po śmierci.

– Potrzebujesz szybkiego numerka? – Zmieniam temat, nie mogąc dać jej szczerzej odpowiedzi. Nie ma szans, że po prostu wyrzucę tę recepturę do śmieci. Zwłaszcza że może być przydatna.

– Co?

Pochyliam się ku niej.

– Cała się trzęsiesz i domyślam się, że wyobrażasz sobie, jak ludzie Torano ładują mnie w czarny worek i zakopują moje zwłoki gdzieś na odludziu.

Z jej oczu sypią się gniewne iskry, a ja naprawdę nabieram ochoty na szybkie pieprzenie w którejś z toalet.

– Przestań. Masz beznadziejne poczucie humoru.

– Pamiętasz, jak to będzie wyglądać?

Kieliszki prawie wymykają jej się z dłoni, więc odbieram je i odstawiam na stół.

– Torano na pewno poprosi mnie do tańca, żeby cię zdenerwować, wtedy ty rzucisz mu nienawistne spojrzenie i kilka bluzgów pod jego adresem. – Uśmiecha się odrobinę. – Podczas tańca ja skupię jego uwagę, a ty pod pretekstem gadki ze swoimi ludźmi się oddalisz, a tak naprawdę pójdziesz do laboratorium po tę substancję.

– Brawo.

Krzywi się.

– Nie jestem przekonana. Beznadziejny plan – krytykuje. – Czemu Torano miałby uwierzyć, że zostawiasz mnie z nim i gdzieś znikasz? Na pewno będzie cię obserwował. On albo jego ludzie.

– Tym się nie zajmuj.

– Przejmuję się. Mówię ci...

Owijam ramieniem jej talię i przyciągam do siebie. Serce wali jej tak mocno, że czuję je przez materiał jej kreacji i mojego smokingu.

– W naszym świecie mężczyzna nie jest przyklejony do swojej kobiety na takich przyjęciach. Nikt w tej sali nie spodziewa się po mnie romantycznych odruchów ani tego, że będę cię pilnie strzegł – szepczę tuż przy jej uchu. – Dla nich kobiety to zabawki, a nie ktoś znaczący. Używają ich do swoich celów i uciech.

Wzdryga się na moje ostre słowa.

– Ale Torano był u nas na kolacji i wie...

– Że jestem zaborczym pojebem. Nie ma natomiast dowodów, że jestem w tobie zakochany.

Wydyma uszmińkowane wargi.

– I to ma mnie pocieszyć? – Gładzi palcami muszkę zapiętą pod moją szyją. – Dlaczego mam wrażenie, że nie wszystko mi powiedziałaś? Jest jeszcze jakiś podstęp, o którym nie wiem?

I oto moja sprytna, przebiegła dziewczyna. Przyłapała mnie. Faktyczne zataiłem przed nią kilka faktów. Po pierwsze, nie znoszę much. Te kokardy zastępujące krawat są takie... Sprawiają, że wyglądam jak pierdolony pingwin, który zwiął z Arktyki i wdarł się na gustowne przyjęcie. Mimo to włożyłem na siebie tę śmieszna ozdoba, bo Bethany ją dla mnie kupiła, a ja, jak przystało na zakochanego kretyna, chciałem tylko sprawić jej radość.

Po drugie, nasza taktyka pozyskania sekretnego narkotyku Torano rzeczywiście jest nieco

bardziej... zawiła, ale dla dobra Elizabeth, muszę trzymać ją samą z dala od tej wiedzy.

– Zaraz zaczynamy – oznajmiam, wychwytyjąc, jak Torano wodzi wzrokiem za moją kobietą.

Nienawidzę tego, że używam jej jako przynęty na tego psychola, ale muszę kupić dla mnie i Thomasa trochę czasu. W ciągu kwadransa Tom powinien zdołać zastopować kamery w podziemnym laboratorium Torano na kilka sekund, dając efekt chwilowego zawieszenia obrazu. Zupełnie jak gdyby zacięły się przez systemową usterkę. Jeśli dobrze pójdzie, nikt tego nigdy nie wyłapie.

Skanuję uważnie pomieszczenie. Mario i Edgar stoją przy wyjściu do ogrodu, a Tom gdzieś zniknął. Torano właśnie żegna się ze swoją partnerką zgrabnym ukłonem i przeciska się między roztańczonymi parami w naszym kierunku.

– Pozwolisz mi ją skraść na jeden taniec? – Przystaje naprzeciwko Elizabeth i wyciąga ku niej rękę.

– Nie sądzę – zaprzeczam i celowo składam pocałunek na grzbiecie jej dłoni.

Torano rechocze z zachwytem na mój pokaz zaborczości.

– Daj spokój, przyjacielu, nie przelecę jej na parkiecie, choćbym chciał.

Zaciskam szczęki. Słowo „przelecę”, opuszczające jego plugawe wargi, burzy mi krew w żyłach. Mimo że mam ochotę jebać wszystkie ustalenia i zabrać Bethany jak najdalej od niego, wsuwam jej palce w jego dłonie.

– Uważaj, co robisz. Obserwuję cię – ostrzegam. – Niedługo wrócę.

– Więc to zazdrość czy coś więcej... – słyszę jeszcze, gdy wychodzę z sali pod pretekstem rozmowy ze znajomym, który właśnie się oddala, w cichszym miejscu.

Sukinsyn wykorzysta taniec, by ją przesłuchać.

Wyciągam z kieszeni komórkę i wybieram numer Thomasa.

– Idź po niego. Postaraj się o małą scenę, żeby ten dupek miał potem do posprzątania bałagan, który go rozproszy – rzucam do słuchawki.

– Tak jest.

Słyszę sygnał przerwane połączenia.

Przechodzę przez korytarz i przystaję przy schodach prowadzących na piętro do prywatnych apartamentów Torano. Przejście blokuje trzech jego goryle. Wszyscy są identycznie ubrani w czarne garnitury i ciemne okulary. W uszach mają wpięte słuchawki, które umożliwiają im sprawną komunikację. Na przeciwległej ścianie wisi wielki abstrakcyjny obraz w złotej oprawie. Mieszanka czerwonych barw wygląda tak, jak gdyby malarz po prostu zachlapał płótno krwią... albo ketchupem.

– Sprowadź szefa w ustronne miejsce. Muszę z nim pomówić o czymś, co go zainteresuje – polecam jednemu z ochroniarzy.

– Panie Roth, niestety...

– Dwa słowa – wtrącam mroźnym tonem. – Macie kreta.

Tresowane pieski wymieniają spojrzenia. W końcu jeden z nich kiwa podbródkiem, szepcze coś do wpiętego w rękaw mikrofonu i oddala się.

Udając, że podziwiam chujowy wystrój wewnątrz, w myślach odliczam czas nieobecności Toma.

– O co ta cała afera, Logan? – Torano zapina guzik marynarki i przystaje obok mnie. – Nie lubię, jak ktoś mnie odrywa od świetnej zabawy, więc lepiej, żeby...

Przez słabo oświetlony korytarz turla się coś wielkiego. Dopiero po chwili dostrzegam, że to ktoś pchnięty przez Thomasa na podłogę.

– Mam go – mówi, a potem podnosi faceta i wykręca mu ręce, by nie mógł się bronić.

Torano patrzy na nieco poszarpaną i ubrudzoną koszulę mężczyzny, ale nie wykazuje ani krztyny zainteresowania. Zerka na tarczę zegara wiszącego tuż obok tego szpetnego dzieła.

– Twój człowiek jest zdrajcą – tłumaczę. – Kilka dni temu przyszedł do mnie z propozycją sprzedania mi twojego małego butelkowanego sekretu i zażądał za niego kilka milionów. – Sięgam do wewnętrznej kieszeni i wyjmuję fiolkę z granatową substancją.

Torano uśmiecha się.

– A ty mi tak dobrodusznie na niego donosisz, zamiast skorzystać z nielojalności tego ścierwa? – powątpiewa.

– Szeffie, to nie tak... – Obezwładniony dupek zaczyna się wyrywać.

– Już jesteś martwy. – Torano łapie go za gardło, a następnie zwraca się do swoich dwóch ochroniarzy. – Załatwcie to po cichu. Mam dom pełen ważnych gości.

Przechadzam się wzdłuż pomieszczenia. Co krok napotykam ciężki kamienny wazon, w którym stoją bukiety kwiatów udekorowane jakimiś świecidełkami.

– Nie ma sensu kłamać. Zdecydowałem się nie korzystać z jego oferty tylko dlatego, że sam zgodziłeś się udostępnić mi próbkę i recepturę na ten nowy narkotyk. – Trącam palcem jedną z kolorowych żarówek zaplątanych między różę. – W przeciwnym razie... – zawieszam głos.

– Jasne. Oczywiście. – Parska śmiechem. – Jak zwykle mnie przechytryłeś.

Jak najbardziej, choć jeszcze o tym nie wiesz, skurwysynu.

Tak naprawdę pionki na naszej szachownicy są ustawione nieco inaczej, niż to się wydaje Ryanowi. Gdy tylko ten kundel służący Toranowi przyszedł do mnie z hojną propozycją sprzedania mi próbki niezwyklego narkotyku swojego szefa, od razu wiedziałem, że to zwykła podpucha. Ustawka, którą miałem naiwnie łyknąć i dać się nabrać. Tymczasem on wysłał do mnie swojego pieska, by ten wcisnął mi niby w sekrecie gównianą podróbkę autentycznej substancji. Chciał, bym porównał obie fiolki – tę, którą wręczy mi sam, i tę od jego człowieka, i uznał, że gra ze mną fair.

A teraz wielki Torano sądzi, że wszystko idzie po jego myśli, a ja, a raczej Tom ma wolną drogę po autentyczny narkotyk.

– Nawet nie masz pojęcia – mrużę. – Załatwmy to od razu. Mario za moment będzie tu z pieniędzmi. – Na mój znak Thomas znika podobnie jak trzeci goryl Torano. Wraca po chwili z metalowym kwadratowym pudełkiem. Wręcza go szefowi, a ten uchyla wieko.

– Świetnie. Oto moje maleństwo. – Bierze szklaną buteleczkę w dwa palce i potrząsa nią. Granatowa ciecz odrobinę się pieni.

– Wyglądają identycznie. – Celowo odkorkowuję obie fiolki i wdycham, by porównać aromaty. – Tak samo pachnie. Przynajmniej dzięki twojemu niewiernemu żołnierzycowi, mam pewność, że nie próbujesz mnie wykiwać i wcisnąć jakiejś chujowej podróbki – wypowiadam to kłamstwo z uśmiechem na ustach.

Torano robi zadowoloną minę.

– Trochę więcej zaufania, Roth. Jestem w twojej drużynie.

Za moimi plecami pojawia się Mario i podaje mi walizkę z forszą. Pcham ją w kierunku Ryana.

– Czyżby?

Torano przekazuje pieniądze swojemu człowiekowi.

– Wrócę teraz do gości. – Klepie mnie w ramię i wymija. – Liczę na kolejny taniec z Elizabeth.

Zostaję sam w holu jeszcze przez jakieś trzy minuty. Później wraca do mnie Thomas.

– Załatwione? – pytam tylko, nie chcąc zdradzać zbyt dużo na wypadek podsłuchów.

Thomas mruga zawadiacko okiem.

– Jasne.

Doskonale. Pora wracać po moją kobietę.

## Rozdział DWUDZIESTY SIÓDMY

Bomba, której wybuchu spodziewałem się już od jakiegoś czasu, eksplodowała niedługo po mojej prowokacyjnej wizycie na balu Torano.

– Wtargnięcie wroga na nasze terytorium – słyszę natychmiast po odebraniu telefonu.

Jednocześnie zauważam, że Mario i Edgar odbierają ten sam komunikat przez słuchawkę. Obaj niczym idealnie zsynchronizowane roboty sztywnieją, wwiercając we mnie spojrzenia.

– Gdzie? – pytam.

– Naruszono granicę od wschodu i północy. Nasi snajperzy obserwują sytuację, ale wygląda to kurewsko kiepsko – mówi Mario po pozyskaniu raportu od naszych żołnierzy na warcie.

– Kto to?

– Zgaduj. – Edgar podwija rękaw swojej czarnej koszuli. – Mają naszywki z emblematem od Torano.

– Ryan. Ja pierdolę.

Oczywiście, że to on. Przybył po swoją śmierć.

Adrenalina ogrzewa mi tętnice, sprawiając, że wszystkie moje zmysły się wyostrajają. Czekają.

– Przewidzieliśmy to. Wydałem polecenia...

– Gdybyśmy odpowiednio to przewidzieli, nie byłoby naruszenia naszego terytorium – wtrącam.

– Gdzie Elizabeth?

Potem pourygam łby moim ludziom, którzy najwyraźniej nie radzą sobie z wykonywaniem obowiązków, skoro zorientowali się o wizycie Torano, dopiero gdy ten sukinsyn rozgościł się na mojej ziemi.

– Chyba u siebie. Myślisz, że naprawdę przyszedł tu z powodu jakiejś laski, z którą się pieprzysz? Raczej chodzi o...

– Przyszedł tu, bo go upokorzyłem, wybierając ją i odrzucając jego ofertę. Chce dostać wszystko, na czym mi zależy. – Odwracam się w stronę schodów. – Odprowadź Cleo do schronu.

Żaden z nich nie ma pojęcia o grozie, która w tej chwili poraża mnie od wewnątrz.

Nikt nie może nigdy odkryć potęgi moich uczuć do Bethany. Nawet ona sama. Inaczej nie tylko Torano, ale każdy, kto chce mnie dorwać, zapoLOWAŁBY NA NIĄ.

– Intruzi widziani także przy północnej granicy – oznajmia Mario, a potem wyrzuca z siebie siarczyste przekleństwa w jakichś pięciu językach.

Sekundę później rozlega się donośny huk, zatrzymując mnie w połowie drogi na piętro. Potężna fala uderzeniowa sprawia, że brzęczą szyby w oknach. Kilka obrazów osuwa się na marmurową podłogę z trzaskiem, a stojąca w kącie salonu wielka figura kobry wyrzeźbiona ze lśniącego stopu pęka w kilku miejscach. Wzdłuż zwiniętego ogona pełzającej bestii tworzą się brzydkie rysy.

– Wybuch przy frontowej bramie.

A więc zabawa się rozpoczęła.

– Gdzie jesteś? – zwracam się do Thomasa przez słuchawkę.

Szczęk przeładowywanej broni dzwoni mi w uszach.

– Szykuję zabawki. Dawno nie przytulałem mojego ulubionego karabinu snajperskiego – śmieje się. – Mam cię znaleźć?

– Zamknę Bethany i Cleo w azylu. – Biegnę korytarzem w kierunku sypialni. – I nie podoba mi się twoja ekscytacja faktem, że jacyś skurwiele chcą poczęstować nasze mózgi ołowiem.

Rozlega się kolejna salwa wkurwiającego rżenia i grzechot amunicji. Jak znam Toma, to obładował się czymś znacznie więcej niż tylko karabinami snajperskimi. Ten psychol ma tam pewnie z tuzin granatów i kwartet bomb. Nie zdziwiłbym się, gdyby na dokładkę ukrył gdzieś tu legendarny Excalibur.

– Znasz mnie w ogóle?

– Niestety. – Popycham drzwi. – Bethany? Chodź ze mną.

Spodziewam się, że zobaczę ją zaspaną zagrzebaną pod stertą koców i ubraną w jej śmieszna piżamę, jednak zaskoczony zauważam, że ma na sobie jeden z kombinezonów, które zwykle wkładają moi żołnierze na treningach. Przygotowała się do walki...

– Co się dzieje? Usłyszałam strzały – pyta.

– To Torano i jego ludzie. Wdarli się tu.

Jej brwi podskakują, gdy przypina sobie pod ubranie swoje dwa ulubione sztylety sai.

Wybrałem sobie szaloną kobietę.

– Dlaczego?

– Przyszli po ciebie.

– Jak to po mnie? To bez sensu. Nie mam dla nich żadnej wartości. – Wiąże włosy w wysoki kucyk. – Jestem pewna, że to dlatego, że odkrył, że podczas balu Tom splądrował jego laboratorium, a ty...

Jak bardzo się myli. Jest bezcenna dla mnie, więc i dla nich.

Nie wiem, czy powinienem czuć dumę, czy wściekłość. Nigdy nie spotkałem jeszcze takiej kobiety jak Elizabeth Hallwell. Byłem przekonany, że zastanę ją tu w rozsypce, skuloną i przerażoną, wyrwaną ze snu, a ona zachowuje się niczym amazońska księżniczka szykująca się na bój. Nie ma w niej cienia strachu. Łód skuwa jej spojrzenie, a ona właśnie przykuca i przypina trzeci cholerny sztylet, o wiele mniejszy od pozostałych, na kostkę pod nogawką.

Nie do wiary.

– Nie mam czasu na pogawędki. Wspomniałem, że jak dostaną się do środka, to mamy przejebane?

– Chodzi o to, co powiedziałeś przy tamtej kolacji? Nie chciałeś mnie mu dać i... – Wyszarpuje się z mojego uścisku, gdy ciągnę ją w stronę wyjścia. – Potem mój ojciec obiecał mu mnie na własność. Przyszedł odebrać to, do czego, jak sądzi, ma prawo.

Jej słowa sprawiają, że moje oczy zalewa czerwona mgła.

*Przyszedł odebrać to, do czego, jak sądzi, ma prawo.*

Targający mną gniew sprawia, że mam ochotę coś rozpieprzyć. Najchętniej samego Torano. Wizja wypruwania mu trzewi i wycinania serca z piersi napawa mnie rozkoszą.

– Dość – warczę i ciągnę ją przez korytarz.

Zapiera się jak uparty kociak, który liczy, że jego małe pazurki zdołają poharatać tygrysa.

– Dlaczego się tak wściekasz? To nie moja wina, że on tu jest. Nie należę do niego, nieważne, co ustalili z moim ojcem.

Przyciągam ją do siebie i dotykam kciukiem policzka.

– Nie, nie należysz i prędzej umrę, niż mu cię oddam, a teraz ruszaj się. Ukryję cię – obiecuję szeptem.

Wstrząsa nią dreszcz, a kiedy przez maskę jej odwagi przebijają się pierwsze oznaki lęku, odczuwam to niemal jak fizyczny ból.

– Nie chodzi tylko o to, że on chce mnie pieprzyć, prawda? Chodzi o to, że mnie kochasz.

– Dlaczego wciąż mówisz, zamiast milczeć?

Muszę się skoncentrować. Muszę być uosobieniem zimnej logiki. Znieczulonym potworem. I niczym ponadto, a przy niej czuję się, jakbym miał za moment zwariować od natłoku emocji.

– A może jeśli przyszli mnie zabrać, bo sądzą, że coś dla ciebie znaczą, to są w wielkim błędzie?

– Bo?

– Bo posłużyłeś się mną na tym balu. Użyłeś mnie, nie dbając o to, jakie to może mieć dla mnie konsekwencje. Liczyło się tylko to, by wyrównać rachunki z Torano. Wykiwać go. Udowodnić, że to ty jesteś królem – syczy i znowu się szamocze, by uwolnić dłoń z mojej dłoni. – Igrałeś z nim na tym balu, używając mojej osoby, a teraz on jest tu po mnie, a to z kolei udowadnia mi, że raczej niewiele dla ciebie znaczą mimo zapewnień o twojej rzekomej miłości. Jeśli mnie dopadną, to będę martwa. Takie są zasady tego świata, prawda?

Zatrzymuję się i wbijam w nią spojrzenie. Dyszę ciężko, opierając się pragnieniu, by nią potrząsnąć.



Czy ona naprawdę wierzy w to, co mówi? Sądzi, że kieruję się zasadami podziemia? Odkąd pojawiła się w moim życiu, złamałem wszystkie reguły, jedną po drugiej, byle tylko ją zatrzymać. Wyznałem jej miłość. Najniebezpieczniejsze i najbardziej destrukcyjne uczucie w środowisku, w którym rządzi mrok, a ona stoi tu teraz i plecie te wszystkie bzdury?

Kiedy dowiedziałem się, że Torano zawarł pakt z jej ojcem, byłem gotowy podpalić całą pierdoloną planetę, byle tylko dotrzeć do niej przed nim.

– Tom zaraz tu przyjdzie i zabierze cię do bezpiecznego pokoju – mówię tylko.

Krzyżuje ramiona na piersi.

– Jak sobie życzysz.

– Sytuacja? – pytam, nawiązując kontakt z Tomem.

Trzeszczenie na słuchawkach, a potem:

– Granaty. Wejdą od frontu za trzy, dwa, jeden...

Rozlega się kolejna eksplozja, a za nią jeszcze jedna. Coś rozbija się z głośnym echem, a hałas prawie mnie ogłusza. Potrząsam głową, masując skronie i przyklekam za balustradą przy schodach. Docierają do mnie strzały, przekleństwa i dźwięki wymienionych ciosów.

– Królestwo wielkiego Logana Rotha. Zawsze chciałem się tu dostać z hukiem. – W głosie Torano pobrzmiwa satysfakcja. – Pilnie strzeżona forteca, a jednak oto jestem.

– Przyszedłeś po śmierć – odzywam się, odbezpieczając po kolei pistolety, które mam przy sobie.

– Przyszedłem po twoją małą sukę. – Między słowami wygwizduje jakąś melodię.

– Ostrzegalem, że mnie się nie odmawia.

Zmuszam się, by obserwować salon i nie spoglądać za siebie na Bethany. Czuję jej obecność za plecami i to musi mi teraz wystarczyć.

– A ja uprzedzałem, że mnie się nie grozi – odpowiadam. – Masz pojęcie, co z tobą zrobię, kiedy dostanę cię w swoje ręce? To będzie najwolniejsza i najbardziej makabryczna śmierć zadana w dziejach mojej rodziny.

– A ty? Czy masz pojęcie, co zrobię z twoją dziwką, gdy będzie już moja? – Zanosi się śmiechem, który sprawia, że mam ochotę zmiażdżyć mu tchawicę własnymi rękami, byleby tylko już na zawsze zamilkł. – Piękna Elizabeth zazna wreszcie rozkoszy od prawdziwego mężczyzny. A potem od jeszcze kilku. Od każdego, kto tu ze mną przyszedł.

Mięśnie tężeją mi pod skórą.

*Jeśli mnie dopadną, to będę martwa. Takie są zasady tego świata, prawda?*

Drapieżnik w moim wnętrzu pragnie jedynie skąpać się we krwi wroga.

– Ktokolwiek tu przyszedł, już stąd nie wyjdzie – ostrzegam.

– Liczę, że dobrze ją wytresowałeś, bo czeka ją więcej ostrego pierdolenia niż kurwę z burdelu.

Zauważam jego cień poruszający się na podłodze za kanapą. Towarzyszy mu dwóch jego ludzi. Jeden chowa się we wnęce między meblami, a drugi sterczy przy ścianie na progu. Wiem, że gdzieś tu skradają się niczym duchy moi ludzie. Wiem, że czekają przyczajeni w swoich kryjówkach na odpowiednią okazję, dając szansę pierwszej ekipie opanować szturm na bramę i frontowe wejście.

Z każdej strony atakują mnie odgłosy wojny. Krzyki, wymiana ognia, grad opadających na marmur łusek, ciała uderzające o podłogę. Ze swojego miejsca na górze widzę, że kilku moich żołnierzy wymienia ciosy ze skurwielami przywleczonymi tu przez Torano. Głowa Maria wysuwa się zza progu jadalni, gdy dosiada jednego z tych dupków i wali w niego pięściami, aż ten zaczyna się krztusić własną krwią, a chwilę później mój człowiek sięga po upuszczoną broń i ładuje mu kulkę, przyklejając lufę do jego podbródka.

Uśmiecham się, patrząc, jak mózg wypływa mu z czaszki, a potem kątem oka spostrzegam, że jeden z goryli przyczajonych z Torano celuje do Maria, chcąc go zdjąć, więc strzelam pierwszy. Trafiam najpierw w kolano, by sukiny wysunął się z ukrycia i wystawił głowę. Potem naciskam spust. Mario zauważa, co się dzieje i natychmiast przetacza się poza zasięg strzałów. Słyszę, jak z kimś rozmawia.

– Jeśli liczysz, że twoje żalosne pogroźki sprawią, że popełnię błąd, to przestań. Bo siedzę tu i doskonale się bawię. Zapewniasz mi rozrywkę. Rozgość się i przyjdź do mnie – zagaduję Ryana.

– Nie przeczę, że chciałbym oglądać, jak opanowanie i obojętność, z których jesteś taki znany,

rozpadają się na kawałki.

– Nie, nie chciałbyś. Wierz mi.

– Bardziej opłaca się mieć we mnie przyjaciela niż wroga. Mówiłem ci, Roth. – Po tych słowach oddaje serię strzałów na balustradę, za którą klęczę. – Wypożyczyłbyś mi ją na jedną noc, przypieczętowałibyśmy wspólny biznes, a teraz... – Przeładowanie broni. – Od czasu do czasu wpadam w taki nastrój, że mam ochotę naprzemiennie pieprzyć te małe suki i je kroić. Lepsze od jęków rozkoszy są tylko jęki bólu. Prawda czy fałsz? – docieka.

Popycham Bethany płasko na plecy i przygniatam do podłoża własnym ciałem, by nie zranił jej żaden nabój. Potem czołgam się powoli do krawędzi barierek.

– Prawda! – wołam i oddaję strzał.

Bethany coś do mnie mówi i czuję muśnięcie jej palców, jak gdyby chciała mnie złapać, zatrzymać, ale nie reaguję.

– Kurwa mać. – Torano zasysa gwałtownie powietrze, a potem znów się śmieje. – Jeśli celowałeś w serce, chybiłeś. – Kilka kropel jego krwi kapie na śnieżnobiały dywan, gdy próbuje uciskać ranę.

– Nie chybiam. Mówiłem już, chcę, żebyś zdychał powoli.

Thomas skrada się ku mnie pochylony nisko wraz z dwoma innymi mężczyznami.

– Jestem. Cleo jest w schronie. Bezpieczna – odzywa się cicho.

– Zabierzcie tam Bethany – nakazuję pozostałym dwóm żołnierzom.

Elizabeth splata palce z moimi, by ściągnąć moją uwagę.

– Nie, nie chcę iść. Nie chcę być zamknięta w jakimś pokoju i nieświadoma tego, co się dzieje. Odbije mi. – Prośba lśni w głębi jej oczu. – Jeśli ty zostajesz, to ja też.

– To nie było pytanie o to, czego pragniesz. Pójdiesz z nimi i zostaniesz tam, dopóki sam cię stamtąd nie zabiorę.

Zaciska dłoń na mojej i przysuwa się. Są takie momenty, kiedy jej brak uległości działa mi na nerwy i to jeden z nich. Światło migocze pod sufitem, najpewniej uszkodzone przez jakąś zabłąkaną kulę.

– Chcę dostać broń. Jestem wyszkolona, żeby...

– Zabierz ją – powtarzam. Gdy mimo jej protestów zostaje odciągnięta, odwracam się do mojego zastępcy. – A teraz rozwalmy tych skurwieli.

Thomas wyszczerza zęby.

– Moja ulubiona część krwawych przyjęć. – Rzuca granat, a ten toczy się po schodach. Trzy sekundy później następuje ogłuszający wybuch pomieszany z wrzaskiem naszych wrogów.

Czas otworzyć przed nimi bramy mojego prywatnego piekła.

## Rozdział DWUDZIESTY ÓSMY

Bethany

To się nie dzieje. Nie może się dziać. Intuicja mówi mi, że wydarzy się coś... okropnego.

– Nie zamykajcie mnie. Proszę, jestem dobrze wyszkolona do walki. Pomogę. – Próbuję wyswobodzić się z żelaznego uchwytu dwóch mężczyzn, którzy wleką mnie ciemnym korytarzem niczym szmacianą lalkę. Nie znam ich imion i szczerze powiedziawszy, widzę ich po raz pierwszy, odkąd tu jestem, ale pewnie urocza gangsterska armia Logana liczy sobie tylu ludzi, że i tak bym ich wszystkich nie zapamiętała. Jestem uwięziona pomiędzy ich ciałami, a ich dłonie obezwładniające moje ramiona sprawiają, że mam zbyt małą swobodę ruchów, by podjąć jakąkolwiek próbę walki.

Już wiem, jak czuje się mucha uwięziona w sieci pająka.

Jeden z nich, szatyn z blizną na łuku brwiowym, spogląda na mnie z niechęcią.

– Zamykamy cię z rozkazu szefa – mówi.

Jego kumpel parska śmiechem. Łokieć mężczyzny wbija mi się boleśnie w podbrzusze przy każdym kroku.

Założę się, że dupek robi to celowo. Widzę to po błysku w jego wrednych ślepiach.

– Kpisz sobie? Po co się tłumaczysz jego własności? – odbija i popycha mnie do przodu, prawie wyrывая mi bark ze stawu. Nachodzi mnie ochota, żeby kopnąć go w klejnoty albo wybić mu zęby odrzuceniem głowy w tył, ale zanim mam szansę to zrobić, ten pierwszy odpycha mnie gwałtownie za swoje plecy.

– Z lewej!!! – drze się. – Padnij! – Rzuca się na podłogę i sięga po broń. Rozlegają się świsty strzałów, podczas gdy ja kulę się za ścianą.

Nienawidzę tego, że nie mam broni innej niż moje noże. Z nimi raczej trudno byłoby mi pokonać kilku facetów uzbrojonych po uszy w różne rodzaje pistoletów.

– Dostałeś? Charles? Mocno oberwałeś? – odzywa się któryś, gdy zapada cisza. Wszędzie dookoła widzę dziury po pociskach. Łuski leżą na podłodze, a jedna z nich wczepia mi się we włosy.

Patrzę na milczącego mężczyznę z blizną. Jego oczy są otwarte i lekko wyłupiaste. Martwe.

– Nie żyje – mówię.

W jego czole tkwi kula, a bladą twarz zalewają strumienie krwi.

– Uciekaj, zatrzymam ich – nakazuje ten drugi. – Siostra Logana czeka już w schronie.

Rozglądam się, gdy do moich uszu docierają coraz głośniejsze odgłosy butów stukających o posadzkę. Nadchodzą. Trzech... może czterech. On jeden ma marne szanse.

– Jest ich zbyt wielu, zabiją cię. – Chcę sięgnąć po pistolet upuszczony przez jego przyjaciela, ale ten dupek odpycha mnie tak brutalnie, że z trudem utrzymuję równowagę.

– Wypierdalaj stąd! Precz, już. Nikt cię nie nauczył posłuszeństwa, jak należy? – grzmi, a sekundę później pocisk trafia w jego czaszkę. Szkarłat opryskuje mi ubranie, a ja zachłystuję się oddechem.

– Ja ją nauczę. – Lufa pistoletu przylega do mojej skroni. – I bardzo liczę, że będzie stawiała opór.

Rozpoznaję wstrętny głos Torano i od razu przeszywa mnie niepokój. I to wcale nie ze względu na to, że za chwilę mogę umrzeć, ale... Przecież jeszcze kilka minut temu Ryan tkwił w salonie obleżony przez Logana i jego ludzi. Jeśli on tu teraz jest zamiast Logana, to... Co się stało? Jak się wymknął? Czy Logan...?

Żółć podchodzi mi do gardła. Chcę zapytać Torano, gdzie jest Logan, ale wiem, jak brzmiałaby jego kpiąca odpowiedź. Co gorsza, boję się, że mogłabym usłyszeć w jego słowach nutę prawdy.

– Pierdol się – syczę. – Nigdy się przed tobą nie ugnę.

Pięść trafia w mój policzek, zanim choćby mrugnę. Czuję pulsujący ból w szczęce i krew

w ustach. Chwieję się, ale zmuszam do pozostania w pionie. Patrzę mu w oczy z uśmiechem.

– Taka dumna. Taka zawzięta. Nic dziwnego, że jesteś ulubioną suką Logana. – Owija sobie pukiel moich włosów wokół palca. – Który niestety tkwi teraz w zasadzce.

Odtrącam jego rękę, co wyraźnie go bawi.

– Co mu zrobiłeś?

– Nie martw się. Żyje. – Rozciąga wargi w niebezpiecznym uśmiechu. – Jeszcze. – Łapie mnie pod łokieć i ciągnie za sobą.

Marne oświetlenie tego upiornego domu i zawile korytarze sprawiają, że czuję się jak w labiryncie, a jednak Torano zdaje się doskonale wiedzieć, dokąd mnie prowadzi. Trzech jego ludzi podąża za nim, osłaniając swojego lidera przed ewentualnym atakiem.

Torano prowokacyjnie przesuwając swoimi łapskami po moim kręgosłupie.

– Nie dotykaj mnie. – Wyrywam się bezskutecznie.

– Popatrz tam, kruszynko. – Obraca mnie w kierunku wielkich połyskujących srebrzyście drzwi.

– Powiedz Cleo, żeby otworzyła schron.

Azyl. Logan nigdy nie zabrał mnie jeszcze do środka, ale mam świadomość, że w domu jest kilka ukrytych przejść, które mogą niepostrzeżenie wyprowadzić zamkniętych tam ludzi na zewnątrz. Nie wiem, jak to otworzyć, jednak to dobrze, bo Torano nie wydobylby ze mnie czegoś, o czym nie mam pojęcia nawet średniowiecznymi torturami, a dopóki schron pozostaje zamknięty, nie wedrą się tam, nieważne, czy będą go ostrzeliwać, czy traktować granatami.

Podchodzę do drzwi i muskam opuszkami chłodny metal.

– Cleo? Słyszysz mnie? Nie otwieraj im. Nie waż się. Bez względu na wszystko! – krzyczę, zanim zostaję porwana w tył i ponownie unieruchomiona. – Nie otwieraj im, przysięgnij.

We wzroku Torano zapala się wściekłość. Kopie w zabezpieczone drzwi i klnie.

– Zabijemy ją, jeśli nie otworzysz. Boleśnie i bardzo, bardzo brutalnie – przemawia. – Usłyszysz jej krzyk. I błagania o litość.

Dociera do mnie ciche łkanie i wiem, że Cleo nie zdoła obojętnie wysłuchać gróźb Torano i prędzej czy później wpuści go do środka. Nie mogę na to pozwolić. Granie na czas byłoby dobrym rozwiązaniem, bo w każdej chwili mogą się tu pojawić ludzie Logana i mnie uwolnić, ale jeśli będę zwlekać, a mimo wszystko nikt się nie pojawi, by mi pomóc, wrogowie dorwą też Cleo.

Kusi mnie, by sięgnąć do ukrytych pod ubraniem sztyletów i zaatakować, ale wiem, że nawet gdybym wykazała się nadludzkim refleksem, nie prześcignę kuli, która zabije mnie, zanim zdołam podciąć gardła całej osaczającej mnie czwórce tych łotrów.

– Zostawcie ją w spokoju, to pójdę z wami z własnej woli – wykrztuszam z trudem.

Ryan gapi się na mnie z politowaniem

– I tak chuj dałby twój opór, dziwko. – Zaciska garść na mojej szyi. – Ale mogę ją tu zostawić i zadowolę się łamaniem ciebie. Błagaj mnie o to.

– Proszę. Błagam. Zabierz tylko mnie.

Sukinsyn potrząsa przecząco głową.

– Nie brzmisz przekonująco.

Opuszczam powieki i zmuszam się do czegoś, czego uczono mnie całe życie nie robić. Padam ulegle na kolana przed wrogiem.

\* \* \*

Leżę obez władniona na wielkim łóżku w jego sypialni. Moje nadgarstki są przywiązane do wezglowia. Mam na sobie tylko bieliznę, bo ten pokręcony sukinsyn zdarł ze mnie ubrania i niestety także rozbroił. Zabrał moje sai, śmiejąc mi się w twarz, że mogę jedynie wyobrazić sobie, jak podrzynam mu gardło.

I to właśnie robię w tej chwili. Wyobrażam sobie, jak zabijam go na setki sposobów. Marzę, żeby ujrzeć krew tryskającą z jego ciała, gdy on przechadza się z miejsca na miejsce, celowo potęgując moją niepewność.

Otocza mnie elegancki wystrój typowy dla faceta z pieniędzmi, który najwyraźniej lubuje się we

wszystkich odcieniach czerwieni. Ściany, obrazy, firany wszystko jest w barwie szkarłatu. Najwięcej uwagi przykuwa jednak stojący naprzeciwko ogromny posąg tygrysa, którego kły zaciskają się na krtani walczącej z nim łani.

Oto co podnieca rasowych pojebów. Tyle że ja nigdy nie odegram przed nim roli tej łani.

– Czego chcesz? – pytam, nie mogąc już znieść milczenia krążącego wokół mnie Torano.

Bardzo dobrze znam tę taktykę. Chce wzbudzić we mnie panikę, która skłoni mnie do posłuszeństwa.

– Naprawdę nie wiesz? – zaczyna, przystając. – Chcę zobaczyć Logana Rotha zupełnie bezradnego. Pokonanego.

– A ja?

– Ty jesteś moim prezentem. – Wyszczерza się w okrutnym uśmiechu. – I albo dasz mi to, czego chcę, albo sam to sobie wezmę.

Robi mi się niedobrze, kiedy zaczynam rozumieć, skąd bierze się ta jego chora ekscytacja. Szarpnię za węzły oplatające moje nadgarstki.

– Nigdy – szepczę.

Wolałabym się zabić, niż pozwolić mu... zgwałcić.

– „Nigdy” to kurewsko zabawne słowo. Zwłaszcza w tym świecie i w twojej sytuacji. – Podchodzi do łóżka i przysiadła na jego krańcu. – Spójrzmy prawdzie w oczy, Elizabeth. Nie masz szans. Nie miałaś od chwili, kiedy obrałem cię za cel. Tak już jest. Nawet jeśli twój zbawca tutaj po ciebie przyjdzie, do tego czasu już będziesz modlić się o śmierć.

Wstrząsa mną dreszcz. Całą sobą chciałabym się łudzić, że nie ma racji, że tli się dla mnie nadzieja, ale jestem tutaj, związana, zamknięta, strzeżona i zdana na jego łaskę. Na jego zachcianki i kaprysy.

– Gardzę tobą.

– Oszczędzaj siły, bo będziesz ich potrzebować. – Zawadza kciukiem o ramięczko mojego stanika i pociąga je w dół. – To taki piękny widok. Napawa mnie pragnieniem. Odliczaj minuty. Tyle zostało, zanim cię zerżnę. Wielokrotnie. Co ty na to? – Pochyliła się, jakby zamierzała mnie pocałować.

– To samo, co wcześniej. Pierdol się.

Jego ręka przesuwana się na mój kark, a potem szarpnięciem odchyła mi głowę, wciskając ją w poduszkę.

– Będziesz krzyczeć i krwawić, ale to już wiesz, prawda? – Jego palce wbijają mi się w skórę i wiem, że niebawem w tych miejscach pojawią się siniaki.

Usiłuję się szamotać. Chcę próbować się wyswobodzić. Dwa moje sztylety spoczywają na szafce nocnej nieopodal. Celowo zostawione na widoku, by mnie dręczyć. Bym wiedziała, że choć noże są tak blisko, wciąż pozostają zbyt daleko, bym zdołała się obronić przed Torano. Patrząc na nie, ostre krańce lśnią w świetle księżycy wpadającym przez okno. Nawołują, bym ich użyła. Żebym zabiła.

Jednak nie mogę. Nie zdołam ich dosięgnąć.

Zmuszam się do oderwania od nich wzroku i pochwycenia spojrzenia Torano.

– Możesz mieć moje ciało i wmawiać sobie, że cokolwiek dzięki temu wygrałeś, ale to nigdy nie będzie prawda. – Zanoszę się śmiechem. – Jeśli dałeś się nabrać, że jestem wystarczająco ważna dla Logana, by przez posiadanie mnie móc nim sterować, to jesteś kurewsko głupi – spluwam.

Na jego obliczu pojawia się wściekłość. Palce na mojej szyi niemal odcinają mi dopływ tlenu.

– Nie wierzę ci – odpowiada.

– Wiem i to jest w tym wszystkim najlepsze – ciągnę. – Zaraz się zbliżysz, wsadzisz we mnie kutasa i przez chwilę będziesz dalej roił sobie, że zwyciężyłeś, że go dopadłeś. – Kolejna salwa obłąkańczego śmiechu. – A potem przyjdzie tu Logan, spojrzysz na tę scenę i... – Zaczynam się krztusić, gdy zbyt długo nie mogę zaczerpnąć powietrza.

Torano zwalnia odrobinę uścisk.

– I co? No mów, mała szalona suko – domaga się.

– I roześmieje ci się w twarz z powodu tego, jaki będziesz dumny, dymając jego kolejną dziwkę, jakby to cokolwiek między wami zmieniało.

Torano ponownie szarpie mnie za włosy tym razem tak mocno, że w oczach wzbierają mi łzy, ale nie pozwalam im popłynąć. Prędeż zdechnę, niż dam mu tę satysfakcję.

– Zmienia – dyszy i zawadza zębami o moją dolną wargę. Przesuwa swoje plugawe usta niżej na moją szyję i dekolt. Co chwilę zaciąga się łapczywie moim zapachem i liże językiem skórę.

– Masz mnie, nie jego. Co to zmienia? – Zmuszam się do zachowania obojętności. – Logan lubi mieć mnie w łóżku, ale jeśli myślisz, że wszystko odda tylko po to, żebym tam wróciła, to... To możesz już zacząć mnie rżnąć. – Rozsuwam nogi, jak gdybym go zachęcała.

Chce mi się rzygać i krzyknąć tak długo, aż zedrę sobie struny głosowe, ale wiem, że mi nie wolno.

– Ty mała pierdolona... – Kolejny cios spada na moją twarz. Czuję pieczenie gdzieś obok lewego oka sugerujące otwarte, krwawiące zranienie. Ciepła strużka łaskocząca mnie w policzek potwierdza moje przymuszenia.

– Czuję się zobowiązana poinformować cię, że już mnie bili – mruczę lekko zamroczona. – Nie jesteś pierwszy.

Torano podnosi się z materaca i podchodzi do szafki, na której spoczywają moje noże.

– Piękne sztylety. – Muska opuszkami kraniec jednego z sai. – Twoje?

– Tak.

– Wiesz, gdzie będą prezentować się jeszcze piękniej? – Podnosi jeden i obraca w palcach. – Zagłębione w twojej skórze. – Płynnym ruchem wbija czubek noża w moje udo i pociąga o kilka centymetrów.

Krzywię się.

– Śmieć! – krzyczę.

Uśmiecha się, a w jego tęczęwkach płoną iskry. Bezlitosne, napawające terrorem.

– Wydrążę na twoim ciele moje nazwisko. Tak, żeby blizny już zawsze, kiedy on na ciebie spojrzy, kiedy zechce cię wziąć, przypomną mu, że cię miałem. Że odebrałem mu jego małą błyszczącą własność.

– Nie jestem twoja.

Krawędź stali wrzyna mi się w skórę na podbrzuszu.

– T – zaczyna cytować, kreśląc. – O. – Kolejne cięcie. Spojrzenie rozjarzone, zafascynowane, obrzydliwe. – R.A.N.O – kończy i odrzuca zakrwawiony nóż na pościel. Czerwone plamy na bieli są idealnym odzwierciedleniem mojej porażki.

Ja też jestem splamiona. Bok pali mnie, jak gdyby ktoś zaproszył mi żar w ranach.

– Zabiję cię. – Łańcuchy grzechoczą, gdy pociągam za więzy na nadgarstkach i kostkach. Powoli, powoli wpadam w szal.

– Jestem pewien, że to podnieca cię równie mocno, jak i mnie – mówi skurwiel. – Sprawdźmy. – Opada na mnie, przyciskając tors do moich piersi. Jego dłoń mknie w górę mojego uda, a potem znika pod materiałem fig. Dotyka mnie, przesuwając palcami po mojej łechtaczce, cały czas obserwując moją twarz.

Czuję się brudna. Skażona. Upokorzona.

– Kręci mnie wizja twojej śmierci – szepczę.

Torano bez ostrzeżenia wpycha we mnie palec. Zaczyna nim poruszać, zagłębiać i wycofywać, rozkoszując się moją bezradnością.

– Jakie to uczucie? Powiedz. – Uśmiecha się. – Przyznaj, że pragniesz, żebym w ciebie wszedł. Widziałem to już na naszym pierwszym spotkaniu. Rozłożyłabyś przede mną nogi i skamlała, żebym cię pierdolił jak sukę. Zaraz to zrobię.

W moim gardle wzbiera histeryczny wrzask. Za każdym razem, gdy wdziera się palcami wewnątrz mnie, ogarnia mnie coraz większa niemoc. Z całych sił ciągle szarpie za sznury, starając się rozluźnić supły. Nie obchodzi mnie, czy zwiczną sobie rękę. Czy obedrę ją ze skóry. To wszystko nie jest ważne, jeśli tylko się obronię.

– Rób, co chcesz – rzucam.

– Jesteś taka ciasna, podoba mi się. – Wkłada do środka drugi i trzeci palec, wypatrując

najmniejszych oznak cierpienia w moich rysach. – Bo nie zamierzam być delikatny. – Odsuwa się tylko po to, by rozpiąć spodnie, później znów mnie przygniata.

Kiedy zauważam, jaki jest podniecony wizją gwałtu, coś we mnie chce go tylko zabić. Nie udaje mi się już ukrywać strachu. Za chwilę zostanę... zniszczona... zbezczeszczona. Odarta z godności. Na wieczność.

– Jesteś chory!!! – wrzeszczę.

Każdy jego dotyk wrasta mi pod skórę niczym zaraza i rozprzestrzenia się, poraża zakończenia nerwowe.

Nadgarstki bolą mnie od walki z więzami, ale nie poddaję się. Jeszcze trochę. Tylko trochę i uda mi się wyswobodzić i sięgnąć do sztyletu, który Torano upuścił przy moim boku.

Dalej, dalej, dalej.

– Bałaś się i wtedy, i teraz – szydzi Ryan. – Zrób to dla mnie i błagaj, bym przestał. Krzycz tak, aż ten skurwysyn cię usłyszy. Chciałbym, żeby już tu był i patrzył, jak w ciebie wchodzi. – Siłą rozchyła mi kolana, a następnie ustawia swojego penisa tuż przy moim wejściu.

Wstrząsają mną konwulsje.

Zostały mi sekundy.

Udaje mi się wysunąć rękę z więzów akurat wtedy, gdy ten śmieć ma zamiar już się we mnie zagłębić. Niepostrzeżenie sięgam do sai i...

– Jestem. – Głos Logana przetacza się przez pomieszczenie niczym grom. A potem Torano zostaje ode mnie oderwany i pchnięty na ścianę.

W przestrzeni rozpyła się aromat furii i chęci mordy.

Ogarnia mnie ulga. Przyszedł. Ocalił mnie.

## Rozdział DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Logan

– Logan – dociera do mnie jej szept. Mimo że wypowiada moje imię ledwie słyszalnie, jej głos rozdziera mi serce na kawałki. Patrzę, jak osłania się zakrwawionym prześcieradłem, a potem rozrzyna swoim nożem materiał obezwładniający jej drugą rękę. Masuje dłoń ze spuszczonego na kolana wzrokiem. Wygląda tak krucho, tak niewinnie.

Bezbronne. A mimo to stała jej się krzywda. Przeze mnie.

– Zatłukę cię na śmierć. – Rzucam się na Torano i okładam go pięściami. Zadaję cios za ciosem, dziesiątki razy, nie zważając na wołających mnie żołnierzy.

Muszę go zabić.

– Cieszę się, że jednak przyszedłeś – sapie ten skurwysyn. – Zdążyłeś na najlepsze.

Kolejne uderzenie. I jeszcze jedno.

– Najlepszy będzie ten moment, w którym wydasz swoje ostatnie pierdolone tchnienie.

Z kącika jego ust ścieka krew, a białka w jego oczach powoli zmieniają kolor na bordowy.

– Tak ją kochasz, co? – Próbuje odwrócić się w jej stronę, ale łapię go za szyję i ściskam, niepospiesznie miażdżąc jego tchawicę.

Mógłbym go teraz udusić albo wyrwać krtań z jego gardła, ale to byłoby dla niego za szybka śmierć. To ścierwo będzie tarzać się u moich stóp w agonii.

U jej stóp.

– Chciałbym otworzyć cię na żywca, a potem łamać ci żebro po żebrze. Setki razy – odzywam się cicho. – A na końcu wywlókłbym ci płuca na wierzch, by obserwować, jak przestają się unosić. – Wymierzam mu kopnięcie w żebra, a nagrodą za to jest napad świszczącego kaszlu i plucie krwią.

Będę się w niej kąpał i pił ją. Doprawię nią wszystkie moje najlepsze trunki, by móc do końca swoich dni wznosić toast za tę chwilę, w której ten pieprzony sukinsyn spoczął martwy pod ziemią.

Thomas łapie mnie za ramię i odciąga od Torano, zanim zdążę na dobre zmasakrować mu mordę.

– Logan. – Wymierza pistoletem w Torano, a w ślad za nim podąża cała grupa, która weszła z nami do pomieszczenia, by odbić Bethany. Reszta wciąż przeczesuje inne pokoje i teren za zewnątrz.

– Nie. Nie strzelać – zabraniam. – Nikt się do tego nie miesza. To moje prawo.

To mój obowiązek, by pomścić kobietę, którą kocham. Wiedziony nagłym impulsem spoglądam ponownie w jej stronę. Mój umysł wciąż nie funkcjonuje zbyt trzeźwo. W żyłach tętni mi tyle gniewu, że czuję się, jakbym się nim upił. Jestem oszołomiony, zdolny jedynie do czysto pierwotnych odruchów, a patrzenie na Bethany w tym stanie wcale mi nie pomaga.

Siedzi tylko kilka metrów ode mnie. Skulona, poraniona i drżąca, a mnie wydaje się, że dzieli nas piekło. Piekło, w którym ona utknęła z mojego powodu. I wcale nie wygląda, jakby się z niego wydostała.

– Nie masz już do niej żadnych praw. Czeka cię wielka niespodzianka – dyszy Torano, ocierając krew spod nosa. Jego ręka jest zsiniała, a pod skórą uwypukła się kość. Zgniatam ją pod butem, aż poszarpany kraniec kości przebija się przez jego skórę, a Torano jęczy.

Pochylam się i unoszę go za klapy marynarki.

– O czym ty mówisz, skurwielu?

– Niech sama ci powie. – Uśmiecha się ociekającymi szkarłatem zębami. – Albo pokaże – dodaje tajemniczo.

Kątem oka zauważam, że Bethany wzdryga się na jego słowa i nerwowo dociska prześcieradło do brzucha.

– Zabij go – mówi niespodziewanie wyzutym z emocji głosem.

Skupiam się na niej, chcąc zrozumieć, co mi umyka... Czy on... Jeśli ten chuj już wcześniej ją



tknął, a ja nie zdążyłem tu na czas? Oglądam ją dokładniej. Czujniej. Jest rozebrana, strzępy jej ciuchów walają się po podłodze. Kiedy tu wszedłem... Ten chuj był o ułamek sekundy od zgwałcenia jej, ale... Nie wiem, co się działo wcześniej.

Nie mam pierdolonego pojęcia i to sprawia, że tracę zmysły. Potworne wizje nawiedzają moją wyobraźnię.

*Od czasu do czasu wpadam w taki nastrój, że mam ochotę naprzemiennie pieprzyć te małe suki i je kroić. Lepsze od jęków rozkoszy są tylko jęki bólu. Prawda czy fałsz?*

*Piękna Elizabeth zazna wreszcie rozkoszy od prawdziwego mężczyzny. A potem od jeszcze kilku. Od każdego, kto tu ze mną przyszedł.*

Groźby Torano odbijają się w mojej głowie jak echo, sprawiając, że mrok i szaleństwo wciągają mnie coraz głębiej w swoje sidła.

Jeśli ktokolwiek jej dotknął. Jeśli zmusili ją... Spalę ich wszystkich. A zanim to zrobię, dopilnuję, by zaznali tortur, o jakich nie mieli pojęcia. Roztrzaskam ich żałosne ciała na miliony kawałków.

Nie dociera do mnie, co robię, dopiero donośny wrzask wyrывa mnie z transu. Wpatruję się w Torano i zauważam, że teraz obie jego ręce są podziurawione od wielokrotnie łamanych kości, które same otworzyły skórę i pokaleczyły go w licznych miejscach.

– Spokojnie. Dopiero się rozkręcam – mruczę mu do ucha.

Jego oddech jest świszczący, a on sam już prawie tonie w kałuży własnej krwi.

Rozkoszny widok. Wyciągam z kieszeni aparat i robię zdjęcie, by zatrzymać ten moment na dłużej.

– Ona nie wyjdzie stąd żywa, pojebie – charczy.

Chwytam go za łeb i uderzam nim o kamienną posadzkę.

– Nie mów o niej. Nawet na nią nie patrz – ostrzegam. – Właściwie to upewnię się co do tego.

Podaj mi sztylet, Elizabeth.

Bethany przesuwając się po materacu i niepewnie wręcza mi jeden ze swoich noży.

– Co zrobisz?

– Wyłupię mu oczy za to, że odważył się na ciebie spojrzeć. – Nie czekając, wbijam szpiczasty kraniec w prawy oczodół Torano i przekręcam. Nie zanurzam go zbyt głęboko, bo nie chcę, by tak szybko zdechł. Pragnę się rozkoszować jego męczarniami.

To półmartwe ścierwo wymachuje nogami i wije się na podłodze, próbując uciec.

– Ty chuju. Ty... – usiłuje krzyżeć. – Niedługo sam nie będziesz mógł już na nią patrzeć.

– Obraca się do Bethany. – Dlaczego mu nie powiesz?

Błyskawicznym ruchem wyciągam sztylet, sprawiając, że nadziana na niego gałka porusza się nieco w oczodole.

– Milcz – wtrącam wściekłym tonem. – Jesteś teraz na jej łasce, bo spełnię każde jej życzenie odnośnie do twojej śmierci. – Patrzę na nią. – Czegokolwiek chcesz. Po prostu mi powiedz, a ja zrobię to dla ciebie.

Jestem na twoje rozkazy. Zawsze byłem. Chcę powiedzieć to głośno, ale wiem, że nie mogę, bo mam zbyt wielką widownię, a każda publiczna oznaka czułości wobec kobiety nieuzasadniona zwykłą chęcią prymitywnego rżnięcia uczyniłaby mnie w ich oczach słabeuszem i kimś niegodnym władzy.

– Logan – mamrocze łamiącym się głosem i otula się szczelniej tym wstrętnym prześcieradłem.

– Tak? – pytam. – Proś mnie, o co chcesz.

– Zabierz mnie do domu.

Zamieram. Nie tego się spodziewałem. Owładnięty furją i żądzą odwetu, sądziłem, że właśnie to da jej radość. Tak jak i mnie. Najbardziej chcę zobaczyć tego psa skamlającego, błagającego na kolanach. Klęczącego przed Bethany, bo teraz ona jest panią jego losu. Królową wymierzającą mu wyrok.

Jednak ona potrzebuje czegoś innego. Moja mała dziewczynka, taka dzielna. Jestem przekonany, że przez ten cały czas nie dała temu skurwielowi ani jednej swojej łzy. Choć wiem, jak bardzo chce jej się płakać.

Już mam upuścić nóż i do niej podejść, zapomnieć o tym całym gównie i skupić się na niej, gdy odzywa się Tom.

– Najpierw musi z nim skończyć, a potem upewnić się, że zdechł każdy, kto zasilał szeregi w wojnie przeciwko nam. To jego obowiązek – mówi to tak, jak gdyby odpowiadał Elizabeth, ale ja wiem, że w jego słowach czai się ukryte przypomnienie dla mnie.

Zabicie Torano jest jak trofeum, które muszę odebrać. Inaczej stracę szacunek moich ludzi, dla których rozprawienie się z wrogiem zawsze stanowi priorytet. Bez względu na okoliczności.

– Zaraz cię stąd zabiorę – obiecuję Bethany i posyłam w jej stronę zawadiackie mrugnięcie.

Tak bardzo chcę ją przytulić, że aż skręca mi wnętrzności i nienawidzę, że nie wolno mi tego zrobić.

– Powinien konać długo i w męczarniach – oznajmia Tom, bawiąc się zawieszka na swojej szyi.

Przykucam tylko po to, by zrobić długie nacięcie wzdłuż klatki piersiowej Torano. W pomieszczeniu roznoszą się dźwięki jego wrzasków i stękań.

– Głośniej – zachęcam z uśmiechem.

Tom przykłęka obok mnie.

– Uważaj, co robisz – szepcze tak, że nikt inny nie może go usłyszeć.

Mrużę oczy, mając ochotę kazać mu spierdalać, ale z całej tej zgrai żołnierzyków tylko Thomas naprawdę mnie zna i najwyraźniej potrafi dostrzec, jak ciężko jest mi nie ulec instynktom, które szarpia moim sercem i ściągają mnie coraz bliżej Bethany.

Dlatego ostrzeżenie Toma jest słuszne. Jestem chwilę od doprowadzenia do rebelii, bo cały mój świat wiruje teraz wokół rannej kobiety skulonej na łóżku, której nie mogę wziąć w ramiona z powodu jakichś cholernych zasad podziemia.

– Chcę, by każdy z moich ludzi obecnych w tej sali przetrzącił mu któreś żebro – ogłaszam i sam łamię pierwsze żebro Torano. – Możecie sobie wziąć po kawałku na pamiątkę. – A potem idę, nawet nie kontrolując już kroków.

– Ja...

Układam kciuk na jej opuchniętych wargach i obwodzę je delikatnie.

– Jestem przy tobie. Już jestem. – Pieszczotliwie dotykam jej dłoni, chcąc tak naprawdę obejrzeć każdy milimetr jej ciała, by upewnić się, że nic jej nie jest.

– Ja... muszę ci coś... pokazać. – Wbija mi paznokcie w rękę. – Tak mi przykro. Nie mogę tego znieść. Nie chcę tego na sobie nosić.

Wzbiera we mnie niepokój.

– Nie rozumiem. Czego?

– On...

– Co ci zrobił?

Bethany rozchyła usta, a potem zamyka. Na końcówkach jej rzęs zawisa łza, gdy trzęsącymi się dłońmi przesuwa prześcieradło.

– To twój przywilej, by odebrać mu życie – przemawia znów Tom.

Bethany natychmiast z powrotem owija się w kokon z prześcieradła, a ja zduszam przekleństwo.

– Dla ciebie, maleńka. – Dotykam jej zaczerwienionej kości policzkowej i wstaję, by wrócić i dokończyć to, co zacząłem. Nie odwracając wzroku od Bethany, wbijam nóż prosto w bijące jeszcze między pogruchotanymi żebrami serce Torano.

Do pokoju wchodzi jeden z moich ludzi, którzy do tej pory sprawdzali pozostałe pomieszczenia i rozprawiali się z resztą sługusów tego psychopaty. Musiałem się tu zakraść bez wszczynania alarmu, więc początkowo akcja odbywała się w zupełnej ciszy przy użyciu wyłącznie broni, która nie narobi hałasu, bo musiałem jak najszybciej dostać się do Bethany i nie ryzykować ani minuty spowolnienia, gdybym musiał walczyć z hordą jego psów.

– Wszyscy martwi – obwieszcza mój człowiek, podrzucając w rękę pistolet niczym żongler piłeczki.

– Wychodzimy. – Daję znak sygnalizujący koniec akcji, a później biorę Bethany na rękę. – Mam cię. Trzymaj się mnie mocno. Zniosę cię – mruczę jej we włosy i całuję w ucho.

Teraz przynajmniej mam wymówkę, by mieć ją w ramionach. Jej bliskość działa na mnie wręcz odurzająco. Zanurzam nos w jej szyi i sycę się wonią jej skóry.

– Nie musisz... – zaczyna, ale urywa na nagły ruch jednego z moich ludzi, który rzuca się do wielkiego okna.

– Snajper!!! – wrzeszczy.

Bethany przywiera do mnie mocniej, jak gdyby chciała ukryć się w moich objęciach. Sekundę później ktoś popycha mnie w róg pokoju poza zasięg karabinu snajperskiego. Rozlegają się strzały, a ja chroniąc Bethany własnym ciałem, szepczę jej do ucha kojące słowa.

– Zdjęty – mówi w końcu Tom. – Ktoś oberwał?

Rozglądam się wokół, ale wszyscy moi ludzie mają na sobie kamizelki kuloodporne i wyglądają na nietkniętych. Jednak uczucie ulgi ulatnia się, gdy dłonie Elizabeth jeszcze chwilę temu zaplecione na moim karku, teraz osuwają się zupełnie bezwładnie.

– Bethany? – Wpatruję się w poszerzającą się krwawą plamę w okolicach jej mostka.

Jej powieki trzepoczą, błądzi po mojej twarzy nieobecny wzrokiem.

Nie. To się nie dzieje. Nie znowu.

– Logan... – szepcze.

– Nie, nie, nie – powtarzam jak zaklęty, a ta pieprzona czerwona plama wciąż się powiększa, prześcieradło przesiąka szkarłatem tak, że można by wyzyskać z niego krew.

– Kurwa mać! – rzuca ktoś, ale nie zwracam na nich uwagi.

Już nic mnie nie obchodzi. Tylko ona.

– Nie rób mi tego, kochanie – odzywam się błagalnym tonem. – Słyszysz? Patrz na mnie. Tylko na mnie.

– Logan, opanuj się – upomina mnie Thomas, ale mój rozsądek się wyłącza.

Mogą się mnie wyrzec. Mogą wszcząć bunt. Mogą mnie nawet zabić, bo jeśli ona umrze i tak pójdę za nią.

Jeśli ją stracę... Nie mogą mi jej odebrać.

– Niedawno cię odzyskałem, nie stracę cię znowu. – Odgarniam jej kosmyk włosów z policzka.

– Wzywaj lekarza. Ma czekać, kiedy tam dotrzemy – warczę do Thomasa.

– Odsuń się. Trzeba zatamować krwawienie. – Tom wyciąga rękę, jak gdyby chciał mi ją zabrać.

Odsuwam się.

– Nie dotykaj jej. Niech nikt jej, kurwa, nie dotyka – drę się. – Sam to zrobię. – Przyciskam zwinięty fragment prześcieradła do jej rany, ale łapy mi się trzęsą jak alkoholikowi z delirką.

Thomas patrzy na to zmrużonymi oczami.

– Zachowujesz się jak pojeb i widzi to cała twoja armia.

Wiem, ale nie potrafię już stłumić narastającego we mnie strachu. Serce łomocze mi w piersi, a ja z każdym jego uderzeniem czuję się coraz bardziej szalony.

Coraz bardziej zdesperowany.

– Logan... – Słyszę ponownie swoje imię jeszcze ciszej niż poprzednio.

Ostrożnie niosę ją na zewnątrz, kierując się do samochodu.

– Jestem tutaj, skarbie.

– On... On mnie oznaczył – mówi i ostatkiem sił odsuwa prześcieradło od swojego brzucha.

– Przepraszam. – Głos jej się łamie. Płacze. Płacze, jak gdyby to, co zrobił jej ten skurwiel, było jej winą.

Wycięte na skórze litery prześladują mnie, nawet kiedy je zakrywam. Zalewa mnie tyle skrajnych emocji, że nie mogę złapać tchu. Te litery i obrazy mojej konającej po postrzale matki nawiedzają mój umysł na przemian. Widzę jej martwe oblicze, które sekundę później zmienia się w oblicze Bethany. Ich głosy się mieszają. Wołają mnie. Wzywają. I znowu te litery...

Zawiodłem je obie. Nie potrafiłem się o nie zatroszczyć. Nie zasłużyłem na nie, więc... Więc świat się o nie upomniał. Odebrał mi najpierw matkę, a teraz...

– To nic nie znaczy. Jest nieważne, słyszysz? – przemawiam, układając ją na tylnym siedzeniu auta. – Nie umieraj. Musisz zostać moją żoną. Bethany, spójrz na mnie i powiedz, że za mnie wyjdiesz.

Jedno słowo, powiedz. Proszę, powiedz, kochanie.

Ale ona już się nie odzywa. Bo już jej ze mną nie ma.

Kocham cię. Wybacz mi.

## Rozdział TRZYDZIESTY

Patrzę, jak śpi, i dopiero teraz do mnie dociera, jak bardzo mi tego brakowało.

Jest tutaj. Przy mnie. Moja. I znów robię to samo. Wyciągam rękę, by poczuć rytm jej bijącego serca.

W chwilach takich jak ta rozumiem, czemu miłość jest traktowana jak przekleństwo. I dlaczego ludzi zakochanych nazywa się szaleńcami. Bo uwielbiają zatracać się w tym przekleństwie. Bo chcą za nie umierać. Bo byliby szczęśliwi, umierając za nie.

Ja byłbym.

Całuję ją w skroń, nie przestając bawić się jej włosami.

– Dzień dobry, mój płomyczku – odzywam się, kiedy zauważam, że Bethany przeciera zaspane oczy. Jej włosy są rozsypane na poduszkach i uroczo potargane.

Przeciąga się niczym leniwy kociak, oczekujący pieszczot.

A ja jestem aż zanadto chętny, by ją pogłaskać.

– Dzień dobry – mruczy i przebiega palcami po moim torsie. – Mój ulubiony widok z rana.

– Jak się czujesz?

– Nie pytaj, proszę. W ciągu ostatnich dni zadałeś mi to pytanie chyba tysiąc razy – marudzi. – Nic mi nie jest.

Może i tak, ale ostatnie dwie doby, kiedy naprzemiennie spała i budziła się wyłącznie na kilka sekund, sprawiły, że stałem się świetnym kandydatem do zamknięcia w domu wariatów. Niepokój wciąż tętni mi pod skórą, zwłaszcza gdy widzę świeży opatrunek w okolicach jej piersi.

Ta przeklęta kula była przeznaczona dla mnie, ale ona mnie osłoniła.

– Leż spokojnie – nakazuję. – Szwy mogą pęknąć, jeśli będziesz się tak wiercić.

Moje karcenia na nic się zdają. Bethany wydyma usta, a potem wspina się na mnie. Przysiada mi na udach odziana wyłącznie w moją koszulę.

– Dość już tego. I nie patrz tak na mnie.

– Jak?

– Jakbym była z porysowanego szkła. – Wykrzywia się w gorzkim uśmiechu. – Porysowanego, dobre sobie. Możemy zrobić z tego niezły żart. Przynajmniej dopóki inni nie obejrzą mnie bez bluzki.

Przypomnienie o wyrytych na jej ciele znakach jest gorsze niż jebana chłosta. Gdybym tylko mógł, zamieniłbym się z nią. Pozwoliłbym się poharatać temu choremu sukinsynowi bez walki.

– Bethany...

– Przestań, Logan. – Odręca mnie, gdy próbuję ją pocałować. – Wiem, że tego nienawidzisz. Nie możesz na to patrzeć. Nie kłam. – Zaczyna zaplatać warkocz ze swoich falistych pukli.

Zupełnie niepotrzebnie, bo i tak zaraz zwrócę im wolność.

Zaciskam dłonie na jej talii i zmuszam ją, by na mnie spojrzała.

– Tak, nienawidzę tych cięć. I siebie, bo są na twoim ciele z mojej winy. Dlatego że cię nie ochroniłem.

Elizabeth ucieka wzrokiem w bok. Wypuszcza niezapleciony do końca warkocz i wbija paznokcie w uda. Wreszcie po przeciągającym się milczeniu po jej policzku spływa pojedyncza łza.

I, kurwa, przysięgam, że mógłbym wyrwać sobie serce i rzucić je na pożarcie lwom, byleby tylko ta jedna konkretna łza zniknęła, by nigdy się nie pojawiła.

Bo doskonale wiem, co ona oznacza.

– Noszę na skórze nazwisko innego – szepcze. – W tym świecie to najwyższy rodzaj hańby. Stałam się zbędnym elementem, który cię upokarza.

Obserwuję, jak zażenowana bawi się rąbkami koszuli i gniew prawie rozsadza mnie od środka.

Wstydzi się. Ona się wstydzi tych pieprzonych cięć.

– Nie mów głupstw – żądam.

– Uwłaczam twojej godności. – Ignoruje mnie. – Te blizny zawsze będą obiektem drwin z twojej

osoby. Wiesz o tym. A prędzej czy później ktoś je zauważy. – Kolejne łzy płyną po jej pięknej, smutnej twarzy.

Chwytam ją za kark, mimo że próbuje stawiać mi opór, a następnie przetaczam się na łóżku tak, by teraz to ona znalazła się pode mną. Splatam palce naszych dłoni i układam je nad jej głową.

– Nic mnie to nie obchodzi. Jesteś najważniejsza.

Okrutna prawda jest taka, że Elizabeth ma sporo racji. Torano nie bez powodu wybrał właśnie taki sposób na wyrównanie rachunków. Bo w świecie podziemia kobieta jest własnością mężczyzny, a zostawienie swojego znaku na czymś, co należy do ciebie, jest jak zagarnięcie praw do tego czegoś. Gdyby kiedykolwiek ktoś ujrzał te blizny na ciele Bethany, wiedziałby, że są świadectwem mojej porażki. I stałyby się powodem do drwin nie tylko z niej, ale i ze mnie, bo pozwoliłem wykroić swojej kobiecie na skórze imię innego.

To nie pierwszy taki przypadek i doskonale wiem, co by się wydarzyło. Uznano by ją za bezwartościową, zużytą. Kolejna potworna reguła rządząca podziemiem jest taka, że wielu mężczyzn pozbywa się zhańbionych w ten sposób kobiet. Porzuca je albo gorzej. Kiedy znikają, znika też powód do szyderstw i ciągłego wspomnienia odniesionej porażki, ale ja...

Boże, nigdy bym jej nie opuścił, a na samą myśl, że Bethany może się tego obawiać, wierzyć w te pierdolone brednie o byciu niegodną, mam ochotę wygrzebać Torano z grobu i zabić go jeszcze raz.

– Nie okłamuj mnie. Będziesz musiał na to patrzeć, zawsze kiedy będziemy się kochać – odzywa się wyzywającym tonem.

Wiem, że prowokuje mnie, bym dał jej dowód, że te cięcia napawają mnie wstrętem. Że ona mnie nim napawa. Nie rozumie, że ostatnie czterdzieści osiem godzin spędziłem, licząc jej oddechy.

Traktowałem je jak najcenniejszy dar, bo sam dzięki nim oddycham.

– Posłuchaj. Nawet gdyby reszta świata miała mnie nienawidzić, wolałbym twoją miłość od ich aprobaty – przemawiam łagodnie, przesuwając wargami wzdłuż grzbietu jej nosa. – Co mam zrobić, żebyś mi uwierzyła?

– Nie mogę...

Płacze, a ja scałowuję jej łzy. Całuję jej policzki, szczękę, podbródek... Jestem coraz bardziej zdeterminowany, by dodać jej otuchy.

– Mogę wyciąć sobie twoje imię na mojej skórze, jeśli chcesz. – Sięgam pod poduszkę, doskonale świadomy, co tam znajdę. – Sama możesz to zrobić. – Podaję jej jeden ze sztyletów sai, kierując szpiczasty koniec na swoją pierś.

– Logan...

– Możesz też wbić ostrze znacznie głębiej. Aż sięgnie mojego serca – dodaję. – Wtedy zauważysz, że twoje imię jest wyryte na nim od dawna.

Bethany odrzuca nóż, a potem owija ramiona wokół mojej szyi. Przytula się do mnie, a ja czuję, jak drży.

– Nie zostawiaj mnie – prosi cichutko.

Jej rozpacz i skrępowanie sprawiają mi niemal fizyczny ból. I choć wcześniej przez całe lata ojciec uodparniał mnie na każdy rodzaj bólu, ten jeden jest niemożliwy do zniesienia.

Za każdym razem, gdy przyłapuję ją na bezwiednym dotykaniu cięć na jej brzuchu, dostrzegam także cierpienie w jej fiołkowych oczach i wtedy pragnę coś zniszczyć. Mimo tego zmuszam się do zachowania spokoju i odnajduję temat, który może ją rozweselić.

– Oświadczyłem ci się, wariatko – wytykam.

W kącikach jej warg pojawia się nikły uśmiech, a ja zakochuję się w niej jeszcze trochę bardziej.

– Bo myślałeś, że umieram.

– I chciałem umrzeć z tobą. Więc wierz mi, oświadczyły były prawdziwe. – Marszczę czoło. – Ale nie dałaś mi odpowiedzi. – Gdy otwiera usta, by coś powiedzieć, układam na nich kciuk, powstrzymując ją. – Zaczekaj.

– Co?

Przysiadam i sięgam do szafki nocnej. Dyskretnie zamykam czarne pudełeczko w garści. Następnie odwracam się ku Bethany i odchylam wieczko, ukazując jej pierścionek z ogromnym opalem

ognistym z diamentami dookoła. Kamień prezentuje się dokładnie tak, jak powinien. Jak gdyby zamknięto ogień w jego wnętrzu. Idealny dla mojego Płomyczka.

– Wiem, że to mało romantyczne okoliczności. Wtedy wykrwawiałaś się na śmierć, a teraz wyglądasz jak mały koszmar, a ja powinienem mieć na sobie garnitur, tymczasem nie mam nawet gaci, ale...

– Tak – piszczy i na zmianę chichocze. – Wyjdę za ciebie.

Wyjdę za ciebie.

To trzy najpiękniejsze słowa, które usłyszałem od chwili, kiedy po raz pierwszy wyznała mi miłość. Jestem tak szczęśliwy, że muszę walczyć ze sobą, by nie szczerzyć się niczym obłąkany kretyn.

Elizabeth Hallwell już wkrótce zostanie panią Roth. Moją żoną.

– Nie pozwoliłbym ci udzielić innej odpowiedzi. Przekonałbym cię – droczę się. – Zmusił do uległości.

W jej tęczęwkach rozbłyskują przekorne iskierki.

– Jak?

– Mam ci pokazać? – Nie czekając na jej przyzwolenie, rzucam się na nią i szarpnięciem rozdieram jej koszulę. Guziki sypią się dookoła, a ja karmię się widokiem jej obnażonej skóry kompletnie zafascynowany.

Przywieram ustami do jej gardła i wyznaczam szlak łakomych pocałunków w dół jej ciała.

– Łaskoczesz mnie – narzeka, gdy wysuwam język, by skosztować jej smaku. Wierci się pode mną, śmiejąc się coraz głośniejsze.

Unoszę głowę, by na nią spojrzeć.

– Uwielbiam, kiedy się śmiejesz – wyznaję. Moje palce zataczają okręgi po wewnętrznej stronie jej uda. – Powiedz, czego ci trzeba, a ja ci to dam. – Przykrywam dłonią jej lechtaczkę, a jej śmiech urywa się nagle. Nie przestaję jej masować, dopóki jej biodra nie wyginają się w górę w poszukiwaniu moich pieścizot. Wtedy wsuwam w nią palec i mam ochotę jęknąć.

Kurwa, jest taka mokra i gotowa. Dla mnie.

– Głębiej – domaga się, dysząc.

Robię, co mi każe. Zaczynam wsuwać i wysuwać palce, jednocześnie kciukiem wciąż pocierając jej cipkę. Kiedy widzę i czuję, jak na mnie reaguje, jak się na mnie zaciska, prawie dostaję pierdolca. Kochanie się z nią to najgorszy test dla mojej cierpliwości.

Bo nie mam jej za grosz. Chcę ją posiadać w każdy możliwy sposób i robić to każdej nocy przez resztę mojego życia. Nie mogę się powstrzymać i wpatruję się w moje palce znikające w jej łonie. Raz, drugi, trzeci.

Dopada mnie pragnienie, by ją pożreć. By poczuć na języku smak jej podniecenia.

– Taka gorąca – mruczę, osuwając się niespiesznie w dół.

Elizabeth sztywnieje i wbija mi paznokcie w barki.

– Nie.

Odnajduję spojrzeniem jej twarz wykrzywioną w błagalnym grymasie.

– Kochanie...

– Po prostu we mnie wejdź – nalega.

– Zaraz to zrobię. Chcę cię najpierw posmakować. – Całuję ją w żebra blisko rany postrzałowej.

– Przecież to lubisz. Dochodzisz tak mocno, gdy zaciskasz się na moim języku. – Uśmiecham się, jednak ona pozostaje poważna.

– Innym razem.

Kurwa, kurwa, kurwa mać.

– Kiedy cię liżę, wijesz się pode mną i drapiesz mnie do krwi, a to z kolei ja uwielbiam – szepczę kusząco. – Naprawdę nie chcesz?

– Nie.

Zaciskam szczękę, zduszając potrzebę krzyku. Furia opanowuje mnie do tego stopnia, że widzę na czerwono. Krtań mi się kurczy, gdy zmuszam się do miarowego oddechu.

Bethany nie chce mi na to pozwolić, bo nie chce, abym był na tyle blisko tych pieprzonych cięć.

Nie chce, żebym je widział, kiedy będę ją zadowalał. Znow wyczuwam emanujące od niej upokorzenie i dopada mnie tak wielka bezradność, jak jeszcze nigdy przedtem.

Nie potrafię sprawić, by przestała się tym zadreć. Jestem, kurwa, do niczego. Umiem tylko niszczyć, obracać wszystko, co ma jakąś wartość, w pył, ale kiedy trzeba coś naprawić, wtedy tylko sterczę i gapię się, jak to coś rozsypuje się na moich oczach.

Tak jak teraz.

– Bethany... – Głos mi się łamie od rozdzierającej niemocy. – Musisz wiedzieć, że...

– I nie mam ochoty już rozmawiać – wtrąca. – Pragnę cię w sobie. I na sobie. Skóra przy skórze.

Otocz mnie sobą. Żeby mogła wdychać twój zapach. Tego potrzebuję.

Chcę się z nią kłócić. Chcę zabrać z niej ten ból, ale wiem, że to na nic, więc ulegam.

– Dobrze, maleńka. – Zawisam ustami przy jej ustach i wdycham jej oddech, zarazem delikatnie wsuwając się do jej wnętrza. Chcę patrzeć jej w oczy, kiedy będziemy uprawiać seks, żeby mieć pewność, że... Że naprawdę tego chce i się tym cieszy.

Że nie myśli o nim.

Bethany oplata ramionami mój kark.

– O, tak – mruczy z zadowoleniem, a z mojego ciała natychmiast uchodzi całe napięcie.

Wychodzę z niej leniwie, centymetr po centymetrze, rozkoszując się każdą sekundą jej ciepła i ciasnoty, mimo że zwykle mój kutas nie jest zwolennikiem delikatnego pieprzenia się.

Delikatnego pieprzenia się? Tego chyba nawet nie powinno się tak nazywać. To, co się teraz między nami dzieje, to coś zupełnie innego. Lepszego.

– Powoli – ganię Elizabeth, gdy jej biodra kołyszą się pode mną, chcąc mnie sprowokować do obrania szybszego rytmu.

Kręci głową. Kosmyki włosów lepią jej się do czoła.

– Nie, nie powstrzymuj się. – Jej palce suną wzdłuż mojego kręgosłupa. – Weź mnie, jak chcesz. Ostro, szybko, głęboko.

Tylko że ja wcale tak nie chcę.

– Cisza – nakazuję i znow wdzieram się łagodnie do jej cipki. – Tym razem będę się rozkoszował każdym pchnięciem. – Chowam twarz w zagłębieniu jej szyi i zasysam jej skórę.

– Logan.

– Bycie w tobie to najlepsze uczucie, jakiego zaznałem – mamrocę. – Kurewsko cudowne.

– Jeszcze raz.

Jeszcze zdecydowanie więcej niż raz, maleńka.

Wślizguję się do jej wnętrza raz za razem w rytmie tak powolnym, że przyjemność z niego płynąca graniczy z torturą. Bethany orze paznokciami moje łopatki i przylega do mnie jeszcze bardziej. Z jej gardła płyną westchnienia i jęki, które łapię pocałunkami. Jej talia podryguje niespokojnie, niecierpliwie.

– Spokojnie. – Zaciskam rękę na jej pasie, by ją unieruchomić. – Nie rób tak – sycę na granicy kontroli.

Ale ona mnie nie słucha, wciąż wije się pode mną, sprawiając, że dopada mnie dzikie pożądanie.

– Ja tylko biorę cię w siebie. – Mruga niewinnie. – Więcej. – Ujmuje moją dłoń i wsuwa ją między swoje nogi. Używa moich palców, by ponownie pieścić łechtaczkę. Potem już wyrывa mi całą władzę i zaczyna poruszać się pode mną we własnym tempie. Czuję zbliżający się orgazm.

Niech to szlag. Nie chcę, by to się jeszcze kończyło.

– Elizabeth! – warczę, dochodząc intensywnie. – Spieprzyłaś mi pierwszy seks z narzeczoną. – Za karę wbijam zęby w bok jej szyi i gryzę tak mocno, że zaczyna okładać mnie pięściami, ale na nic jej się to zdaje.

Uśmiecham się zwycięsko. A ona w końcu uśmiecha się naprawdę. Przytula się do mnie, nie pozwalając mi rozdzielić naszych ciał.

– Dziękuję – mówi.

Oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że to nie jest wdzięczność za zajebiste rżnięcie.

A ja zdaję sobie sprawę także z tego, że wcale nie zasługuję na te podziękowania.

## Rozdział TRZYDZIESTY PIERWSZY

Nazajutrz Thomas wpada do mojego gabinetu.

– Musimy pogadać.

Oczywiście bez pukania, przez co nachodzi mnie ochota, żeby urwać mu którąś część ciała.

– Jestem zajęty. Nie zwracaj mi dupy.

Zamiast wyjść, rozsiada się nonszalancko na fotelu naprzeciwko.

– Mam wyniki testów z laboratorium. Wiem już dokładnie, czym jest to chujostwo od Torano i co takiego robi.

To wzbudza moją ciekawość, więc zamykam klapę laptopa.

– Dobra, mów – mruczę, krzyżując ramiona na piersi. – Co to za cudowny narkotyk?

– Zleciłem dodatkowe, bardziej szczegółowe testy, ale to, co odkryli, jest dość... – Urywa i robi minę gościa, któremu przydałyby się egzorcyzmy. – Jest kurewsko drastyczne.

– Wyjaśnij.

– Okazało się, że to gówno nie tylko zajeżdża uzależnia zaledwie po zaaplikowaniu sobie jednej, dwóch dawek. Kojarzysz wampiry, które odczuwają niepohamowany głód skosztowania ludzkiej krwi, a im dłużej to powstrzymują, w tym większy obłęd popadają? – Gestykuje entuzjastycznie, jak gdyby jego umysł naprawdę ugrzązł w miejscu upiorów, które zwęglają się na słońcu i wysysają krew.

Parskam śmiechem.

– Specyfik Torano zmienia ludzi w wampiry? – naigrawam się.

– Nie, ale działa na nich podobnie jak zapach krwi na wampiry.

– I to już wszystkie rewelacje, jakie udało ci się odkryć? Bo na razie jestem kurewsko znudzony.

Podstawowym celem narkotyków jest wywoływanie w zażywających je potrzeby sięgnięcia po kolejną dawkę. Gdyby nie ten nieźle pojebany nałóg, padłoby wiele biznesów.

Thomas przekręca swoją czapkę z daszkiem do tyłu i rozpiną zamek skórzanej kurtki.

– Najlepsze zostawiłem na koniec. To coś powoli uszkadza neurony odpowiedzialne za pamięć. Kasuje wcześniejsze wspomnienia, czyniąc ludzi jeszcze bardziej podatnymi na działanie tej substancji – zaczyna, pochylając się lekko nad biurkiem. – Bez pamięci człowiek staje się pustą, bezwolną marionetką podatną na sugestie obcych, a typowe dla zażywania narkotyków oszołomienie jeszcze to potęguje.

Substancja wywołująca amnezję? To interesujące. I kurewsko przydatne zwłaszcza w mojej mrocznej branży.

Wyciągam rękę, a Thomas bez zbędnych wyjaśnień kładzie na niej pendrive'a, na którym zapisano wstępne wyniki badań dotyczących tej małej sekretnej próbki. Podpinam nośnik do laptopa i przebiegam wzrokiem po kolumnach zapisków.

Wysokie stężenie wszelkiego możliwego chujostwa. Przy tym koka i amfa mogłyby uchodzić za witaminki.

– To dlatego Torano tak się ekscytował. Gdyby podał to dziwkom w swoich burdelach, te słuchałyby go bez najmniejszego oporu – mamrocze pod nosem.

– Gdyby podał to komukolwiek, ten ktoś szybko stałby się niewolnikiem w jego łapskach. – W oczach Toma pojawia się złowieszczy błysk. – I to takim, który o wiele chętniej wykonuje rozkazy – dodaje.

– Czyli to właściwie typowy narkotyk o typowym działaniu, tylko...

– Tylko jakieś sto razy silniejszym. – Potakuje głową i się uśmiecha. – Tak, kurwa. To rzeczywiście może być niezła broń. Zwłaszcza kiedy zamazuje człowiekowi wspomnienia, a on sam już nie wie, kim jest, i jedyne, co go prowadzi, to... – Uderza rytmicznie w mahoniowy blat, imitując odgłos werbli.

– Potrzeba zażycia kolejnej dawki tego gówna – kończę za niego. – Każ zbadać to dokładniej, a potem powielić. Chcę mieć tego więcej.



Tom odpycha się buciorem od podłogi i wiruje na fotelu jak dzieciak na karuzeli. Dzisiejsze odkrycie wprawiło go w wesoły nastrój, a wesoły psychol jest o wiele gorszy niż ponury psychol.

Kiedy wczytuję się w szczegóły raportu, rozdzwania się jego telefon.

– Co jest? – Odbiera. – Że co, kurwa? – Raptownie podrywa się z siedzenia, strącając mi z biurka szklaną figurkę czaszki. – Kto? – Słucha, przeczesując palcami włosy. W końcu rozłącza się i chowa komórkę do kieszeni.

– Co się stało? – pytam, gdy jego milczenie zaczyna mnie wkurwiać.

Tom zaciska pięści i kopie w krzesło na kółkach, posyłając je w kąt pomieszczenia.

– Nasze laboratorium płonie – oznajmia. – Ktoś je podpalił.

Że co, do chuja?

– Jaja sobie robisz? – krzyczę, wstając. – Ktoś podłożył tam ogień właśnie dziś? Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności. I jakim cudem jakiś obcy się tam dostał?

– No właśnie w tym rzecz, że... – Urywa i krzywi się, jakby przed momentem połknął kamień, a teraz nie mógł go wysrać.

– Że co? Gadaj.

– Kamery zarejestrowały, że to Elizabeth podłożyła ogień – wyrzuca w końcu.

Eli...? Nie. Na pewno nie. W pierwszej chwili mam ochotę wybuchnąć śmiechem na ten absurd, ale posępny wyraz twarzy Toma uzmysławia mi, że to wcale nie jest żart.

Rozjuszony rzucam się w stronę Toma i łapię go za klapy kurtki.

– Co ty pierdolisz? Dlaczego miałyby zrobić coś takiego? To zdrada.

– Nie wiem, stary. – Oswobadza się z uchwytu, a potem dodaje. – Ona wciąż jest w środku.

W środku? W płonącym budynku?

Odruchowo rzucam się w stronę drzwi i wybiegam na korytarz.

– Nie powinieneś tam wchodzić. Inni to załatwią, wydostaną najważniejsze rzeczy.

Słowa Toma tylko podjudzają mój gniew.

Najważniejsze rzeczy? To ich priorytet?

– Ona jest moja. Idę po nią i nie próbuj mnie zatrzymać – syczę. – Dowiem się, co się wydarzyło albo tam zdechnę.

Musi być jakieś wyjaśnienie. Logiczny powód tego, co nagrano.

– Ale...

Już go nie słucham.

\* \* \*

Wchodzę zadymionym korytarzem w głąb pomieszczenia. Wokół mnie panuje kompletny chaos. Słyszę rzucane krzykiem polecenia, trzaski płomieni, odgłosy tłuczonego szkła. Nieustannie ktoś wchodzi lub wychodzi z każdego pomieszczenia po kolei.

– Elizabeth? – Podnoszę głos, nie przestając iść. – Bethany, gdzie jesteś?

Im dalej wchodzę, tym większe tumany dymu atakują moje nozdrza. Z ogniem nie jest tak fatalnie, jak sądziłem, najwyraźniej szybka reakcja nie pozwoliła mu się rozprzestrzenić na tyle, by doszczętnie strawił budynek. Prawdopodobnie prędzej czy później uda się ugasić pożar.

Skręcąc, otwierając każde drzwi i zaglądając do środka, ale niczego nie zauważam. Chmury dymu sprawiają, że zaczyna mnie dusić w gardle.

Gdzie ona jest, do diabła? Ogarnia mnie coraz większy niepokój. Nie wyszła stąd, więc jest tu najdłużej. Może straciła przytomność i...

– Logan? – Dociera do mnie stłumiony głos.

W końcu ją zauważam. Stoi otoczona płomieniami wijącymi się niczym wielkie węże. Iskry buchają wokół niej.

– Co ty wyprawiasz, maleńka? – pytam.

Bethany kołysze palcami ponad snopem ognia, sprawiając, że w swojej białej, długiej sukni wygląda jak zjawą, która zjawiała się tu, by jednym ruchem ręki ujarzmić ten żywioł.

– Wszystko płonie – szepcze. – Dlaczego? – Wpatruje się we mnie zamglonym wzrokiem.

– Dlaczego? Może ty mi to wyjaśnisz? Podpaliłaś moje pierdolone laboratorium! Mam to na taśmach.

Zaskoczona cofa się o krok i nadeptuje na coś, co pęka pod jej bosą stopą.

Przyszła tu bez butów?

– Ja? Ale przecież... – Mruga i rozgląda się dookoła. – Nie rozumiem. Nic nie rozumiem – powtarza.

– Musimy stąd wyjść. Potem porozmawiamy. Nawdychałaś się dymu.

– Nie mogę. Ja... – Potrząsa głową. Długie czarne włosy poskręcane w strąki wyglądają teraz jak macki ośmiornicy. – Krwawię.

Natychmiast spinają się wszystkie moje mięśnie.

– Jesteś ranna? – Przesuwam po niej spojrzeniem, a zmartwienie nasila się, gdy zauważam plamy krwi na jej brzuchu. Dokładnie w miejscu, gdzie wcześniej pociął ją Torano.

Bethany zauważa, gdzie patrzę i przyciska pięść do podbrzusza.

– Nie wiem – szepcze.

Podchodzę do niej i unoszę sukienkę. To, co widzę, wysysa mi powietrze z płuc.

– Kurwa mać, Elizabeth, coś ty zrobiła? Co cię opętało? – Zaciskam dłonie na jej pasie, walcząc o opanowanie.

Nazwisko Torano na jej skórze zostało dosłownie rozryte nowymi cięciami. Jest ich tak wiele... Skośne, długie, krwawiące rany.

Jezu, co to ma być?

– Nie pamiętam. – Dotyka drżącymi opuszkami poranionych miejsc. – Logan, ja nie pamiętam, żebym to robiła. Dlaczego tego nie pamiętam? – W jej głowie wychwytyuję nutkę paniki, której sam staram się nie ulegać.

Jest dziwnie rozkojarzona i ospała, jakby chwiała się na granicy jawy i snu. Albo jakby tkwiła w jakimś zjebanym rodzaju hipnozy. Jej źrenice są powiększone, ciało rozdygotane, a ona co chwilę traci wątek.

– Już dobrze, chodź ze mną. – Biorę ją w objęcia, jednak błyskawicznie się wyrzywa.

– Nie.

– Co nie?

– Nie – powtarza, pocierając skronie. – To coś... Coś się ze mną dzieje.

– Dużo ostatnio przeszłaś, Bethany...

– Nie! – krzyczy tym razem. – Czuję... To coś w sobie. Pali mnie w środku, a w mojej głowie...

– Urywa i rozgląda się zatrwożona.

Przypomina teraz płochliwe zwierzątko w potrzasku.

Ujmuję palcami jej podbródek.

– Co ci jest?

Bethany trzepocze powiekami, jak gdyby znowu zapomniała, o czym właściwie rozmawiamy.

– Czuję się trochę szalona.

Na taką też wygląda. Nie jest sobą, a ja coraz bardziej się o nią boję.

– Zabieram cię stąd.

Ponownie wyszarpuje się z mojego uścisku.

– Nie, zostaw, nie dotykaj mnie – szlocha.

– Co z tobą? – pytam, a potem to do mnie dociera. – Boisz się mnie.

Ona tylko patrzy na mnie przez długi moment. Spogląda w dół na swoją umorusaną w sadzach, podartą suknię, na swoje pokryte czarnymi smugami dłonie. Zupełnie, jakby zastanawiała się, czyje to ciało.

– Ja nie... nie wiem. – Wstrząsa nią potężny dreszcz. – Pomóż mi. – Sekundę później uginają się pod nią nogi i zaczyna upadać. Doskakuję do niej i chwytam w objęcia.

Zemdlała?

Odwracam się w kierunku wyjścia. Muszę ją wynieść na świeże powietrze.

– Bethany? – nucę cichym tonem. – Kochanie, spójrz na mnie. Ocknij się.

Nie reaguje. Co jest, kurwa? Co się właśnie wydarzyło? Zachowywała się, jakby coś ją opętało.

– Masz ją? – Tom podchodzi do mnie, gdy osuwam się na kolana, trzymając ją w ramionach.

– Jest nieprzytomna. Coś jest nie tak. – Bolesne mruknięcie przykuwa moją uwagę. – Bethany?

– Gładzę ją po brudnym policzku, kiedy ona powoli zaczyna się wybudzać.

Wszystko w porządku. Po prostu zbyt długo wdychała dym i...

– Kim jesteś? – słyszę i zamieram, a serce rozpierała mi się na milion kawałków.

Nie...